

ANNA
OLSZEWSKA

OSADA



Nad Zalewem Czorsztyńskim
górują dwa zamki, jednak to nie one rzucają
cień na taflę jeziora.

zwierciadło

ANNA
OLSZEWSKA

OSADA



zwierciadło

Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

Słowo od Autorki

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Rozdział 32

Rozdział 33

Podziękowania

Przypisy

Tytuł oryginału: *Osada*

© Copyright by Anna Olszewska, 2024

© Copyright for the Polish edition by Wydawnictwo Zwierciadło Sp. z o.o.,
Warszawa 2024

Redakcja: Dorota Śrutowska

Korekta: Barbara Zawiejska

Skład i łamanie: Sylwia Kusz, Magraf s.c., Bydgoszcz

Ilustracje na okładce: unsplash.com/ Branimir Balogović (las); rawpixel.com (ważka)

Projekt okładki: Eliza Luty

Redaktor inicjująca: Blanka Woškowiak

Dyrektor produkcji: Robert Jeżewski

Wszelkie podobieństwa zdarzeń, instytucji i osób są przypadkowe i niezamierzone. Opowieść stanowi literacką fikcję.

Wydawnictwo nie ponosi żadnej odpowiedzialności wobec osób lub podmiotów za jakiegokolwiek ewentualne szkody wynikłe bezpośrednio lub pośrednio z wykorzystania, zastosowania lub interpretacji informacji zawartych w książce.

Wydanie I, 2024

ISBN: 978-83-8132-564-6

Wydawnictwo Zwierciadło Sp. z o.o.

ul. Widok 8, 00-023 Warszawa

tel. 22 312 37 12

Dział handlowy:

handlowy@grupazwierciadlo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone. Reprodukowanie, kopiowanie w urządzeniach przetwarzania danych, odtwarzanie, w jakiegokolwiek formie oraz wykorzystywanie w wystąpieniach publicznych tylko za wyłącznym zezwoleniem właściciela praw autorskich.

Konwersja: [eLitera s.c.](#)

Rodzicom

Słowo od Autorki

W październiku 2022 roku, tuż przed krakowskimi targami książki, zwiedzałam okolice Jeziora Czorsztyńskiego. Jesienna sceneria tego miejsca sprawiła, że zapragnęłam napisać związaną z nim powieść. Musiałam tylko znaleźć odpowiednią historię.

Najlepsza do rozpoczęcia moich poszukiwań zdawała się osada na półwyspie Stylchyn. Została założona po przeniesieniu w nowe miejsce – właśnie na półwysep – budynków, które przed powstaniem sztucznego zbiornika, jakim jest Jezioro Czorsztyńskie, znajdowały się między innymi we wsi Stare Maniowy. Piękne domy z rzeźbionymi elementami elewacji, przycupnięte na brzegu połyskującego w słońcu jeziora, zdawały się doskonałą scenerią do rozpoczęcia przygód poturbowanego przez życie Igora.

Gdy zabrałam się do poszukiwań, okazało się, że historia, która posłużyła za inspirację do powieści, była na wyciągnięcie ręki. To tutaj w 2019 roku dziennikarze „Tygodnika Podhalańskiego” odkryli, że w jednej z zabytkowych chałup przechowywane są kartony zawierające dziecięce kości. Przeprowadzone przez nich śledztwo wykazało, że okoliczni mieszkańcy doskonale zdawali sobie sprawę z tego, że osada skrywa tajemnicę.

Postacie ożyły w mojej głowie i domagały się umieszczenia na kartach powieści. Dawne wydarzenia stały się podwaliną historii, którą ubogaciłam swoją wyobraźnią. Wymyśliłam bohaterów i pozmieniałam daty zdarzeń, tak żeby spięły się w tej opowieści kłamrą. A budowa zapory i przesiedlenia mieszkańców wsi Maniowy posłużyły za tło historyczne.

Mam nadzieję, że pokochacie Igora tak samo jak ja, bo chciałabym spotkać się z nim jeszcze nieraz.

A kiedy spotkam ciebie na śmierci zakrętach...

PIDZAMA PORNO

(NIKT TAK PIĘKNIE NIE MÓWIŁ, ŻE SIĘ BOI MIŁOŚCI)

Rozdział 1



Dawniej...

Piotr Hilderbrandt opierał się o mur okalający taras niedzickiego zamku, obserwując ludzi pracujących przy budowie zapory. Konstrukcja pięła się zachłannie w górę, żeby ostatecznie osiągnąć wysokość pięćdziesięciu sześciu metrów. Tama na Dunajcu robiła wrażenie nawet na protestujących przeciwko jej powstaniu, bo też trudno było zakwestionować rozmach przedsięwzięcia. Przeszło czterystumetrowa ściana miała połączyć brzegi rzeki, przecinając ją na wysokości dawnej przystani flisackiej.

To była pierwsza ofiara, którą zabrała dla siebie zaporą.

Piotr powiódł spojrzeniem po okolicy i zatrzymał wzrok tam, gdzie najpewniej znajdowały się opuszczone budynki we wsi Maniowy. Nie dostrzegał ich z zamkowego tarasu, jednak znał na pamięć detale zdobiące ich fasady. Niektóre z nich miały zostać przeniesione w nowe miejsce, ale większość na zawsze zniknie pod wodą. Zniszczenie wsi, która trwała przez prawie siedemset lat, przyszło ludziom wyjątkowo łatwo.

Pomyślał o mieszkańcach przesiedlonych przed laty. Nie wierzyli w zapewnienia o dobrobycie, mającym nastąpić wraz z napływem turystów, których przyciągnie zaporą na Dunajcu.

Wyrwano ich z korzeniami z tej ziemi.

Z przytulnej doliny, gdzie nie docierał halny, przeniesiono ich na odsłonięte łąki, na których wiatr łamał nawet najgrubsze drzewa. Drewniane chaty zostały zastąpione jednakowymi domami, budowanymi wedle projektu narzuconego odgórnie przez władze. Wszędzie identyczny układ małych pomieszczeń, ta sama

nowoczesna ciasnota. Starych sąsiadów, kłócących się i godzących od wieków, zastąpili nowi, którzy byli przesiedleńcom obojętni.

A najgorsze wątpliwości dotyczyły ziemi, która tutaj nie była tak żyzna jak w dolinie. Zamiast wszechobecnej zieleni powitała ich szarość skał porastanych przez rachityczne trawy. To dlatego ludzie powtarzali, że nie jest prawdziwą wsią miejsce, gdzie mleko można kupić jedynie w lokalnym sklepie. Gdzie krowy nie wypasają się na okolicznych łąkach. Gdzie brakuje miejsca na posadzenie drzew i zasianie zboża.

Zgodził się nadzorować przeniesienie budynków. Miał dopilnować, aby szczątki pochowane na cmentarzu trafiły w nienaruszonym stanie bliżej Czorsztyna. Jednak gdy przypominał sobie czarne ściany starych domów, nabierał wątpliwości. Osada zdawała się do niego mówić. Sprawiała, że narastała w nim niechęć do tej roboty. Miał przeczucie, że nic nie pójdzie zgodnie z planem. Że ta niewielka miejscowość skrywa swoje tajemnice, które staną mu na przeszkodzie...

Obecnie...

Igor zjechał na pobocze, gdy niebo po raz kolejny przeciął gruby sznur błyskawicy. Widoczność ograniczała się do zaledwie kilku metrów, a poruszanie się dodatkowo utrudniała mgła wisząca nad jeziorem. Wycieraczki działały na najwyższych obrotach, a i tak nie nadążały zbierać deszczu ściekającego po szybie. Schutt miał wrażenie, że silnik krztusił się, zalewany wodą, która rozpryskiwała się spod kół pojazdu, ale światła reflektorów ledwo rozpraszały panujący dookoła mrok, więc nie widział, jak głębokie były kałuże.

Powinien dojechać na miejsce wiele godzin temu, jednak nie zamierzał się spieszyć. Czekał na ten dzień pięć lat. Odliczał każdą minutę. Zostawiał przeszłość za sobą. Odcinał się od niej grubą kreską, aby zacząć wszystko od nowa.

W oddali migotały światła latarni, rozprasząc mrok na ulicach Czorsztyna. Wieś rozciągała się w pobliżu jeziora, ale tylko kilka domów zbudowano w bezpośrednim sąsiedztwie linii brzegowej. Nowoczesne rezydencje przyciągały wzrok, jednak nikt nie zakłócał spokoju ich mieszkańców. Starzy górale zdawali się darzyć nowo przybyłych instynktowną niechęcią. Jakby te budynki były obrazą dla tutejszej tradycji. Jakby bogacze z miast zawłaszczali sobie w ten sposób historię tego miejsca. Zasiadlali je, mimo że im się ono nie należało.

Działka, którą kupił w jego imieniu Paweł, również graniczyła z wodą. Jedyny dom w pobliżu chaty należącej do Igora zamieszkiwało małżeństwo Kobuzów. Oboje grubo po osiemdziesiątce, zdawali się zupełnie nieszkodliwi. Wybór miejsca wydawał się więc idealny.

Sięgnął po paczkę papierosów ukrytą w schowku i przez chwilę obracał ją w dłoniach. Jeden ruch wystarczyłby, aby zdjąć banderolę i dostać się do środka. Drugi, aby odpalić zapalniczkę i rozżarzyć końcówkę. Potem mógłby się już głęboko zaciągnąć. Na samą myśl o tym po jego ciele rozlało się przyjemne ciepło. Ale powstrzymywała go przestroga terapeutki. Jeżeli pofolguje sobie w jednej sprawie, reszta dopadnie go prędzej czy później.

Odrzucił papierosy na deskę rozdzielczą i skupił się na Zalewie Czorsztyńskim. Pociągało go, że tak wiele musiało zostać zniszczone, aby to miejsce wypełniło ponad dwieście milionów metrów sześciennych wody. Gdzieś w głębinach kryły się zalane podczas budowy tamy wsie. Wyobraził sobie całe fragmenty budynków, które teraz prawdopodobnie były porośnięte przez glony, a ryby przepływały przez stare framugi, w których już dawno nie ma szyb.

Jeziro było ciche, ale pod powierzchnią kotłowały się wspomnienia. Tajemnice ludzi, którzy kiedyś żyli na obu brzegach Dunajca. Rodzili się tutaj i umierali. Śmiali się, płakali i toczyli ze sobą wojny.

Zamknął oczy, wsłuchując się w stukot kropli uderzających o dach jeepa. Deszcz zdawał się słabnąć, więc opuścił szybę, pozwalając, aby lodowaty wiatr i mżawka wnikały pod jego bluzę. Powietrze zmieniało się z każdym przebytym kilometrem. Było coraz bardziej ostre. Niosło ze sobą charakterystyczny zapach wilgotnych skał i roślinności porastającej zbocza gór. Przyroda niecierpliwie strzepywała z siebie ślady zimy. Odradzała się. Przeciągała ramiona, gotowa na nowe, zupełnie jak on. Od ośmiu godzin i dwudziestu trzech minut otrząsał się ze zbyt długiego snu. Koszmaru, który śnił ciągle na nowo.

Rozmyślenia przerwał mu natarczywy dźwięk telefonu. Zawahał się, zanim przesunął zieloną słuchawkę. Paweł sprawdzał go już trzeci raz, jakby nie ufał mu do końca. Przez ostatnie pięć lat zajmował się wszystkimi jego sprawami i nie potrafił pozbyć się tego nawyku. Igor był mu wdzięczny, jednak samotność mu odpowiadała. Potrzebował przynajmniej jednego wieczora, aby poukładać plany na kolejne dni.

– Dojechałeś? – Głos Pawła zabrzmiał dziwnie obco, zniekształcony przez słaby zasięg.

– Prawie! – Igor darował sobie zbędne powitania. – Widzę już jezioro.

– Doskonale. Klucze od domu zostawiłem u sąsiadów. Zorientujesz się. To ten budynek z czerwonym dachem, który będziesz mijał po prawej, gdy skręcisz w szutrową drogę.

– W porządku.

– Zadzwoń, jak już się zainstalujesz na miejscu. Musimy pogadać o interesach.

Igor odetchnął z ulgą, gdy Paweł przerwał połączenie. Cały czas obawiał się, że przyjaciel poruszy tematy, których on nie miał ochoty roztrząsać. Kraków. Kamila. Tamten wieczór, który zmienił wszystko...

Deszcz zelżał już zupełnie. Burza dawała się teraz we znaki mieszkańcom innych rejonów, a nad jeziorem siąpił drobny kapuśniak – i nawet on powoli zamieniał się w mglistą mżawkę.

Igor odpalił silnik, uznając, że może ruszyć dalej, gdy jego wzrok przyciągnęły ciemne budynki wznoszące się na wzgórzu po prawej stronie. Wrzucił kierunkowskaz, zaintrygowany oryginalną architekturą, i poczuł przyjemny dreszcz. Brakowało mu tego przez ostatnie lata. Spontanicznych decyzji, które mógł podejmować tylko dlatego, że miał na to ochotę.

Zaparkował przy hotelu wybudowanym kilkadziesiąt metrów od chat, które przyciągnęły jego wzrok. Światło księżyca rozpraszało mrok, w którym pogrążona była okolica. Tworzyło na tafli jeziora ścieżkę łączącą brzegi, wydobywając z ciemności bryły drewnianych domów. Każdy z nich wyglądał, jakby od dawna nikt nie otwierał do niego drzwi, aby zaprosić gości, ani nie uchylał okien, by wpuścić do środka świeże powietrze.

Igor przyjrzał się zdobieniom wyrzeźbionym w balustradach. To nie były budynki z tej epoki. Teraz już nikt nie stawiał takich domów. Nie obchodził się z drewnem z taką dbałością o detale.

Gdy przesunął dłonią po poczerniałych deskach, na skórze została mu ciemna smuga. Spojrzał na jezioro. W oddali widniały ruiny zamku w Czorsztynie. Gdzieś tam był jego nowy dom.

Zatrzymał wzrok na najbardziej zniszczonym budynku i serce zabiło mu mocniej. Jedna ze ścian była praktycznie zwęglona, a dookoła domu wałały się

strawione przez ogień belki. Ostrożnie obszedł pogorzeliśko, próbując zwalczyć ogarniające go mdłości. Nie powinien zapuszczać się w te rejony. Trzymanie się z daleka od tego miejsca byłoby dla niego zdecydowanie najlepszym rozwiązaniem. Jednak musiał to zobaczyć. Sprawdzić, co pozostawił po sobie żywioł. To miało być jego pokutą. Cholernym zamknięciem.

Każdy jego krok łamał na drobne kawałki szkła leżące pod powybijanymi oknami. Bariierka okalająca dom nie stanowiła już żadnej podpory, chociaż jej fragmenty zdawały się być stabilne. Pnący się po budynku bluszcz wciskał się w każdą szczelinę, próbując ukryć zniszczenia przed ludzkim wzrokiem.

Igor skierował latarkę na wiszącą na jednym gwoździu tabliczkę.

– Restauracja „U Szperlinga” – odczytał na głos, a na plecach zatańczyły mu dreszcze, gdy stopy zaplątały się w stare taśmy policyjne.

Musiał sprawdzić, co kryło wewnątrz chaty. Nie mógł oprzeć się temu destrukcyjnemu nawoływaniu, które słyszał we własnej głowie. Energii, która emanowała z pogorzeliśka.

Drzwi restauracji zaskrzypiały, gdy pchnął je i wszedł w ciemność. W powietrzu unosił się zapach spalenizny i zbutwiałego drewna.

Zamknął oczy, wczuwając się w atmosferę tego miejsca. Pozwalał, żeby tragedia sprzed lat wnikała mu pod skórę. Przyklepiała się do niej i oblekała go niczym pajęczyna.

Wracały wspomnienia. Odnosił wrażenie, że wokół szaleją płomienie ognia sięgające aż po sufit. Słyszał ich huk i trzask trawionych żarem przedmiotów. Gęsty dym znowu wciskał mu się do ust i szczypał w oczy. A gdzieś w tym wszystkim majaczyła sylwetka Kamili.

Rozwarł powieki i kątem oka pochwycił jakiś ruch, jak tamtego wieczora w Krakowie. Jakby ktoś jeszcze był w budynku. Wiedział, że to tylko panika próbująca przejąć nad nim kontrolę, ale wrażenie czyjejs obecności było wręcz namacalne.

Przemierzał kolejne pomieszczenia. Na ziemi walały się ocalałe z pożaru przedmioty. Stare garnki, których nie strawił ogień. Powyginane pod wpływem temperatury sztućce. Ramy luster, które kiedyś chwytały odbicia gości.

Te drobiazgi narzucały mu obraz tego lokalu, gdy tętnił życiem. Usłyszał gwar rozmów prowadzonych przez turystów. Ich śmiech. Brzęk talerzy. Szmer wody

przelewanej z dzbanków do wysokich kieliszków. Potrafił też wyobrazić sobie, jak wyglądał tamten budynek w Krakowie wiele lat temu po tym, gdy odjechały straż pożarna i policja.

Zastanawiał się, czy pożar restauracji był zwykłym przypadkiem wywołanym przez zabłąkaną z paleniska iskrę, która niezauważona tliła się, aż w końcu wybuchła z ogromną siłą. A może to było dzieło człowieka? Kogoś zdesperowanego na tyle, aby zaproszyć ogień. Albo kogoś takiego jak on. Kogoś, kto nie potrafił się powstrzymać...

Rozgarnął butem stertę osmolonych książek. Strzępy kartek pofalowały w zetknięciu z wodą. Czy w tamtym domu też zostało coś, co udało się ocalić? Fragment życia, który nie uległ całkowitemu zniszczeniu?

Przykucnął, żeby odczytać tytuł powieści, której okładka zachowała się prawie nienaruszona, gdy po budynku rozszedł się nieprzyjemny dźwięk. Oświetlił latarką korytarz, skąd dochodził szelest. Hałas powtórzył się, tym razem był bardziej natarczywy.

– Hej, jest tam ktoś?! – To mógł być szczur albo zabłąkany kot, chociaż to, co usłyszał, przypominało chrzęst rozgniatanego butem szkła.

Światło latarki przeskakiwało z jednej poczerńiałej ściany na kolejną, gdy zagłębiał się w puste korytarze. Próbował uspokoić przyspieszony oddech, rozluźnić spięte mięśnie, jednak atmosfera tego miejsca nie była jego sojusznikiem. Działała na wyobraźnię. Podpowiadała obrazy, których nie chciał oglądać.

Dom ożył wbrew wszelkiej logice. Świst wiatru pomiędzy nieszczelnymi deskami mieszał mu w głowie. Podłoga ugiwała się z jękiem przy każdym kroku.

– Jeżeli potrzebujesz pomocy, daj znać! – Zdał sobie sprawę, jak głupio zabrzmiały te słowa, dopiero gdy opuściły jego usta.

Kiedy dotarł do wschodniej ściany i pchnął drzwi do ostatniego pomieszczenia, zajęło mu kilka chwil, aby zrozumieć, że przekraczając próg pogorzelniska, popełnił ogromny błąd.

Rozdział 2



Wyglądała jak lalka. W pierwszej chwili Igor pomyślał, że spała otulona białym płaszczem. Długie włosy rozsypały się wokół niej jak wachlarz. Skulone ciało sprawiało wrażenie, jakby chroniła się przed coraz bardziej przenikliwym chłodem.

Pokonał dzielącą ich odległość, odrzucając kolejne hipotezy rodzące się w jego głowie. Ktoś zrobił jej krzywdę? Była zbyt pijana, żeby dojść samodzielnie do domu? Jakaś choroba sprawiła, że leżała w tym opuszczonym budynku?

Dopiero gdy oświetlił jej twarz latarką, zobaczył, że oczy dziewczyny wpatrywały się nieruchomo w sufit. Również zastygł bez ruchu, sparaliżowany tym odkryciem. Z miejsca, gdzie się zatrzymał, dostrzegął matowy błękit jej tęczówek. Skupił się na jej rozchylonych ustach, z których powinna ulatywać para. W budynku panowało przenikliwe zimno i każdy oddech Igora rozplýwał się białą mgłą.

Czas się zatrzymał, a on walczył, aby zaczerpnąć tchu. Na piersiach poczuł tak duży ciężar, że nie potrafił wpuścić powietrza do płuc.

Zrobił krok i deska zaskrzypiała pod jego butami. Ten dźwięk przypomniał mu, że ktoś był tutaj chwilę wcześniej. Ktoś na tyle niefrasobliwy, że ściągnął na siebie jego uwagę. Światło latarki ponownie zatańczyło na poczerniałych ścianach, teraz bardziej chybotliwie, bo nie potrafił opanować drżenia dłoni.

Wszłuchał się w ciszę, ale pochwycił tylko hałasy dobiegające z hotelu. Stukot otwieranych drzwi. Śmiechy turystów. Chrząst żwiru pod kołami nadjeżdżającego od strony szosy samochodu. W spalonej restauracji odgłosy normalności wydawały się nienaturalne. Tutaj panowała głucha cisza. Nawet najdrobniejszy szmer nie wskazywał na to, że dziewczyna mogła jeszcze żyć.

– Co ci się stało? – Wyciągnął rękę, żeby zbadać jej puls, jednak szybko się cofnął. Nie powinno go tutaj nawet być. Zaciśnął palce na latarce. Musiał opuścić to miejsce. Natychmiast.

Podnosząc się, zahaczył butem o okrywający dziewczynę płaszcz, który zsunął się z jej brzucha i ud. Igor zatoczył się do tyłu, a gęsta ślina wypełniła mu usta. Podszewka palta była przesiąknięta czymś lepkiem. W panujących ciemnościach wyglądało to, jakby materiał pokryła smoła. Gdy wciągnął gwałtownie powietrze, wyczuł metaliczny zapach, którego nie zarejestrował wcześniej. Tak charakterystyczny, że nie dało się pomylić go z niczym innym. Poza tym...

Zmusił się, żeby oderwać wzrok od postrzępionej skóry. Brzuch dziewczyny był rozcięty przez całą długość. Od żeber aż do obnażonego łona. Cięcie wykonano niestarannie. Tkanka była poszarpana i zabrudzona ziemią. Jakby ktoś użył piły albo tępego noża.

Sprawca nie dbał o precyzję. Był niecierpliwy. Spieszył się, żeby ją skrzywdzić.

Wbrew sobie Schutt skierował światło na lśniące jelita. Na skórę opinającą jej żebra, na której ktoś wypalił niedającą się przeoczyć cyfrę „0”.

Przeciągły zgrzyt wyrwał go ze stuporu. Dźwięk był nieprzyjemny. Jakby ktoś przesuwiał paznokciami po szkolnej tablicy. Kierowany instynktem, odwrócił się w stronę jego źródła.

Kurwa! Kurwa! Kurwa! Czy ktoś tu był? Obserwował go, z tylko sobie znanych powodów?

Żółć wypełniająca mu przed chwilą gardło ponownie spłynęła do żołądka, który skurczył się, próbując wyrzucić ostatni posiłek zjedzony wiele godzin temu. Igor zignorował własne ciało. Zgrzyt zamienił się w tępe dzwonienie w jego uszach, aż w końcu ustał zupełnie i budynek ponownie był jak martwy.

Opuścił wzrok i zauważył, że na jego wojskowych butach, które kupił dzisiejszego popołudnia, osiadł popiół, zmieniając ich kolor z czarnego na szary. Powiódł wzrokiem po śladach, które zostawił, przemierzając wnętrza. Każdy krok odcisnął się idealnie w warstwie pyłu zmieszanego z ziemią i kurzem osiadającym w budynku od czasu pożaru.

– Kurwa! – zaklął głośno, mimo że ten, kto był tu przed nim, mógł nadal czekać przyczajony w ciemności.

Schutt dopiero teraz pomyślał o tym, jak wiele śladów zostawił. Uniósł czarne od sadzy dłonie. Wyglądały dokładnie, jakby policja zdjęła odciski z jego palców. Musiał to z siebie zmyć. Wyszorować, a potem... Nie miał pojęcia, co należało zrobić w takiej sytuacji. Może powinien lepiej słuchać, gdy miał ku temu okazję? Prawdopodobnie teraz wiedziałby, jak się zachować. Jak zatrzeć dowody swojej obecności.

Przezesął krótkie włosy, które dopiero zaczynały odrastać, próbując przypomnieć sobie, gdzie zostawił odciski.

Klamka, książka, ściany... – lista zdawała się nie mieć końca. A przecież jego obecność na miejscu zbrodni mogło zdradzić jeszcze tysiąc innych rzeczy. Pojedyncze włosy, odciski butów, włókna z ubrań. – *Jezu Chryste.*

Obejrzał się przez ramię na martwą dziewczynę. Prawie zazdrościł jej, że już nic gorszego nie mogło się jej przytrafić. Nikt nie mógł zranić jej bardziej. Przynajmniej nie dotykał ciała, chociaż nie był już pewien, czy zdołał się powstrzymać.

Jej widok przypominał mu, że musi działać. Podniósł grubą belkę i zatarł ślady glanów, tuż przy dziewczynie. Czuł, że ogarnęła go gorączka. Pot spływał mu wzdłuż kręgosłupa, wywołując fale dreszczy. Szarpały jego mięśniami tak bardzo, że trudno było mu nad nimi zapanować.

Przesuwał się ostrożnie, starając się nie przeoczyć ani jednego odcisku. Nie pozwoli, aby to się tak skończyło. Nie mógł dopuścić do tego, aby wszystko wróciło na stare tory.

Pozostawienie tej dziewczyny bez powiadomienia policji wydawało się niewłaściwe. Jak druga zbrodnia popełniona na jej ciele. Jednak Igor nie mógł zrobić nic innego. Musiał trzymać się z dala od kłopotów...



Pośliznął się na mokrej trawie, ale szybko odzyskał równowagę. Wciąż nie opuszczało go wrażenie, że jest obserwowany. Mimo to powstrzymał się przed spojrzeniem w bok. Okna hotelu, przy którym zaparkował, rozświetlało mnóstwo lamp. Dostrzegał cienie turystów przebywających wewnątrz budynku. Niektóre okna były uchylone i choć to mało prawdopodobne, musiał brać pod uwagę, że ktoś mógł usłyszeć jego kroki.

Wypuścił z drzeniem powietrze z płuc i uspokoił oddech.

Powoli – upomniął sam siebie. – Nie potrzebujesz publiczności...

Musiał opanować sytuację. Zachowywać się, jakby nic się nie wydarzyło. Jakby dopiero przyjechał na miejsce i nie miał pojęcia o trupie rozkładającym się w okolicy.

Kluczyki do auta upadły z brzękiem na asfalt. Odniósł wrażenie, że dźwięk poniósł się po okolicy jak hejnał z wieży mariackiej. Podnosząc je, zerknął dyskretnie przez ramię, jednak nikogo nie dostrzegł. Stare budynki trwały niewzruszenie. Majestatyczne i ciche jak wtedy, gdy ujrzał je po raz pierwszy.

Zanim wcisnął pedał gazu spojrzął ostatni raz na czarną taflę jeziora. Teraz przechowywało kolejną tajemnicę. Było świadkiem zdarzeń, które na razie znał tylko on i sprawca. Miał jednak świadomość, że to nie potrwa wiecznie. Walczył ze sobą, aby nie zawrócić tam, skąd przyjechał. Opuścić miejsce, które nie witało go z otwartymi ramionami. Ale przecież nie miał dokąd wracać. Czorsztyń był jedyną przystanią, w której mógł się zatrzymać.



Jadwiga Kobuz właśnie zagniała ciasto drożdżowe w drewnianej dzieży, którą jej ślubny wyrzeźbił dla niej z grubego pnia świerka, gdy uwiązany do łańcucha pies zaalarmował ją swoim ujadaniem. Westchnęła ciężko i wytarła dłonie o przewiązany w pasie fartuch. Robiła się już za stara do tej roboty. Każdy kolejny wypiek kosztował ją coraz więcej wysiłku. Waldemar też przyjmował mniej zleceń. Gdyby ich wnuk nie wyjechał do Krakowa i został na gospodarce, żyłoby się im łatwiej, a tak każdy dzień zdawał się wlec w nieskończoność.

– Nareszcie się zjawił... – mruknęła, rozglądając się za kluczami do chaty wybudowanej przez Pawła dla jakiegoś bogatego faceta, który od dzisiaj miał być ich sąsiadem.

Zanim wyszła, aby się z nim przywitać, zerknęła jeszcze przez świeżo wykrochmaloną firankę. Elegancki samochód zaparkowany przy furtce nie pasował do ich zagraconego podwórka. Pokręciła głową ze zrezygnowaniem, zapisując w pamięci, żeby zmusić Waldemara, aby w końcu zaczął korzystać z warsztatu na tyłach domu. Cały trawnik zavalony był kłodami drewna. Różnej wielkości pnie

przybierały coraz bardziej konkretne kształty, ale Jadwiga wiedziała, że minie jeszcze sporo czasu, zanim jej ślubny dokończy robotę.

W powietrzu unosił się zapach żywicy i trocin. Dom Kobuzów stał na niewielkim wzniesieniu, frontem zwrócony do tafli jeziora, znad którego zawiewał coraz silniejszy wiatr. Jadwiga spojrzała w niebo, spodziewając się zobaczyć burzowe chmury, a potem utkwiała swój coraz słabszy wzrok w mężczyźnie czekającym na nią przy furtce.

Nawet pomimo dzielącej ich odległości zauważyła, że nie było z niego żadne chuchro. Gruba bluza leżała na jego ramionach jak należy, a przystrzyżone tuż przy skórze włosy nie zasłaniały przystojnej twarzy.

Szybkim ruchem zgarnęła włosy wymykające się ze związanego tuż nad karkiem koka i ruszyła w kierunku mężczyzny, starając się chronić lewą nogę. Rwa kulszowa coraz bardziej dawała się jej we znaki. Całe szczęście, że nie trafiło jej jak poprzednim razem, gdy przez tydzień nie podnosiła się z łóżka. Najwyraźniej ciało już zrozumiało, że za kilka lat i tak się w końcu podda. Mimo tego sprawnie pokonała podwórko, szybko zbliżając się do swojego gościa.

– Dobry wieczór! – Wyciągnęła dłoń, którą uściśnął trochę zbyt mocno, a Jadwiga odniosła wrażenie, że był czymś poruszony. Wyglądał tak, jak gdyby sam diabeł przysiadł mu na ramieniu. I ta dziwna skaza na prawym oku. Brązowa tęczęwka rozlała się po białku oka. Może więc diabeł nie tylko rozgościł się na jego ramionach, ale również w duszy... – Spodziewałam się pana wcześniej. Paweł mówił, że powinien się pan zjawić koło południa.

– Witam. Miałem do załatwienia parę spraw. – Uciekł spojrzeniem w bok, nie wyjaśniając nic więcej, a ona poczuła ukłucie rozczarowania. Paweł obiecywał, że ten człowiek będzie porządnym sąsiadem, ale teraz nabierała wątpliwości. Na jego spodniach widniały ciemne smugi brudu. Co to za sprawy musiał załatwić, zanim tutaj dotarł?

– Wejdzie pan na kubek herbaty? – zaproponowała odruchowo, ale zaraz pożałowała swoich słów. Oparła się o maskę samochodu, szukając pozycji, w której mogłaby dać wytchnienie nodze. Żywiła nadzieję, że mężczyzna odmówi, bo miała coraz mniejszą ochotę na wpuszczanie go na podwórko.

– Może odłożymy moją wizytę na później. To była długa podróż, a ja jeszcze nie widziałem domu. – Spojrzał w kierunku, gdzie między drzewami majaczyła nowo

wybudowana chata.

– Niemądra jestem. Na pewno się pan zmęczył drogą, a ja tu pana trzymam na zimnie. – Wyciągnęła z kieszeni fartucha pęk kluczy. – Proszę. Ten jest do głównego wejścia. – Wskazała jeden z nich.

A potem patrzyła, jak ruszył drogą prowadzącą w dół do jeziora. Nie była pewna, ale wydawało się jej, że gdy zerknął we wsteczne lusterko, wzdrygnął się. Stała jeszcze przez chwilę, aż samochód zniknął w dole drogi, a potem przeżegnała się i wróciła do domu. Powinna wierzyć Pawłowi. Był przyjacielem jej wnuka. Zanim na dobre wyjechał z Czorsztyna, niejedną raz mogła liczyć na jego pomoc. Być może nadszedł czas, żeby mu się odwdziaczyć? Skoro on ufał temu mężczyźnie, ona również nie miała powodów, aby uznawać go za zagrożenie.



Igor pchnął drzwi i gdy przekroczył próg, instynkt podpowiedział mu, gdzie jest łazienka. Zrzucił z siebie bluzę i podkoszulek jednym szarpnięciem, a potem równie szybko pozbył się pozostałych ubrań. Woda była gorąca, więc ktoś musiał zadbać o uruchomienie bojlera. Nie miał głowy, żeby się nad tym zastanawiać. Pozwalał, aby wrzący strumień obmywał mu skórę. Odzwyczał się od luksusów, jakie oferował dom. Śnieżnobiałe kafle połączone ciemnymi fugami, z których żadna nie była nawet odrobinę wyszczerbiona. Bambusowa półka, na której w równym rzędzie poustawiano luksusowe kosmetyki. Przechylił jedną z butelek i naciskał, aż jasnozielony płyn przelał mu się na dłoni.

Szorował się tak długo, aż w końcu poczuł, że zmył z siebie cały kurz. Obejrzał dokładnie dłonie. Skóra na opuszkach palców była rozpulchniona i wyglądała, jakby nawet na chwilę nie wysiadł z samochodu.

Gdy ucichł szum prysznic, wydawało mu się, że usłyszał jakiś hałas. Pojedyncze stuknięcie, które mogło dochodzić z rur lub równie dobrze być wytworem jego wyobraźni. Nie miał ochoty tego sprawdzać. Poszedł do sypialni, a jego stopy zostawiły mokre ślady w korytarzu.

W powietrzu unosił się zapach nowości. Wszystko w tym domu pachniało bezosobowo. Wyposażenie i bibeloty poustawiane na półkach, ubrania, które znalazł w przestronnej szafie, pościel ułożona równo na dwuosobowym łóżku. Ten dom nie miał przeszłości. Dobrych ani złych wspomnień. Żadna historia nie

zaburzała jego energii. Nie był niczym więcej niż surowym drewnem, do którego upchnięto przyniesione ze sklepów rzeczy.

Sięgnął po komplet ubrań. Wszystko pasowało na niego idealnie. Półki wypełniono po brzegi garderobą przydatną na każdą pogodę. Nie musiał się wysilać, żeby postawić pierwszy krok w nowym życiu. Paweł zadbał o niego z obsesyjną dokładnością. Igor odnosił wrażenie, że nawet gdyby spróbował, nie znalazłby żadnych niedociągnięć.

Przemierzał kolejne pomieszczenia tylko po to, żeby się uspokoić. Jego wzrok na chwilę przyciągnął obrazek przedstawiający wizerunek Matki Boskiej. Rysy Madonny były płaskie i przywodziły na myśl rekonstrukcje ikon wykonanych przez domorosłych konserwatorów, które pokazywano w telewizji jako przestrozę przed niszczeniem dzieł sztuki.

– Pewnie dlatego wieczna dziewica, co? – mruknął i postanowił zostawić ją na widoku. Może nie była doskonała, ale coś musiało mu przypominać o tym, jak łatwo można wszystko spieprzyć.

W salonie leżały egzemplarze książki napisanej przez niego trzy lata temu. Nadal nie potrafił uwierzyć, że udało mu się doprowadzić to do końca.

Igor Schutt – *Żar*.

Sięgnął po jeden egzemplarz, czując coś na kształt dumy. Trzymanie go w dłoniach sprawiało, że mógł mieć nadzieję. Zaciągnął się zapachem farby drukarskiej, jakby była najlepszym narkotykiem. Na czerwonej okładce nadrukowano hasło „bestseller 2020”. Nadal nie dowierzał, jaki obrót przybrały sprawy, gdy wydawca postanowił nadać książce ostateczny kształt. Doprowadzić do końca coś, co dla niego było tylko ćwiczeniem pozwalającym przetrwać ostatnie lata.

To dzięki tym pięciuset kilkudziesięciu stronom mógł zacząć wszystko od nowa. Miał szansę, jakiej nie dostał nigdy wcześniej. Teraz wystarczyło tylko jej nie zmarnować. Na samą myśl, że mógłby wszystko zepsuć, w ustach zebrała mu się żółć.

Wróciły wspomnienia martwej dziewczyny. Usiadł przy stole, opierając czoło na dłoniach. Musiał to przemyśleć. Mógł czekać na rozwój wydarzeń, ale nauczył się już, że to nigdy nie przynosiło pożądanych skutków. Nie lubił tracić kontroli. Dopuścił do tego raz i nie zamierzał powtarzać tego błędu.

Pozostawała więc prawda. Jedyne, co musiał zrobić, to wybrać numer sto dwanaście na klawiaturze nowego telefonu. Powiedzieć policji, że znalazł tę dziewczynę przypadkowo, a to nie była żadna zbrodnia. Zachował się jak idiota, uciekając stamtąd. Panika przejęła nad nim kontrolę, ale nic nie zrobił. Fakt, że tam leżała, nie był jego winą.

Wyciągnął komórkę z kieszeni i położył ją na stole. Wraz z upływem kolejnych minut coraz bardziej się wahał. Dobrze wiedział, jak działała machina śledztwa. Takich jak on nikt nie słuchał. Był zbyt łatwym rozwiązaniem. Każdy śledczy uczepiłby się go jak rzep.

W końcu wstał, zostawiając telefon na blacie. Zrobi to z samego rana. Teraz musiał dać sobie czas na ochłonięcie...



Dobrochna oparła rower o mur na zaporze i spojrzała w dół, gdzie kotłowała się spieniona woda. Gdy była dzieckiem, nie potrafiła sobie wyobrazić, że pastwiska rozciągające się wzdłuż Dunajca znikną. Krajobraz zmieni się i zamiast wszechobecnej zieleni przed jej oczyma rozleje się morze błękitu. Zniknie stara droga prowadząca z Czorsztyna do Niedzicy. Wszyscy zapomną o przystani flisackiej i starych stodołach, które tak lubiła. Tata nie kupi jej już frytek w grzybku piwnym, który również zniknie pod wodą. Zamilkną dzwony w starym kościółku w Maniowach, do którego czasem zabierała ją matka.

Ale jezioro było ważne. Ludzie przechwalali się tym, że tama będzie najwyższą w Polsce. Gadali w kółko, że ujarzmią rzekę, która już nigdy nie zaleje pobliskich wsi. Że jezioro dostarczy wodę w okresach suszy.

Wróciła wspomnieniami do dnia otwarcia zapory. Nadal pamiętała łopot kolorowych tasiemek targanych przez wiatr. Chmury przesunęły się po niebie, nawarstwiając się coraz bardziej. W miejscu, w którym zatrzymała się dzisiaj, kiedyś stali ważni ludzie, którzy mieli przeciąć wstęgę i obserwować, jak Dunajec piętrzy się, zalewając teren, który w ciągu dwóch lat miał zmienić się w jezioro. Przez dwadzieścia cztery miesiące poziom wody miał wzrastać, aby osiągnąć ostateczną wysokość.

Jednak przyroda miała własne plany...

Fala powodziowa na rzece sprawiła, że zbiornik wypełnił się zaledwie w dwa dni, pochłaniając stare zagrody, pastwiska, drogi i wspomnienia mieszkańców.

Powinni zrozumieć wtedy, że to było ostrzeżenie. Znak, że zalanie tych terenów było niewłaściwe.

Powiodła spojrzeniem w kierunku półwyspu Stylchyn, którego nie mogła dojrzeć z miejsca, gdzie stała. Gdzieś tam była osada, której tak bardzo nienawidziła. Czarne budynki, które powinny pozostać tam, gdzie były wybudowane. Gdyby zostawili to miejsce w spokoju, nie wydarzyłoby się nic złego. A teraz już za późno. Wszystko było stracone, nie tylko dla niej...

Rozdział 3



– Podobno Zacharową karetka zabrała do szpitala w Nowym Targu. Nawet nie pozwolili jej podejść do ciała Magdy. Mój Piotrek mówi, że jak tylko zobaczyła go na progu, poszarzała na twarzy, jak gdyby sama śmierć zapukała do jej drzwi.

Maryna Kurpiel opatuliła się szczelniej grubym płaszczem. Dochodziła dziewiąta, a ona nie zmrużyła oka właściwie przez całą noc. Gdy tylko Piotrek dostał informację, że jest potrzebny na komendzie, wstała, żeby przygotować mu prowiant i termos ciepłej herbaty. A potem, gdy sen w końcu zaczął ją morzyć, syn wpadł do domu, żeby odpocząć. To wtedy opowiedział jej o wszystkim. O Magdzie, którą ktoś podobno rozplątał na pół, a potem zostawił w osadzie na pastwę okolicznych zwierząt. I o tym, że to właśnie on został wyznaczony do tego, aby poinformować Zacharów, że będą musieli pochować swoje jedyne dziecko...

Maryna wzdrygnęła się, gdy wyobraziła sobie zwłoki, a przecież nie takie rzeczy już w życiu widziała. Ta osada była przeklęta. Mimo że ksiądz obiecywał, że po poświęceniu budynków wszystko się odmieni. A teraz znowu zacznie się cyrk. Najpierw policja będzie bez końca chodziła po wsiach i rozpytywała ludzi o ich życie, a potem, nie daj Boże, zjadą się dziennikarze.

Marynie było oczywiście żal kobiety, która właśnie straciła dziecko. Też miała córkę, więc potrafiła sobie wyobrazić, co czuła Zacharowa, kiedy Piotrek informował ją o śmierci Magdy. Gdyby jej Ani stało się coś złego, poruszyłaby niebo i ziemię, żeby ukarać sprawcę. Mimo wszystko...

– Po co łąziła sama po nocy? – Głos sąsiadki, którą przyciągnęła do osady, gdy tylko Piotrek powiedział jej o zwłokach, był zrzędlawy. Jej pytanie zdawało się skrywać pretensję do denatki. Jakby śmierć Magdy była obrazą dla miejscowych.

– Podobno pracowała od jakiegoś czasu w hotelu. Zrobili bar na drugim piętrze i ona tam kelnerowała na nocnej zmianie.

Maryna wskazała brodą na pobliski budynek, czując ukłucie satysfakcji, że mogła być źródłem informacji dla gromadzących się na trawie ludzi. Chciała podkreślić, że od początku miała rację. Gdy rozpoczęto budowę hotelu, z miejsca nabrała złych przeczuc. Stała zbyt blisko starych zabudowań, a ona odnosiła wrażenie, że historia się powtarzała. Tak jak wcześniej budowa tamy zakłóciła harmonię wsi Maniowy, tak teraz hotel burzył spokój zrekonstruowanych dawno temu budynków.

Obejrzała się przez ramię na faceta, który stał tuż za nimi, i uśmiechnęła się do niego przelotnie. Nie widziała go tutaj wcześniej. Zapamiętałaby na pewno jego postawną sylwetkę i krótko obcięte włosy. Miał przystojną twarz. Tylko ta dziwna skaza na jego oku nieco psuła ogólne wrażenie. Nie odpowiedział na jej uśmiech, powiódł wzrokiem po hotelowych balkonach, gdzie stało kilka osób, a potem powrócił do obserwowania restauracji „U Szperlinga”.

Maryna skupiła się więc z powrotem na funkcjonariuszach kręcących się wokół pogorzelska, próbując dojrzeć wśród nich Piotrka. Jej syn dopiero rozpoczął karierę w miejscowej policji, ale matczyne serce przeczuwało, że za kilka lat obejmie stanowisko, o które rywalizował z Anną Zdrojewską. Odszukała wzrokiem policjantkę ustalającą z komisarzem Małeckim szczegóły śledztwa. Wydawał jej polecenia oschłym tonem. Był znudzony. Co chwila zerkał na zegarek, jakby odmierzał czas do momentu, gdy będzie mógł powrócić do ciepłego biura. Jednak Anna wyglądała na zdeterminowaną. Jej drobne ciało zdawało się napięte jak struna. Potakiwała z uwagą, zapisując coś w notesie wyciągniętym z kieszeni kurtki. Maryna westchnęła. Wolałaby, żeby Zdrojewska była mniej zawzięta. To ułatwiłoby Piotrkowi karierę. Trzeba będzie iść do księdza i zamówić mszę w tej intencji. Czekanie na potknięcie Zdrojewskiej było zbyt ryzykowne.

– Jak ją znaleźli? – Mężczyzna za jej plecami w końcu postanowił się odezwać. Miał przyjemny, lekko zachrypnięty głos.

– Panie, co ja tam wiem? – Maryna stanęła do niego przodem, świadoma, że toczące się wokół nich rozmowy ucichły, a sąsiedzi nadstawili uszu, żeby usłyszeć, co miała do powiedzenia. A przecież miała całkiem sporo. Piotrek zdążył zdać jej raport, zanim znowu wezwali go do obowiązków. – Przeszukali wszystko w okolicy. Każdy kamień podnieśli, żeby ją znaleźć. Latali jak kot z pęcherzem

przez pół nocy, odkąd Zacharowa zadzwoniła z informacją, że Magda nie dotarła do pracy.

– Albo ktoś wskazał im miejsce...

Maryna poczuła nagłą złość, że mężczyzna podważał jej słowa. W dodatku nie patrzył na nią. Pocierał palcem wskazującym swoje jasne wąsy, nie spuszczać wzroku z czarnego worka, który technicy właśnie wynosili z budynku.

– Raczej sami wpadli na rozwiązanie – mruknęła, czując, że skóra na jej policzkach pokrywa się czerwienią. Nie lubiła być ignorowana. Przez tego przybłądę źle wypadła w oczach sąsiadów.

– Mają jakieś podejrzenia? – Sąsiadka pociągnęła ją za rękaw, żeby zwrócić na siebie jej uwagę. Dobrze zrobiła, że ją tutaj przyprowadziła. Przynajmniej ona wyrażała zainteresowanie tym, co Maryna miała do powiedzenia.

– Podobno byli rano u Koterby. Nie zdziwiłabym się, gdyby to on zabił tę biedaczkę. Magda nigdy nie potrafiła trzymać gęby na kłódkę. Mnóstwo ludzi widziało, jak w zeszłym roku wygarnęła mu przy wszystkich na dożynkach.

– Masz rację – sąsiadka przytaknęła gwałtownie, a cichy pomruk tłumu zdawał się potwierdzać jej opinię. – Słyszałam, że w zeszłym tygodniu Koterba tak pobił Kaśkę, że ledwo wstawała z łóżka. Kiedyś ta kobieta odnajdzie w sobie odwagę i w końcu zgłosi się na policję, żeby zrobili z Marcinem porządek.

Gapie rozstąpili się przed karetką zjeżdżającą na asfalt. Maryna przesunęła się razem z tłumem, próbując ocenić, czy jej słowa zrobiły na ludziach wrażenie. Ale gdy samochód zniknął za zakrętem, szybko stracili zainteresowanie Magdą Zacharą, wracając do swoich spraw. Jakby fakt, że w okolicy ktoś pozbawił życia innego człowieka, nie miał większego znaczenia.



Igor ruszył drogą pnącą się w górę. Przyjechał do osady na rowerze znalezionym w garażu. Nie chciał się poruszać jeepem. Ktoś mógł skojarzyć, że samochód był zaparkowany pod hotelem poprzedniego wieczora.

Trasa rowerowa prowadziła wzdłuż jeziora, nad którym wisiała jeszcze mgła, a okolica była praktycznie pusta, bo drobny deszcz zmusił turystów do rezygnacji z wycieczek. Nie odrywał wzroku od asfaltowej ścieżki migającej pod kołami

roweru. W niektórych miejscach musiał uchylać się pod gałęziami zwieszającymi się na trasę, jednak nie zwalniał.

Latami marzył o takiej wolności. O tym, żeby ruszyć przed siebie, delektując się pagórkowatym terenem rozciągającym się wokół jeziora. Móc wybierać wyznaczone ścieżki lub ignorować drogowskazy i ścinać zakręty po mokrej trawie. Uniósł na chwilę wzrok i skupił się na owcach wypasających się powyżej trasy. Poruszały się niespiesznie, nie zważając na pierwsze owady, które natarczywie krążyły wokół stada. Młody chłopak w regionalnym stroju uniósł dłoń, w której trzymał gruby kij i pozdrowił go, gdy zorientował się, że Igor mu się przyglądał. Życie toczyło się swoim torem, a restauracja „U Szperlinga”, od której oddalał się coraz bardziej, wydawała się w tej scenerii nierealna.

Karcznię na początku dwudziestego wieku nabył od rodu Drohojewskich przedsiębiorczy Żyd – Leopold Szperling. Mimo popularności miejsca, w które zainwestował, i dbałości o odwiedzającą go śmietankę towarzyską nikt nie zdołał uchronić Leopolda przed przeznaczeniem. Po wybuchu wojny został rozstrzelany i jego śmierć zawisała nad tym miejscem jak czarna chmura. Jakby przeklął swoją restaurację, skazując ją na coraz większy mrok.

A teraz, gdy Igor coraz bardziej się od niej oddalał, była jak zły sen ulatniający się z pierwszym braskiem poranka.

Magdalena Zachara... Przypisanie jej imienia i nazwiska sprawiło, że poczuł z nią niewytłumaczalną więź. Całą noc męczyły go koszmary o błyszczących od krwi wnętrzościach. Miał wrażenie, że jelita przesuwają się pod skórą dziewczyny, jakby nadal oddychała, a nabierane przez nią powietrze pompowało krew w jej żyłach. Że czekała, aż Igor coś zrobi. Złapie fałdy postrzępionej skóry i zamknie ją, jakoś naprawi...

W głowie mu huczało po źle przespanej nocy. Powinien od razu zawiadomić policję, ale popełnił błąd, odkładając to do rana. A teraz było już za późno...

– Daj go tutaj! – Z zamyślenia wyrwały go jakieś śmiechy. – Co tam, Janek? Dalej podoba ci się łożenie za nami?

Zwolnił, próbując ustalić, skąd dobiegały głosy. W tym miejscu nad ścieżką biegło wzniesienie porośnięte gęstymi krzakami.

– Zasłużyłeś na to, głupku. Dorobimy ci jeszcze ślad z drugiej strony, żeby było równo.

Słowa brzmiały niepokojąco. Nie zamierzał się zatrzymywać, ale gdy ciszę poranka przecięło pełne bólu skomlenie, jego palce same zacisnęły się na hamulcach.

– Może powinniśmy wybić ci zęby, co? Wtedy na pewno nie rozprujesz się na komendzie. Kurwa, trzymaj go mocniej! Siostrunia go tym razem nie uratuje!

Wystarczyło parę kroków, aby interweniować. Wystarczyło tylko... Kolejne, pełne bólu zawodzenie sprawiło, że Igor zsiadł z roweru. Zwinął pięści, żeby powstrzymać się przed ściśnięciem skroni, gdy wspomnienia atakowały go z podwójną siłą. Krzyki chłopaka zlały się z tymi, które słyszał we własnej głowie.

Przed oczami jak na zawołanie pojawiły się wspomnienia. Mokrej podłogi, po której do wyszczerbionego odpływu ściekała krew. Śmiechów zagłuszających jego krzyki. Bólu rozchodzącego się po plecach, gdy ciosy trafiały we wrażliwe miejsca. I wody zalewającej oczy, gdy próbował skupić wzrok na pochylonych nad nim twarzach.

Wbrew sobie wspiął się na pagórek. Był w transie. Świat ograniczył się do drobnych kamieni osypujących się spod jego ciężkich butów.

– Zostaw go! – Ze zdziwieniem odkrył, że zaciskał palce na metalowym pręcie. Nie miał pojęcia, kiedy go podniósł.

Dłoń napastnika, który siedział na chłopaku zasłaniającym twarz, zawisła w powietrzu.

– Złaż z niego. – Igor wycedził cicho, jednak w tonie jego głosu czaiła się wyraźna groźba.

– Bo co?

– Bo zamienisz się z nim miejscami. – Gdzieś z tyłu głowy pojawiła się myśl, że zachowywał się wyjątkowo głupio, jednak było już za późno, żeby się wycofać. Chwycił pręt mocniej, starając się nie tracić z oczu również drugiego napastnika. – No dalej... spieprzajcie stąd, bo nie będziecie mieć drugiej szansy.

– Odpierdol się. – Chłopak otarł rękawem strużkę wodnistego kataru, a drugi mężczyzna, zachęcony jego reakcją, postawił krok w kierunku Igora. Jego postawa budziła niepokój, mimo że nie odezwał się słowem. Przygarbione ramiona i rozbiegany wzrok, którego nie potrafił skupić na jednym punkcie, świadczyły o emocjach, które prawdopodobnie nim targały. Igor z miejsca, gdzie stał, wyczuwał jego podekscytowanie faktem, że może zrobić komuś krzywdę.

– Chyba że chcesz mieć kłopoty... Chcesz?

Zostawił dzieciaka w spokoju i zbliżył się na odległość, która Igorowi przestawała odpowiadać.

– Nie chcę. I uwierz mi, ty też nie. – Dawna terapeutka nie byłaby zachwycona zaczepną nutą, która pojawiła się w głosie Schutta. Cóż... mógł mieć to w dupie.

– A skąd ty, kurwa, wiesz, czego ja chcę, co?

Mięsień na szyi się napiął, zdradzając, jak niewiele dzieliło Igora od pokazania gnojkwowi, że znał takich jak on doskonale. Potrafił rozgryźć go w pięć sekund. I bezbłędnie wiedział, gdzie uderzyć, żeby koleś rozsypał się w okamgnieniu.

– A może zapierdolę ci ten fikuśny rower? – Kolejny krok sprawił, że Schutt się wyprostował.

Z ulgą odnotował, że mężczyzna z rozbieganym wzrokiem odszedł, jakby zniszczenie roweru pozostawionego na obrzeżach ścieżki było lepszą rozrywką. Igor pozwolił sobie na krótkie spojrzenie w jego kierunku. Szedł rozchwianym krokiem, który zdradzał, że od rana folgował swoim nałogom.

– To by było niefortunne... mam tylko jeden.

Chłopak był szybki, ale wypity alkohol spowalniał jego ruchy, a Igor był już przygotowany. Wypuścił pręt i złapał pięść wyrzuconą w stronę swojej twarzy, a potem wykręcił napastnikowi rękę. Głośne stęknięcie tamtego sprawiło mu satysfakcję. Powoli się zatracił. Jego oddech stawał się coraz szybszy. Pole widzenia zawężyło się tylko do szarpiącego się pod jego naciskiem chłopaka. Musiał to przerwać... Zapanować nad ogarniającym go coraz bardziej pragnieniem, aby zrobić tamtemu krzywdę.

– Zajebię cię, ty kurwiu, słyszysz? – Słowa mężczyzny były bardziej jękiem niż groźbą. Igor dopiero teraz zauważył, że na palcach miejscowego wytatuowany był napis „HATE”. Tatuaz był słabej jakości. Widział w swoim życiu takich wiele. Został wykonany w domowych warunkach lub w więziennej celi. Być może więc źle ocenił szarpiącego się pod jego chwytem napastnika? Być może powinien potraktować go poważniej?

– Albo nie... Albo zrobimy to, co zasugerowałem wcześniej. – Przysunął usta do ucha chłopaka tak blisko, że mógł zniżyć głos do szeptu, a tamten i tak by go usłyszał. Przez zaciśnięte zęby propozycja zabrzmiała niewyraźna. – Rozejdziemy się każdy w swoją stronę i zapomnimy o tym spotkaniu, co ty na to?

Ciało chłopaka rozluźniło się, więc odepchnął go od siebie z całej siły, chociaż nie miał na to ochoty. Ostatnie lata nauczyły go, żeby nie zostawiać takich spraw w pół drogi. Należało kończyć je definitywnie, zanim staną się jeszcze groźniejsze. Powinien go chwycić i przycisnąć mocniej. Zostawić po sobie ślad w jego psychice. Sprawić, żeby już nigdy nie wpadł na pomysł grożenia innym... Ale ten dzień nie był przeszłością. To było nowe życie. Powtarzał to sobie tak długo, aż w końcu poczuł, że może odpuścić.

Zanim Schutt zajął się sponiewieranym dzieciakiem, usłyszał jeszcze brzęk metalu, gdy tamci wyżywali się na jego rowerze. Nie poczuł żalu na myśl, że zapewne będzie musiał oddać go do naprawy. Miał jeszcze samochód, mógł też poruszać się pieszo. Zresztą nie planował żadnych dalekich wypraw. Ukucnął przy dzieciaku, który nadal nie zmienił pozycji, i delikatnie ujął go za ramię.

– Hej... Już poszli. Możesz wstać.

Dłonie chłopaka powędrowały powoli w dół, a na Schutta spojrzały rozszerzone strachem jasne oczy. Ni to stwierdzenie, ni oskarżenie padło z ust poturbowanego nastolatka.

– Oooobcyyyy!

Rozdział 4



– Ooooobcyyyyy! Ooooobcyyyyy! – Igor wpatrywał się w mówiącego ze śpiewnym akcentem nastolatka. Jego zęby zdawały się zbyt duże w stosunku do drobnej twarzy. Jak u kilkulatek, któremu właśnie wymieniały się mleczaki na stałe zęby. Czarne włosy opadały mu na jasnoniebieskie oczy, w dziwnej dysharmonii. Twarz chłopaka wyglądała, jakby ktoś zamknął czas w czarno-białym zdjęciu.

– Proszę, wszystko jest tutaj. – Kelnerka wręczyła Schuttowi plastikową apteczkę, o którą ją wcześniej poprosił, i wskazała na Janka. – Jeżeli będzie sprawiał problemy, zostanie wyrzucony.

Zignorował jej słowa, więc pozostała jeszcze chwilę przy stoliku, po czym z westchnieniem odeszła w stronę baru.

Zaciągnął chłopaka do knajpy, uznając, że ktoś powinien zająć się jego twarzą. Odniósł wrażenie, że gdy weszli do środka, atmosfera się zmieniła. Rozmowy prowadzone przez mężczyzn siedzących w rogu sali umilkły, a ich oczy śledziły go, gdy ciągnął chłopaka do stolika. Na wszelki wypadek usiadł tak, aby mieć na nich oko. Wyprzedzanie wypadków dawało szansę na przetrwanie. Tu czy gdziekolwiek indziej...

– Trzeba oczyścić te zadrapania. Jeżeli tego nie zrobimy, może wdać się zakażenie. – Nasączył gazę wodą utlenioną i dał mu znać, co zamierzał zrobić.

Janek zignorował wyciągniętą w jego stronę dłoń. Przekrzywił głowę i zamrugał parę razy, zdziwiony życzliwymi słowami.

– Ooooobcyyyyy!

Uczucie, które ogarnęło Igora, gdy chłopak pochylił się przez stół, a potem przejechał dłonią po jego krótkich włosach, było co najmniej surrealistyczne.

Chwycił go za nadgarstek i odsunął się poza jego zasięg. Dopiero wtedy zauważył, że palce lewej dłoni Janka były wykręcone pod dziwnym kątem. Ten skurcz sprawiał, że ramię chłopaka odrobinę się unosiło.

– Tak, jestem obcy, ale możesz mówić do mnie Igor, okej?

Czekał na jakąkolwiek reakcję, ale Janek nagle stracił nim zainteresowanie. Rozglądał się po knajpie rozbieganym wzrokiem, od czasu do czasu poruszając okaleczoną dłonią, jakby odganiał od siebie niewidzialne dla zwykłych ludzi zagrożenie. Igor nie miał pojęcia, co powinien z nim zrobić, ale czuł się za niego odpowiedzialny. Zawsze kierował się zasadą, że trzeba dbać o to, co się uratowało. Choćby zrobiło się to przypadkiem.

– Niech się pan nie przejmuj. – Kelnerka znowu przystanęła przy ich stoliku. – On tak zawsze. Pakuje się w kłopoty przynajmniej dwa razy w tygodniu. Dobrochna ma z nim pełne ręce roboty.

– Dobrochna? – Igor zerknął na Janka, ale rzucone przez dziewczynę imię nie zrobiło na nim wrażenia.

– Jego siostra. – Kelnerka wzruszyła ramionami, strzelając balonem z gumy, którą zawzięcie żuła. – Opiekuje się nim, odkąd ich rodzice spalili się w osadzie.

Dziewczynie w końcu udało się przykuć uwagę Schutta. Wzdrygnął się, a drobne włoski na jego ciele uniosły się naelektryzowane falami dreszczy.

– Spalili się? – Miał nadzieję, że się przesłyszał. Nie wierzył w zrządzania losu, ale być może nie spotkał tego chłopaka bez przyczyny.

– No... W tej restauracji, gdzie ktoś zabił Magdę Zacharę. Słyszał pan o tym? – Uniosła brwi i po chwili odpowiedziała za niego. – Pewnie nie. Nigdy wcześniej tu pana nie widziałam. Pewnie jest pan tutaj tylko przejazdem?

– Jak to się stało? – Nie chciał jej wyjaśniać, że zamierzał osiedlić się w Czorsztynie na stałe. Zresztą zaczynał mieć poważne wątpliwości, czy naprawdę powinien to zrobić.

– Jak ją zabił? Nie mam pojęcia. – Przesunęła językiem gumę z jednego policzka do drugiego. – Mówiliśmy jej z dziewczynami, żeby nie rzucała pracy. Co z tego, że szef się na nią wziął? Nie kasa się ręki, która cię karmi, a ten facet od hotelu to niby poważny biznesmen, ale jakiś podejrzany...

– Pytałem o pożar.

– Aaaaa, to nie wiem. To było ponad dziesięć lat temu. Ja jeszcze byłam mała i nie interesowałam się tymi sprawami. – Ponownie wzruszyła ramionami i sięgnęła do fartucha po notes. – Będzie pan coś zamawiał?

Wybrał pierwszą potrawę z karty i znowu skupił się na chłopaku, który wpatrywał się nieruchomo w czarnego kota przycupniętego w ciemnym kącie.

– Zjemy i odprowadzę cię do domu. Pokażesz mi, gdzie mieszkasz? – zapytał, wyciągając z kieszeni kurtki paczkę papierosów. Nadal była nienaruszona, mimo że zeszłej nocy zerwał z niej folię, żeby chociaż poczuć zapach tytoniu. Teraz nie miało to znaczenia, bo knajpa była przesiąknięta dymem, który sprawiał wrażenie, jakby mgła znad jeziora przecisnęła się do wnętrza przez szczeliny w oknach.

Igor pochylił się, żeby jego twarz znajdowała się na poziomie wzroku Janka. Ciekawe, czy to śmierć rodziców sprawiła, że coś było z nim nie tak. Ile mógł mieć wtedy lat? Pięć? Może trochę więcej, ale na pewno był małym dzieckiem.

– Ile z tego pamiętasz, co? – mruknął, postukując paczką o blat stolika. – Skrywasz jakieś ciekawe historie?

– Jeden, dwa, Janek ma...

Igor spał się w oczekiwaniu na to, co Janek miał mu do powiedzenia. W chłopaku zaszła zmiana. Był teraz bardziej skupiony. Jakby szukał odpowiednich słów, aby opisać swoje tajemnice.

– Przestań wypytywać o stare sprawy, chłopcze. – Zaniehbany mężczyzna pochylił się nad nim. Z ust starca śmierdziało nieprzetrawionym piwem i zepsutymi zębami. Schutt domyślił się, że miejscowy podsłuchał jego rozmowę z kelnerką.

– Nie prosiłem o radę. – Zacisnął szczękę tak mocno, że zadrżał mu mięsień na policzku.

– A ciebie nikt nie prosił o grzebanie w przeszłości. Nic ci do tego. Zostaw w spokoju tych, których już tutaj nie ma.

Schutt otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale wtedy Janek wysunął się ze swojego miejsca na ławie.

– Idę... – postanowił i nie poświęcając mu więcej uwagi, skierował się do drzwi. Jego spojrzenie było w tym momencie zupełnie przytomne. Nawet plecy chłopaka wyprostowały się i nie wyglądał już jak wcześniej, jak gdyby ktoś złożył na jego ramiona niewidzialny ciężar. Zanim dotarł do drzwi, odwrócił się do Igora

i dokończył: – Trzy, cztery, smaczne sery. Pięć, sześć, chciał je zjeść. Siedem, osiem, spotkał Zosię...



Piotr Kurpiel ledwo trzymał się na nogach. Dopiero dzisiejsza noc uświadomiła mu, że zima nie odpuściła jeszcze na dobre. Kiedy znaleźli w końcu Magdę Zacharę, trawę pokrywał szron, a wrony stroszyły pióra na nagich gałęziach drzew, próbując zatrzymać przynajmniej odrobinę ciepła.

Mimo że przez ostatnie godziny pozostawał ciągle w ruchu, przemarzł do kości. Nawet gorąca herbata, którą zaserwowała mu matka, nie sprawiła, że poczuł się lepiej. A teraz czekało go jeszcze sporo pracy.

Jednak nie narzekał. Naczelnik wyznaczył mu odpowiedzialne zadanie i Piotr czuł, że to pierwszy krok ku poważnej karierze śledczego. Być może góra zauważy jego potencjał i przeniosą go do większego miasta? Początkowo był zadowolony, gdy przydzielili go do służby w nowotarskiej komendzie powiatowej, do tego w wydziale do walki z przestępczością przeciwko życiu i zdrowiu. Ale szybko okazało się, że na tym zadupiu do dzisiejszego poranka nie działo się nic ciekawego. W Krakowie albo w Warszawie na pewno czekało więcej wyzwań, których mógłby się podjąć.

Tymczasem wkroczył do recepcji hotelu i podszedł do kontuaru, przy którym siedziała piersiasta blondynka.

– Aspirant Piotr Kurpiel. – Poczł satysfakcję, mogąc pomachać przed twarzą przestraszonej dziewczyny służbową legitymacją. Nieczęsto miał okazję to robić, ale gdy tylko się nadarzała, sięgał szybkim ruchem do kieszeni. – Niech pani zadzwoni po właściciela hotelu. Mam do niego parę pytań.

– Szefa dzisiaj nie ma. Przyjeżdża z Krakowa dopiero pojutrze.

– Magdalena Zachara. – Wymówił nazwisko zabitej z rozmysłem, mrużąc przy tym oczy. – Podobno tutaj pracowała?

– Tak... – Recepcjonistka przełknęła ślinę. – Ale wczoraj nie dotarła do pracy. Kierownik baru nawet kazał mi do niej zadzwonić, ale nie odbierała. Teraz już wiadomo dlaczego.

– Wiadomo? – Uniósł brew, tak jak robili to śledczy w jego ulubionych kryminałach. – Z tego, co mi wiadomo, nic nie zostało jeszcze ustalone.

– No tak, ale przecież ona... – Recepcjonistka się spłoniła. – Przepraszam, nie chciałam.

– O której to było? – Piotr, zgodnie z wytycznymi otrzymanymi od komisarza Małeckiego, miał tylko sprawdzić monitoring, jednak uznał, że nie zaszkodzi, jeżeli trochę przemagluje tę kobietę, tym bardziej że była w jego typie. Drobną blondynką z dużym biustem i ustami stworzonymi do nieprzyzwoitych rzeczy. Przechylił się przez kontuar, żeby zerknąć w jej głęboki dekolt, niezrażony tym, że rzuciła mu oburzone spojrzenie.

– Miała zacząć zmianę o szesnastej. – Blondynka upewniła się, sprawdzając grafik w zeszycie leżącym na biurku. – Myślę, że dzwoniłam jakieś piętnaście minut później.

– Długo próbowała ją pani namierzyć?

– Może ze dwa razy...

– Tylko tyle? Nie zaniepokoiła się pani, że pracownica nie stawiała się na swojej zmianie?

– Cóż... zatrudniamy wielu ludzi i proszę mi wierzyć, że nagminnie porzucają pracę. – Wyprostowała ramiona i zadarła brodę, jakby jego pytania ją uraziły.

– Dlaczego? – Dobrze znał odpowiedź na to pytanie. Ludzi szybko nużyła ciężka robota. Lepiej im było siedzieć w domu, przy ciepłym piecu i pobierać zasiłek od państwa, niż chociaż trochę się wysilić i zadbać o samych siebie.

– Nie mam pojęcia. – Teraz w jej głosie dało się odczytać wyraźną wrogość. – Mogę pomóc w czymś jeszcze?

– Chciałbym zobaczyć miejsce, gdzie trzymała swoje rzeczy osobiste.

– Oczywiście.

Dziewczyna poprowadziła go długim korytarzem na zaplecze, gdzie w rzędach ustawiono metalowe szafki pracowników. Tym razem miał widok na jej wyćwiczone łydki i zgrabny tyłek, który opinała ciasna spódnica. Przez chwilę pożałował, że rozmawiał z nią ostrzej, niż powinien. Miał już dwadzieścia dwa lata i jakoś do tej pory nie udało mu się spotkać dziewczyny, która by się nim zainteresowała.

Zaplecze przypominało mu szatnie przy salach treningowych w szkole policyjnej w Szczytnie, gdzie spędził ostatnie lata. Krew, pot i łzy, które przelał w ukryciu, gdy nikt nie zwracał na niego uwagi. Nawet zapach unoszący się w powietrzu podobny – to woń wysiłku i ciężkiej pracy.

– Proszę. – Blondynka otworzyła szafkę Zachary i cofnęła się o krok.

Kurpiel podszedł powoli do regałów, a puls mu przyspieszył. Być może w niewielkim wnętrzu znajdowało się rozwiązanie, które tylko czekało, aż ktoś wyciągnie po nie rękę. Tak właśnie zrobił, wygrzebując z półek butelkę z szamponem, balsam do ciała i szminkę we wściekle czerwonym kolorze. Poświęcił jej moment, zastanawiając się, czy to ta sama, którą Zachara miała na ustach w momencie śmierci.

Na samym dnie szafki leżała zapalniczka z napisem wygrawerowanym na srebrnej obudowie. Po chwili namysłu wrzucił ją z powrotem do szafki. To, że Zachara była dewotką, nie miało już żadnego znaczenia.

Godzinę później Piotr przez szparę w drzwiach wsunął głowę do gabinetu naczelnika Małeckiego. Wiedział, że stary przyk nie będzie zachwycony jego raportem, ale nie miał wyjścia. Idąc tutaj, obmyślał, w jaki sposób przekazać mu informacje, aby nie rozeźlić go ostatecznie.

– Właż Kurpiel. Przestań się czaić jak śmierć pod drzwiami depeesu. – Małecki uniósł wzrok znad wysuniętej szuflady i machnął ręką, zapraszając go do środka. – Udało ci się coś ustalić?

– Od szesnastej nie było z nią żadnego kontaktu.

– O tym wiemy już z zeznań jej matki, chłopcze. – Nic nie wskazywało na to, aby zrobił na szefie dobre wrażenie. – Co z monitoringiem?

– Przejrzałem zapis nagrany między szesnastą a piątą rano, gdy ją znaleźliśmy. Kamera nie uchwyciła Zachary w żadnym momencie. W jej zasięgu kręcili się tylko goście hotelowi i samochody.

– A co z trasą, którą zwykle chodziła z domu do pracy? – Małecki zabębnił palcami po biurku, zapewne mając już dość ich rozmowy.

– Będziemy przeglądać monitoring z domów w tamtej okolicy, ale to trochę potrwa. To głównie weekendowe i letnie daczki, których właściciele nie zjechali jeszcze na sezon.

– W porządku. Jak tylko uda ci się coś ustalić, od razu daj znać. Nie chcę mieć tutaj większego burdelu niż jest, zrozumiałeś?

– Tak jest!

Piotrowi nie trzeba było powtarzać dwa razy. Teraz wszystko zależało od niego. Szef najwyraźniej zrozumiał, że mając wybór między nim a Zdrojewską, rozsądniej było wybrać jego.



O poranku dom sprawiał wrażenie mniej przyjaznego. Być może była to kwestia mgły unoszącej się nad jeziorem i wpełzającej na brzeg u podnóża działki. Albo po prostu wydarzenia, których był świadkiem, nastroiły go negatywnie do tego miejsca. Tak czy inaczej Igor nie poczuł się dobrze, nawet gdy wlał w siebie podwójne espresso.

Usiadł na miękkiej kanapie zwróconej w stronę olbrzymich okien, sprawdzając potencjał mebla. Było mu wygodnie, jednak nadal czegoś brakowało. To miejsce było tylko budynkiem i nie sądził, aby kiedykolwiek miał się tutaj poczuć jak w domu.

Jego wzrok padł na stolik wykonany z pnia drzewa. Lakier nadal błyszczał, nieprzetarty jeszcze przez ciągłe przesuwanie po nim przedmiotów. Igor dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że ktoś zostawił na stoliku jego powieść. Wziął książkę do ręki, aby odłożyć ją na miejsce, jednak jego uwagę przykuł fakt, że ten egzemplarz wyglądał inaczej niż inne. W przeciwieństwie do pozostałych przedmiotów przygotowanych dla Schutta, książka nie była nowa. Powiedziała by nawet, że ktoś przeczytał ją wielokrotnie.

Gdy przekartkował ją pobieżnie, odkrył, że w kilku miejscach zakreślono pojedyncze słowa żółtym markerem. Odszukał pierwsze wyróżnione miejsce.

– Znajdź – odczytał na głos, a potem poszukał kolejnego słowa. – Prawdę.

Zmarszczył brwi, czując, jak jego umysł budził się do życia, jakby wypita wcześniej kawa właśnie zaczynała działać. Zawahał się, jednak kontynuował. Słowo za słowem wyrazy lądowały na czystej kartce.

„ZNAJDŹ PRAWDĘ. NIC NIE JEST TAKIE, JAK SIĘ WYDAJE”.

Nie rozumiał, dlaczego ktoś zadał sobie trud, aby zaznaczyć w jego powieści to konkretne przesłanie. Nie miał pojęcia, kto i dlaczego zostawił ten egzemplarz w jego domu. Jednak gdy odłożył książkę na stolik, a okładka odchyliła się, ukazując stronę z dedykacją, wstrzymał oddech. Jeżeli wcześniej miał jakieś wątpliwości, teraz był pewien, że słowa były skierowane do niego.

W miejscu pierwotnej dedykacji wykreślono imię Kamili i wpisano jego własne...

Rozdział 5



Dobrochna wpatrywała się w mężczyznę pływającego w jeziorze. Młócił ramionami powierzchnię wody, jakby od tego zależało jego życie. Rozchlapywane przez niego krople wpadały do wody, rozpuszczając się w niewielkich okręgach.

Igor Schutt...

Kobuzowa była bardzo rozmowna, gdy zapytała o niego. Podobno przyjaźnił się z Pawłem. Mogłaby zadzwonić do niego i zapytać, czy powinna się martwić, jednak z jakiegoś powodu tego nie zrobiła. Wolą sama się przekonać, jaki Schutt był naprawdę.

Czekała więc nad jeziorem, gdy Igor zszedł na brzeg, a potem ściągnął bluzę, odsłaniając plecy poryte bliznami. Nie mogła oderwać od nich wzroku. Nieregularne zgrubienia ciągnęły się od ramion i ginęły pod gumką bokserek. Tworzyły skomplikowaną sieć połączeń, którą wbrew sobie chciała dotknąć. Część z nich zdążyła już wyblaknąć, ale niektóre nadal przyciągały wzrok różową barwą.

Obserwowała go, gdy zanurzył dłoń w jeziorze, żeby sprawdzić temperaturę wody, a potem skoczył na główkę, ignorując wiosenny chłód.

Wiedziała, że nie miał pojęcia o jej obecności. Kiedy chciała, potrafiła pozostać niezauważona. To wiele ułatwiało w jej sytuacji.

Owinęła się ciasniej starym płaszczem. Nienawidziła zimna i wilgoci ciągnących od jeziora. Tego charakterystycznego zapachu gnijących na brzegu wodorostów, mieszającego się z wonią osiadającego na dnie szlamu. Ojciec miał rację. Zalanie łąk, które kiedyś obsypywały się kolorowym kwieciami, było błędem. To, co miało przynieść ludziom lepsze życie, tylko ściągnęło na nich nieszczęście.

Kiedyś w tym miejscu zamiast szarej tafli jeziora tętniło życie. Przypomniła sobie zielone łąki i stada owiec pasące się na brzegu Dunajca. Przez chwilę poczuła

się jak wtedy, gdy jako kilkuletnia dziewczynka kładła się na mokrej od rosy trawie, rozkładając przed sobą książki przyniesione przez ojca z miejscowej biblioteki, a wokół niej latały ociążałe od nektaru trzmielce. A teraz nie było już stad krów przepędzanych przez płycizny na drugi brzeg rzeki. Zniknął ośrodek wypoczynkowy „Na Beczkach”, który miał swój niepowtarzalny klimat. Woda zakryła malutką kapliczkę, przed którą czasem klękały razem z matką...

Otrząsnęła się ze wspomnień i znowu skupiła na Schutcie. Musiała się dowiedzieć, czy będzie komplikacją. Czy jego zainteresowanie Jankiem było zbiegiem okoliczności, czy powinna się martwić.

Bogdan Magiera, który odwiedził ją tego popołudnia, wydawał się zły. Wysłuchiwała go ze spokojem, jednak gdy zamknęła za nim drzwi, poczuła zmęczenie. Usiadła na tym samym krześle, na którym siadała kiedyś jej matka i pozwoliła, żeby ciężar przygniół jej plecy.

Nie rozumiała, dlaczego brat musiał sprawiać jej tyle kłopotów. Nie był już dzieckiem. Jego głowa nie działała tak jak powinna, ale mógłby zrozumieć chociaż to, że jeżeli jeszcze raz będzie musiała zaprowadzić go do gminnej przychodni, w końcu zwróca na siebie uwagę służb. Ktoś zacznie się zastanawiać, czy wykonywała swoje obowiązki tak, jak powinna. Ktoś inny postanowi odwiedzić ich dom. Jak wyjaśni wtedy, że nie wszystko wyglądało tak, jak oczekiwali tego urzędnicy? Co się stanie z Jankiem, jeżeli postanowią zabrać go do ośrodka?

– Co tu robisz? – Drgnęła zaskoczona, gdy sylwetka Schutta przesłoniła jej niebo. Zamyśliła się zbyt głęboko. Odpłynęła, a on podkradł się do niej, a przecież miała pozostać niezauważona. – Słyszałaś, o co pytałem? Skąd się tutaj wzięłaś?

Rozejrzył się, marszcząc brwi. Pewnie próbował ustalić, jaką drogą przyszła. Na jej szczęście po tej stronie jeziora ciągnęła się ścieżka prowadząca aż do miejsca, nad którym górowały ruiny zamku. Nie musiała się przyznawać, że przyszła od strony domu i zajrzała do środka przez wielkie okna wychodzące na zalew.

Położyła dłoń na piersiach, próbując uspokoić galopujące serce. Szukała w głowie jakiejś wymówki, jednak w Igorze było coś, co sprawiło, że słowa utknęły jej w gardle. Był wściekły. Złość kipiała w nim, a ona po raz pierwszy od dawna poczuła, że traci kontrolę.

Zerwała się z miejsca, potykając o własne nogi. Nie chciała z nim rozmawiać. Magiera miał rację, Igor zadawał za dużo pytań. A odpowiedzi mogły sprowadzić

na nią niebezpieczeństwo.



Waldemar Kobuz nienawidził plotek. Były jak sącząca się do uszu trucizna. Czasami aż świerzbiły go ręce, żeby wybić Jadwidze z głowy ten okropny nawyk, ale powstrzymywała go myśl, że miał zbyt ciężkie dłonie. Gdyby znowu zaczął używać ich w niewłaściwej sprawie, nie potrafiłby przestać.

Jednak dzisiaj wpatrywał się w okno, czekając niecierpliwie, aż żona wróci ze sklepu Karasiowej i podzieli się z nim informacjami. Zabójstwo córki Zacharów i ucieczka z domu Pauliny Chryc w zeszłym miesiącu sprawiły, że poczuł się nieswojo. Dla innych to były dwie niezwiązane ze sobą sprawy, jednak jemu przywodziły na myśl wydarzenia z przeszłości, a nie chciał wracać do tego, na co nie miał już żadnego wpływu.

Podniósł ze stołu nową fajkę i nabił ją tytoniem. Z zadowoleniem przyglądał się rzeźbieniom na długim cybuchu. To nie była duża robota. Dłubał przy niej zimowymi wieczorami, gdy śnieg padał zbyt mocno, aby mógł wyjść z chaty i popracować na podwórzu. Jednak sprawiła mu wiele satysfakcji. Jego palce nie były już tak zręczne jak kiedyś. Teraz musiał wkładać dużo wysiłku, aby stworzyć misterne wzory na tak niewielkim kawałku drewna.

Miał nadzieję, że Marian Zachara nie poprosi go o zabicie trumny dla Magdy. Ludzie czasami tak robili. Woleli, żeby ich bliscy spoczywali w skrzyni, w której sklecenie ktoś włożył kawałek serca, a nie w tych bezdusznych pudełkach wytwarzanych w dużych zakładach produkcyjnych. Niemniej wolałby, żeby Marian nie przyszedł do niego w tej sprawie. Na samą myśl, że musiałby zrobić coś takiego, zakłuło go tuż pod żebrami.

– Gdzie podziewa się ta kobieta, gdy akurat jej potrzebuję? – mruknął, świadomy, że pewnie znała już wiele szczegółów dotyczących śmierci dziewczyny.

W końcu usłyszał skrzypnięcie furtki. Odłożył fajkę, aby ostygła, i czekał, aż żona wejdzie do środka.



– Dzień dobry, pani Jadwigo! – Igor oparł się o płot i czekał, aż kobieta zaprosi go, aby wszedł na podwórko.

Był wściekły, że ta dziwna dziewczyna zdołała przyłapać go, gdy pływał. Nie tak miało wyglądać jego życie. Chciał spokoju, z dala od wścibskich oczu, tymczasem od przyjazdu do Czorsztyna nic nie układało się po jego myśli. Musiał dowiedzieć się, dlaczego ktoś z nim pogrywał. Paweł twierdził, że tylko on miał klucze do jego domu, ale nic nie wiedział o dziwnym egzemplarzu *Żaru*. A przecież sąsiadka również przez chwilę była w posiadaniu jednego kompletu kluczy.

Musiał też ustalić, kim była białowłosa kobieta, a Jadwiga Kobuz na pewno udzieli mu wszystkich potrzebnych informacji.

Sąsiadka rozwieszała prześcieradło na linkach rozciągniętych pomiędzy dwiema jabłonkami, walcząc z wiatrem, który wyrywał materiał z jej rąk.

– Może pomogę? – zaproponował, czując, że źle zaczęli znajomość.

– Gdybyś był tak miły. – Coś strzeliło jej w kościach, gdy oddała mu pościel i rozprostowała plecy. – Kiedyś robił to nasz Romuś, a teraz muszę radzić sobie sama.

Zarzucił płachtę materiału na linkę i pozwolił sąsiadce zająć się resztą.

– Ale się narobiło, co? – zagadnęła Kobuzowa, nie przerywając pracy, a on sięgnął do miski po następną część pościeli. – Pewnie żałujesz, żeś się tu u nas osiedlił...

Spojrzał na nią ze zdziwieniem. Ta refleksja kołatała mu w głowie od wczorajszego wieczora, a teraz odnosił wrażenie, że Jadwiga czytała mu w myślach.

– Taka tragedia. Ta dziewczyna nie zasłużyła na swój los. Powiedz mi, Igor, skąd się biorą na świecie tacy zwyrodnialcy? – Strzepnęła z łopoczącego materiału piórko, które przyniósł ze sobą podmuch wiatru, a jemu nie umknął fakt, że znała jego imię. – Ta osada to była nasza duma, wiesz? Pamiętam, jak w latach dziewięćdziesiątych przewozili budynki ze Starych Maniów, a potem składali je tutaj u nas, jakby to były klocki.

Linka zabrzęczała, gdy wypuściła ją z rąk, żeby zrobić znak krzyża.

– Chodź. Zaparzę ci herbaty z malinami. Wyglądasz, jakbyś jej potrzebował.

Ruszył za nią, zostawiając za sobą fruujące na wietrze pranie. Po drodze podniósł wiklinowy kosz, w którym przyniosła zakupy, a ona nie zaprotestowała.

Chyba uznała, że i tym razem powinien jej pomóc.

Urządzona w podhalańskim stylu chata sąsiadów prezentowała się zupełnie inaczej niż jego nowoczesny dom. Pod butami skrzypiało linoleum. Gdziekolwiek odwrócił wzrok, odnajdował figurki, które z całą pewnością stanowiły wizytówkę Pienin i Gorców. Anioły trzymające w dłoniach długie pastorały. Czarownice na miotłach, którym wiatr rozwiewał skołtunione włosy. Misternie zdobione świeczniki i płaskorzeźby przedstawiające góralskie chaty oraz ruiny zamków w Czorsztynie i Niedzicy. Na każdej ze ścian wisiały przynajmniej trzy i mimo że Schutt nie przepadał za tego rodzaju rękodziełem, musiał przyznać, że tkwił w nich jakiś urok.

– Gdzieś ty się podziewała, kobieto? – Postawny mężczyzna podniósł się z za ustawionego pod oknem stołu, a w jego głosie dało się pochwycić zniecierpliwienie. – Gadaj, co ludzie mówią. Tylko wartko, bo mam pilną robotę.

Igor wyczuł napięcie wiszące w powietrzu. Sąsiad był wściekły. Gdy w końcu go zauważył, zreflektował się i wyciągnął w jego kierunku wielką dłoń.

– Witam. Nie mieliśmy jeszcze okazji. – Mężczyzna przerastał go prawie o głowę. Prawdopodobnie mógłby zgnieść jego palce bez większego wysiłku. – Waldemar Kobuz.

– Igor Schutt. – Usiadł na miejscu, które wskazał mu sąsiad i ze zdziwieniem odkrył, że miał doskonały widok na własne podwórko.

– I jak pierwsze wrażenie? Podoba ci się dom? – Jadwiga rozsiadła się na krześle po przeciwnej stronie stołu, opierając wydatny biust na blacie, a gdy się pochyliła, na jej szyi zamigotał złoty krzyżyk.

– Tak, jest idealny.

– Zdziwiliśmy się, gdy Paweł zaproponował nam, że kupi tamtą część działki, a potem wyznał, że nie buduje domu dla siebie. Zawsze myślałem, że to Romek zamieszka przy jeziorze. – Sąsiad wpatrywał się w Igora taksującym wzrokiem. – Byliśmy ciekawi, dlaczego nie przyjeżdżasz sam doglądać budowy.

Waldemar przechylił głowę, czekając na odpowiedź, a Schutt poczuł się tak, jakby ktoś nasypał mu do ust popiołu. Puls przyspieszył mu, gdy próbował wymyślić odpowiedź, która by ich usatysfakcjonowała i była choć trochę zbliżona do prawdy.

– Przez ostatnie lata byłem nieosiągalny. – Prawie zobaczył, jak w głowie sąsiada uruchomił się detektor kłamstw. Że zastanawiał się, co takiego powstrzymywało go przed choćby jedną wizytą. I dlaczego jego odpowiedź była tak lakoniczna. – Miałem dzisiaj niespodziewanego gościa – dodał, żeby odwrócić uwagę od swojej osoby.

– Naprawdę? – Jadwiga zmarszczyła brwi, nie mogąc uwierzyć, że coś jej umknęło.

– Kręciła się po podwórku za domem. – Igor zignorował ukłucie w gardle, gdy przypomniał sobie twarz dziewczyny. – Miała zupełnie białe włosy.

– Ach! – Jadwiga się rozpromieniła. – Nie przejmuj się, to tylko Dobrochna.

Imię dziewczyny wydało mu się znajome i rzadko spotykane, zupełnie jak jej uroda. Zapamiętał każdy szczegół jej sylwetki. Była drobna. Tak szczupła, że gdyby chciał, mógłby objąć ją w talii dłońmi. W białe włosy miała powplatanе kolorowe pióra ptaków, a na palcach wymalowane dziwne wzory, które wiły się wzdłuż dłoni, aby zniknąć pod rękawem płaszcza.

– Uciekła, gdy się z nią przywitałem.

To stwierdzenie było naciągane. Czuł, że potraktował ją zbyt ostro, jednak nienawidził, gdy ktoś go obserwował. Na samą myśl o tym, coś w jego ciele skręcało się nieprzyjemnie.

– Jest trochę płochliwa. – Sąsiadka wzruszyła ramionami. – Pewnie była ciekawa, to wszystko. Nie lubi ludzi, ale jest zupełnie nieszkodliwa. Nie powinna ci zawadzać. Ona nie ma czasu na szwendanie się po wsi. Ma urwanie głowy z Jankiem.

– Tym upośledzonym chłopakiem? – Igor poczuł, że kawałki układanki wskakują na swoje miejsca.

– No tak. Zajmuje się nim, od kiedy ich rodzice zginęli w pożarze tej starej karczmy. Ma ręce pełne roboty. Mówię ci, mój drogi, to była istna tragedia. Piotr, jej ojciec, pracował w tej gospodzie tylko od czasu do czasu. Pomagał w drobnych naprawach. To była naprawdę dziwna sprawa...

– Nigdy o tobie nie słyszeliśmy, a przecież nasz Romek musiał cię nieraz spotkać w towarzystwie Pawła. – Waldemar przerwał wywód żony gwałtownie, nawet na nią nie zerkając. Jego ciemne oczy zdawały się ciskać gromy, gdy wpatrywał się intensywnie w Igora.

Dociekliwość Kobuza oznaczała, że Paweł trzymał gębę na kłódkę i nie wychlapał nic na jego temat. Schutt wytrzymał spojrzenie sąsiada. Nie musiał się przed nim tłumaczyć. Te czasy miał już za sobą.

– Sam nie wiem. Nie znam przyjaciół Pawła z Czorsztyna. – To akurat była prawda. Paweł miał swoje sprawy, od których trzymał Igora z daleka. Większość z nich wiązała się właśnie z miejscem, w którym jego przyjaciel się urodził.

– Na pewno spotkaliście się z Romkiem w Krakowie...

– Waldek, daj spokój Igorowi. Będiesz go tak męczył, to już nigdy nas nie odwiedzi. A przecież wiesz, jak lubię towarzystwo młodych.

Sąsiadka krzątała się po kuchni. Mimo zaawansowanego wieku, emanowała energią.

– Tak się zastanawiałem nad tamtymi zdarzeniami... – Igor spróbował ponownie skierować rozmowę na interesujący go temat. – Jak doszło do zaproszenia ognia? Było prowadzone w tej sprawie jakieś dochodzenie?

– Policja uznała to za zwykły wypadek. Nie ma o czym gadać. – Waldemar podniósł się z miejsca, najwyraźniej uznając, że temat został wyczerpany, jednak Jadwiga wyglądała jak pies gończy, który właśnie zwietrzył zapach zwierzyny.

– Ale pamiętasz, co ludzie gadali, Waldek? Cała wieś huczała, że...

– Przestań się odzywać, kobieto, jak nie masz nic ciekawego do powiedzenia! – Ciężka dłoń sąsiada wyśladowała na stole z hukiem, gdy pochylił się do żony.

Igor zareagował instynktownie, zaciskając palce na ramieniu Waldemara, jednak od razu się zreflektował i poluźnił chwyt. Tu było bezpiecznie. Nikt nie chciał, aby została wyrządzona jakakolwiek krzywda... Mimo to przez chwilę stali bez ruchu, mierząc się spojrzeniami. Kobuz oddychał ciężko, a na szczęce drgał mu mięsień. W końcu wyprostował się i strzepnął dłoń Igora ze swojej ręki, jakby oganiał się od natrętnej muchy.

– Będę w szopie – mruknął i wyszedł, nie patrząc na nich dłużej.

Jadwiga kręciła się na krześle, skrępowana, aż w końcu nie wytrzymała i podeszła do kuchenki.

– Obiorę ziemniaki. Zagadaliśmy się, a to już pora obiadowa.

Dawniej...

Piotr Hilderbrandt zjechał na pobocze i poczekał, aż grupa studentów podbiegnie do jego samochodu. Znad drogi unosił się kurz, który wdzierał się do wnętrza auta przez uchylone szyby. Piotr nie pamiętał, kiedy ostatnio padało. Rośliny mdlały w codziennym skwarze, a Maria narzekała, że trudno znaleźć na łąkach zioła potrzebne do naparów. Kończył się jej zapas mikstury, którą podawała Jankowi w te noce, gdy był wyjątkowo niespokojny. Wierzyła, że może mu pomóc, chociaż Piotr zdawał sobie sprawę, że sytuacja była beznadziejna. Ich syna nękały choroby, które sprawiały, że przesądni sąsiedzi wykonywali na jego widok znak krzyża.

Gdy młodzież zapakowała się do samochodu, ruszył, a śmiechy i warkot silnika zagłuszyły szum świerszczy ukrywających się w uschniętej trawie. Przejechał przez mostek na Kluszkowiance i minął grzybek piwny, do którego zwykle wstępował na zimne piwo razem z Magierą. Musiał zwolnić tuż przed terenem wykopalisk, bo drogę blokowały ustawione w długiej kolejce żółtki dowożące tony żwiru na budowę zapory. Piotr skupił wzrok na ruinach starego kościoła, który wysadzono wiele lat temu. Kiedyś stanowił centralny punkt wsi, a teraz porastały go chaszczki i wysokie trawy. Czasami przychodził w to miejsce. Trudno było mu się powstrzymać przed zapisywaniem na fotograficznych kliszach budynków, które za jakiś czas miały zostać przykryte wodami zbiornika.

– Cześć – przywitał się z pracownikami, którzy zajęli już miejsca w namiocie, gdzie trzymano dokumenty. – Coś mnie ominęło?

Był tego dnia nieco spóźniony, bo Janek płakał przez pół nocy, budząc nie tylko jego i Marię, ale także śpiącą w pokoju obok Dobrochnę.

– Hipisi rozbijają obozowisko w pobliżu piątego stanowiska. – Magiera uniósł głowę znad wykopanego kilka dni temu szkaplerza przedstawiającego świętego Antoniego Padewskiego z Dzieciątkiem. – Zadzwoń już do Małeckiego. Obiecał, że przyśle paru funkcjonariuszy, którzy zajmą się tym problemem.

Piotr wyjrzał z namiotu i obserwował miejsce, gdzie dostrzegł grupę ekologów. Kręcili się wokół wykopalisk, jednak wyglądało na to, że na razie nie zamierzają przeszkadzać w pracach archeologów. Bardziej interesowała ich tama.

Miał nadzieję, że nie powtórzy się sytuacja sprzed kilku lat, gdy zorganizowano akcję „Tama Tamie”. Ekolodzy zjechali wtedy z całej Polski, a mieszkańcy okolicznych wsi do dzisiaj wspominali narastające napięcie i walki ze zmasowanymi siłami policji. Ekolodzy rozbijali namioty wokół zamku

w Czorsztynie i zajmowali opuszczone budynki. Początkowo przyjazna atmosfera zmieniła się, gdy mieszkańcy zmęczeni ich obecnością. Kiedy nie pomogło odcinanie wody i prądu w zasiedlanych nielegalnie budynkach, władze wprowadziły stan wyjątkowy, a to ostatecznie rozsierdziło ludzi. Dochodziło nawet do tego, że ciężarówki ze żwirem taranowały ekologów blokujących drogi dojazdowe do budowy.

– Na razie nic z nimi nie róbcie. Wyglądają na nieszkodliwych.

W odpowiedzi na jego słowa kilka osób mruknięło obojętnie, więc uznał problem za rozwiązany.

– Zawieziesz to na uniwersytet? – Podeszedł do Magiera, z którym zaprzyjaźnił się w ostatnich tygodniach, i wskazał na szkaplerz.

– Myślałem, żeby wybrać się tam w przyszłym tygodniu, ale może lepiej poczekać, aż uzbiera się więcej fantów. – Bogdan podrapał się po kilkudniowym zarostcie, który przestał golić, ku uciesze pozostałych archeologów. Dla nikogo nie było tajemnicą, że Dorota Magiera nie znosiła, gdy jej mąż zapuszczał brodę, więc ten robił to za każdym razem, gdy się pokłócili, dając swoim współpracownikom powody do żartów.

Piotr pochylił się nad spisem przedmiotów, które do tej pory udało im się wydobyć z ziemi, jednak zanim zdążyli cokolwiek ustalić, do namiotu wpadł chudy blondyn. Na jego ubrudzonej kurzem twarzy malowało się podniecenie.

– Mamy kości!

Piotra rozbawiła jego ekscytacja. To, co dla nich było normalną konsekwencją ekshumacji cmentarza, dla niego stanowiło życiową przygodę, a każdy element ludzkiego szkieletu cenny skarb.

– Pokaż więc, do czego się dokopaliście.

Ruszył za dzieciakiem, odnotowując, że Magiera również podniósł się ze swojego miejsca. Gdy tylko opuścili namiot, jego podeszwy od razu zagłębiły się w suchym piachu, od kilku tygodni przierzucanym z miejsca na miejsce. Już nawet nie fatygował się, aby wysypywać piach z butów w ciągu dnia. To było zupełnie bezcelowe.

Zmarszczył brwi, gdy minęli miejsce, gdzie znajdował się parafialny cmentarz. Chłopak poprowadził ich dalej, aż na obrzeża wsi, gdzie nie było już żadnych budynków.

– To tutaj. – Nastolatek wskazał na pojedynczą czaszkę, która tkwiła przekrzywiona w płytkim dole. Brakowało jej zębów po prawej stronie, jednak oprócz tego zachowała się w całkiem niezłej kondycji.

– Kto pozwolił wam tutaj kopać? – Głos Magiery był napięty i pełen złości. Piotr podejrzewał, że przyjaciel miał już, po wielu tygodniach pracy, dosyć wykopalisk. Wolałby wrócić na uniwersytet, gdzie czuł się najlepiej, katalogując znaleziska w klimatyzowanych pomieszczeniach, a potem przekazując zdobytą wiedzę studentom.

– My tylko chcieliśmy... – Kąciki ust chłopaka opadły, gdy zrozumiał, że przyniesiona przez niego wiadomość wcale nie ucieszyła zastępcy kierownika wykopalisk. – To był przypadek.

– W porządku, nic się nie stało. – Piotr posłał Magierze karcące spojrzenie. – Trzeba wyznaczyć tutaj kolejne stanowisko. Zawołaj Krzysztofa Rajewskiego, okej?

Dzieciak pobiegł w kierunku, gdzie pracownik uniwersytetu przerzucał kolejne hałdy ziemi, a Piotr zaplótł ramiona na piersiach.

– Co to miało być? Chcesz, żeby chłopak stracił zapal do nauki?

– Nikt im nie kazał grzebać w tej ziemi – burknął Magiera. – Mieliśmy ekshumować cmentarz i tyle, a teraz mamy tylko dodatkową robotę.

Piotr skierował spojrzenie na bielejącą w słońcu czaszkę. Najwyraźniej ziemia skrywała więcej tajemnic, niż zakładali.

– Niech ludzie kopią dalej w tym miejscu. Wszystko, co znajdziecie, trzeba wysłać na uniwersytet. Niech przeprowadzą analizy. I zawiadom Małeckiego. Cholera wie, dlaczego tego biedaka pochowano poza granicami cmentarza...

Rozdział 6



Katarzyna Chryc trzymała sąsiadkę za rękę, chociaż prawdopodobnie sama bardziej potrzebowała, żeby ktoś dodał jej otuchy.

Elżbieta Zachara przynajmniej wiedziała, co stało się z jej córką. Chrycowa wzdrygnęła się na wspomnienie szarej twarzy Magdy. Teraz żałowała, że uległa błaganiom Elżbiety i poszła z nią do kostnicy na okazanie ciała. Miała już swoje lata, a jednak dotąd nigdy nie widziała trupa. Nawet na pogrzebach nie podchodziła do otwartej trumny. Śmierć ją przerażała. Odbierała ludziom godność. Razem z życiem z człowieka ulatywała wszelka gracia, z którą poruszał się po ziemi.

Magda Zachara również nie wyglądała już tak pięknie jak kiedyś. Jej długie włosy były umazane ziemią i krwią. Straciły blask, podobnie jak jej szeroko otwarte oczy. Katarzyna nie mogła oprzeć się wrażeniu, że Magda wyglądała, jakby śmierć ją zaskoczyła. Jakby nie spodziewała się, że ktoś zaraz odbierze jej życie. Na ciele Chrycovej uniosły się wszystkie drobne włoski, gdy przez głowę przebiegła jej myśl, że Magda znała swojego mordercę. Że się go nie bała...

Zacisnęła palce mocniej, gdy Elżbietą wstrząsnął szloch i potoczyła dookoła nieprzytomnym wzrokiem. Sąsiadka postarzała się przez ostatnie dni, jakby minęło co najmniej dziesięć lat. Jej włosy przetykały teraz siwe pasma, których nie było tam w zeszłym tygodniu. Skórki przy paznokciach miała pozadzierane do żywego mięsa. Na jasnej bluzce pod pachami rysowały się żółte plamy potu. Magda zabrała jakąś część swojej matki ze sobą. Ale Elżbieta przynajmniej wiedziała...

Minęły już ponad trzy tygodnie, odkąd Katarzyna zgłosiła zaginięcie Paulinki, i odnosiła wrażenie, że nikt nie interesował się losem jej dziecka. Starła się zająć czymś myśli, tłumaczyła sobie, że córka pewnie przechodziła okres buntu. Że poznała jakiegoś chłopaka i chciała przeżyć przygodę, a gdy tylko się znudzi,

w końcu wróci do domu. Jednak z każdym dniem czuła, że oszukiwała samą siebie. Że Paulina była zbyt spokojna, aby zrobić coś takiego.

A teraz fala goryczy się rozlała. Żal, który narastał w niej od trzech tygodni, był zbyt wielki, aby nadal tylko czekała. Podniosła się gwałtownie, puszczając dłoń sąsiadki. Katarzyny nie obchodził już jej płacz. Miała swoją własną wojnę do stoczenia. I w końcu zrozumiała, że nie może dłużej zwlekać. Musiała wiedzieć.



Igor długo zastanawiał się nad zadaniem, którym ktoś postanowił go obarczyć. Być może był to tylko głupi żart, jednak odnalezienie zwłok Magdaleny Zachary i dziwna reakcja Kobuza, gdy wspomniał o pożarze, sprawiły, że nie potrafił przestać myśleć o osadzie. Przyciągała go jak magnes. Za każdym razem, gdy ktoś wspominał o tym miejscu, czuł wibrowanie w karku.

Niesamowita architektura budynków. Zgliszcza restauracji niezabezpieczone przed ludzką ciekawością. Fakt, że wieś, w której pierwotnie stały domy przeniesione na półwysep Stylchyn, znajdowała się pod wodą...

Sprawdził ponurą historię tego miejsca, które poświęcono dla większego dobra. Wszystko było już postanowione, gdy na stołach lokalnej świetlicy po raz pierwszy rozłożono plany zbudowania zapory na Dunajcu. To, co dla władzy było przedsięwzięciem prowadzącym do dobrobytu, dla ludzi, którzy mieszkali w Maniowach od pokoleń, stanowiło eksperyment na ich rodzinach. To były ziemie, za które ich przodkowie przelali krew. Ojcowizna przekazywana z pokolenia na pokolenie.

Ale nikt nie liczył się ze zdaniem garstki mieszkańców. Zdołali jedynie wywalczyć, aby przesiedlono ich na okoliczne tereny, a nie – jak planowały władze – w odległe setki kilometrów Bieszczady. Musieli więc patrzeć, jak ich domy upadały z głośnym jękiem, popychane przez nowoczesne maszyny.

Trzysta osiemdziesiąt pięć budynków...

Pięćset jeden gospodarstw...

Trzy kaplice...

– Mogę w czymś pomóc? – Dziewczyna nieśmiało uśmiechnęła się do Igora.

Przesunął spojrzeniem po piersiach, do których przyciskała zakurzony wolumin. Jej obecność w tym miejscu była kojąca. Tak samo jak cisza panująca dookoła.

Wnętrze nowotarskiej wypożyczalni publicznej, do której przyjechał od razu po wyjściu od Kobuzów, pachniało kurzem i starym papierem. Zapach książek mieszał się z delikatną wonią perfum, którymi dziewczyna prawdopodobnie spryskała rano skórę. Łagodne światło lamp odbijało się w zbyt dużych dla jej drobnej twarzy okularach. Poprawiła je nerwowo, a jej gest sprawił, że zapragnął przycisnąć ją do półki, którą miała za plecami. Wsunąć dłonie pod jej koszulkę. Zadrzeć spódnicę, odsłaniając okrągłe pośladki...

– Chciałem skorzystać z czytelni czasopism. – Odchrząknął, przywołując się do porządku.

– Czytelnia znajduje się po tamtej stronie. Zaprowadzę pana.

Ruszył za bibliotekarką, zastanawiając się, czy mógłby wyciągnąć od niej jakieś informacje.

– Jest pani stąd?

Odwróciła się zdziwiona, gdy się do niej odezwał.

– Tak. To znaczy z Niedzicy. – Jej twarz zaróżowiła się aż po uszy. – Urodziłam się tam.

– Kojarzy pani osadę na półwyspie Stylchyn?

– No pewnie. To wizytówka tego regionu. – Wzruszyła ramionami, nieco bardziej rozluźniona. – Interesuje pana historia zalewu?

– Właściwie szukam informacji o pożarze, który miał tam miejsce kilkanaście lat temu. – Zatrzymała się w pół kroku, żeby otworzyć drzwi, a on praktycznie na nią wpadł. – Przepraszam...

– Nie, to moja wina. – Zaśmiała się nerwowo, gdy jego dłonie zbyt długo pozostały na jej talii. – Proszę. O tej porze nikt nie korzysta z czytelni. Będzie miał pan spokój.

Oparł się o framugę i obserwował, jak krzątała się pomiędzy regałami. Wyciągała kolejne roczniki czasopism, przygryzając wargi, gdy nie potrafiła się zdecydować, które mogą być mu pomocne.

– Knajpa, z tego co pamiętam, spaliła się w dwa tysiące siódmym roku. Jeżeli ten pożar zainteresował dziennikarzy, powinien coś pan znaleźć w tych rocznikach.

– Wskazała dłonią na stos ułożony na biurku. – Gdybym mogła pomóc jeszcze jakoś, będę w głównym pomieszczeniu – powiedziała na odchodne.

Zaczął od „Tygodnika Podhalańskiego” i po chwili utonął pod natłokiem materiału. Znajdował tylko nic nieznaczące wzmianki bądź teorie spiskowe o przeklętej osadzie, której mieszkańcy zostali przesiedleni wbrew ich woli. Jednak im dłużej przeglądał stare roczniki, im więcej kurzu zostawało na jego palcach, tym bardziej był przekonany, że w tych historiach tkwiło ziarno prawdy.

– No nareszcie... – mruknął, gdy natknął się na artykuł *Tragiczny pożar osady*. Rozprostował gazetę i zaczął czytać:

W dniu siedemnastego czerwca dwa tysiące siódmego roku, chwilę po północy, w restauracji „U Szperlinga” na terenie osady turystycznej Czorsztyn w pomieszczeniach kuchennych pojawił się ogień. Na miejsce przyjechało pięć zastępów straży pożarnej. Z powodu silnego zadymienia oraz zagrożenia wybuchem akcja była utrudniona. Policja ewakuowała turystów z pensjonatów na półwyspie Stylchyn. Po wkroczeniu do budynku strażacy znaleźli zwłoki trzydziestoosmioletniej kobiety i czterdziestoletniego mężczyzny. Jak informuje oficer dyżurny Państwowej Straży Pożarnej w Nowym Targu, wciąż ustalana jest przyczyna pożaru.

Igor odchylił się na oparcie krzesła. Artykuł nie przynosił żadnych dodatkowych informacji oprócz tych, które już posiadał. Być może więc przeczucie go myliło? Może ten wewnętrzny głos, który podpowiadał mu, że rozwiązanie zagadkowej śmierci Magdaleny Zachary jest związane z historią osady, w której znalazł jej ciało, tym razem okazał się fałszywy? Jednak im dłużej o tym myślał, tym bardziej rosła w nim pewność, że tamtego wieczora ktoś go obserwował. Pilnował, żeby nie pominął żadnych istotnych elementów tej sprawy. A później upewnił się jeszcze, że Igor podejmie trop, podrzucając mu książkę. „Znajdź prawdę...” Nadal jednak nie miał pewności, czy kierunek, który podpowiadała mu intuicja, był właściwy.

– Udało się coś ustalić? – Głos dziewczyny, która weszła do czytelnicy, wyrwał go z zamyślenia.

– Nie bardzo – przyznał. – Znalazłem artykuł o pożarze, ale podają w nim tylko suche informacje.

– Dlaczego zainteresował pana ten temat? – Pochyliła się nad nim, kładąc na biurku kolejny rocznik „Tygodnika Podhalańskiego”.

– Sam nie wiem. – Przesunął dłonią po czole. – Miałem wrażenie, że z tą sprawą wiąże się jakaś tajemnica, ale chyba się pomyliłem.

– Niekoniecznie. – Dziewczyna przewróciła kilka stron gazety i popukała palcem w wytłuszczony grubym drukiem nagłówek. – Być może nie powinien pan rezygnować tak szybko.



– Katarzyno, robimy co w naszej mocy. – Komisarz Ryszard Małecki potarł twarz, mając nadzieję, że Chrycowa zaraz wyjdzie z jego gabinetu.

Było dopiero wczesne popołudnie, a on miał już wszystkiego dosyć. Marzyła mu się wizyta u Waldka Kobuza. Podobno wyrzeźbił dla niego nową fajkę. Małecki nie mógł się doczekać, aż usiądzie na rozchybotanej łódce i nabije lulkę nowym tytoniem, który przywiozła mu z Krakowa wnuczka sąsiadów. Na początku nie był do niego przekonany, ale teraz nie mógł obejść się bez tej mieszanki nasączonej rumem.

Westchnął tęsknie i skupił się na kobiecie, która wpatrywała się w niego, oczekując jakichś konkretów.

– Paulina się znajdzie. Rozesłałem informację do innych komisariatów. Moi ludzie szukają jej bez przerwy. – Wstał i obszedł biurko, a potem poklepał Katarzynę po ramieniu. Miał nadzieję, że kobieta odbierze ten gest jako zachętę do opuszczenia jego gabinetu.

– Ale teraz, gdy ktoś zabił Magdę, na pewno wszyscy skupią się na tej sprawie. Moją Paulinką nikt się już nie będzie interesował. – Chrycowa zacisnęła usta w wąską kreskę i spojrzała na komisarza ze złością.

Spojrzał na chusteczkę higieniczną, którą kompulsywnie szarpała. Utrzymywanie porządku nie było jego obsesją, jednak białe strzępki, które zaścięłały podłogę u jej stóp drażniły go i rozpraszały jego uwagę.

– Pewnie się wam wydaje, że ona po prostu uciekła z domu, jak inne dzieciaki.

Małecki musiał przyznać, że na to liczył, jednak odnalezienie zwłok Magdy Zachary zachwiało jego pewnością w tej sprawie.

– Ona taka nie jest. To dobre dziecko. Pracowała ciężko w tym nowym hotelu, żeby dorobić sobie do wakacji. Miała plany.

– Wiem, już o tym rozmawialiśmy. – Komisarz poczuł pierwsze ukłucie bólu pod żebrami. Niepotrzebnie zjadł tłusty boczek na śniadanie, ale nie potrafił sobie odmówić tej przyjemności i teraz jelita zaczynały się buntować, a lamente Chrycowej nie poprawiały sytuacji. – Zaręczam, że traktujemy Paulinę priorytetowo.

– Ale przesłuchaliście tego faceta? Tego z hotelu? Przecież Magda Zachara też tam pracowała. Ledwo co się tam zatrudniły. – Kobieta nie dawała za wygraną, mimo że dobrze wiedziała, że Małecki osobiście udał się do hotelu i rozmawiał z jego właścicielem. Na razie wydawało się, że facet nie miał nic wspólnego z zaginięciem Pauliny.

Pukanie do drzwi wybiło go z rytmu i przez chwilę zastanawiał się, co jeszcze mógłby powiedzieć Katarzynie. Miał pewność, że żadne słowa nie zmniejszą jej lęku. Ten odejście dopiero wtedy, gdy komisarz przyprowadzi jej dziecko do domu.

– Panie naczelniku, proszę pana na naradę. – Kobieta, której siwe włosy tworzyły aureolę wokół twarzy, otworzyła drzwi, wpuszczając do środka aromat świeżo zaparzonej kawy.

Komisarz był świadom tego, że nikt na niego nie czekał, ale jego sekretarka doskonale wiedziała, kiedy przerwać zbyt uciążliwe spotkanie. Teraz patrzyła na Chrycową, oczekując, że kobieta wstanie ze swojego miejsca i wyjdzie z pokoju.

– Dobrze. Będziemy informować cię o postępach, Katarzyno. Tymczasem muszę się już zbierać. – Zerknął na zegarek, jakby faktycznie mu się spieszyło i Chrycowa w końcu ruszyła do drzwi.

– Po prostu chcę, żeby to się już skończyło... Chcę wiedzieć.

– Oczywiście.

On też dałby dużo, żeby w końcu odłożyć sprawę Pauliny do archiwum. Już dawno powinien być na emeryturze. Obiecał sobie, że gdy tylko podszkoli Annę Zdrojewską i Piotra Kurpiela, w końcu odpuści.

Stare sprawy nie wymagały już, aby trzymał rękę na pulsie. Ludzie zapominali, co wydarzyło się w przeszłości, a ci, którzy wiedzieli i mieli milczeć, nie puścili pary z ust przez tyle lat, że mógł być spokojny. Nic nie wyjdzie na światło dzienne.

Jednak zaginięcie Pauliny Chryc i zabójstwo Magdy Zachary sprawiły, że się zaniepokoił. Wydarzenia te obudziły zakopane głęboko wyrzuty sumienia. Zbyt długo tolerował pewne kwestie. Wtedy to wydawało mu się właściwe. Ale teraz,

gdy się nad tym zastanawiał, coś przewracało mu się w żołądku, a to nigdy nie zwiastowało niczego dobrego.

– Kawki, panie naczelniku?

– Ratuje mi pani życie, pani Mirko. Jakby jeszcze znalazło się jakieś ciastko... – Poklepał się po wystającym brzuchu, ignorując niepokojące dźwięki, które wygrywały jelita.

– Oczywiście. – Sekretarka uśmiechnęła się wyrozumiale. – Schowałam dla pana komisarza te kremówki, które tak pan komisarz lubi.

Gdyby Małecki nie tęsknił tak bardzo za swoją zmarłą żoną, prawdopodobnie już dawno poprosiłby sekretarkę, aby z nim zamieszkała. Dogadywali się doskonale i podejrzewał, że jego egzystencja na emeryturze mogłaby nabrać nowego blasku. Jednak Danusia pojawiała się w jego snach każdej nocy i jakoś nie potrafił się przełamać, aby rozpocząć nowe życie.

Podniósł z biurka kawałek plastiku i obejrzał go dokładnie z każdej strony, zastanawiając się nad tym, co powiedział mu Marcin Koterba, gdy przesłuchiwał go tego poranka. Doskonale wiedział, kiedy gnojek kłamał, bo nie potrafił już zliczyć, ile razy Koterba siedział w pokoju przesłuchań. Podlegli Małeckiemu funkcjonariusze śmiali się nawet, że powinni zamówić tabliczkę z nazwiskiem Koterby i przybić ją do drzwi izby zatrzymań. Tym razem nos starego policyjnego psa podpowiadał mu, że Koterba kłamał mu w żywe oczy, jednak nie potrafił zrozumieć, po co miałyby to robić. W końcu pojawił się u niego chyba pierwszy raz w życiu z własnej woli i w jego zeznaniach nie było żadnych luk. No chyba że zabił Magdę Zacharę... W takim przypadku rzekomy dowód, który przyniósł, zanim przyszła Chrycowa, odsuwałby od niego podejrzenia na jakiś czas. Jednak komisarz czuł, że Marcin nie miał nic wspólnego ze śmiercią Magdy. Może więc powinien od razu sprawdzić, o co w tym wszystkim chodziło?

– Proszę... ciasteczko i kawka. – Naczynia zabrzęczały, gdy sekretarka postawiła je przed Małeckim na biurku.

– Dziękuję, pani Mirko. Chyba jednak zjem później. Muszę coś sprawdzić w terenie.

Rozdział 7



Komisarz Małecki zatrzymał radiowóz przed płotem i podniósł kołnierz policyjnej kurtki. Okno pogodowe, którym cieszył się przed południem, już się zatrzasnęło i znowu siąpił deszcz, mocząc każdą odsłoniętą część jego ciała. Jezioro tworzyło własny mikroklimat. Zimne powietrze napływające z gór odbijało się od zbiornika i unosiło z jego powierzchni mgłę. Nawet jeżeli okoliczne wsie były zalane promieniami słońca, mleczna zawiesina pełzała na brzegach zalewu.

Pociągnął za furtkę i wszedł na teren działki. Elewację domu obłożono deskami, które nie zmieniły jeszcze koloru pod wpływem warunków atmosferycznych. W oknach nie zauważył firanek ani innych ozdób, które świadczyłyby o tym, że mieszkający tu mężczyzna zdążył się zadomowić. Przy progu nie było wycieraczki. Szczapy drewna, ułożone w równy stos, okryto brezentem. Wszystko wyglądało elegancko i bezosobowo.

Zapukał trzy razy i cofnął się, a potem nasłuchiwał zbliżających się kroków.

– Dzień dobry. Pan Igor Schutt?

– Tak. O co chodzi? – Mężczyzna brzmiał uprzejmie, jednak komisarz wyczuł rezerwę, z jaką się do niego odnosił. Nie dziwił mu się. Na jego miejscu również nie pałałby miłością do mundurowych.

– Komisarz Ryszard Małecki. Możemy porozmawiać?

– Wolałbym nie. – Schutt obejrzał się wymownie przez ramię. – Pracuję.

– Nalegam. – Wpakował się za próg, nie czekając na przyzwolenie mężczyzny. Nie umknęło mu, że gdy go mijał, Schutt spojrzał w górę drogi, zapewne zastanawiając się, czy Kobuzowie zauważyli, że policja składała mu wizytę.

Igor stanął w lekkim rozkroku i zaplótł ramiona, czekając, aż Małecki przedstawi mu powód swojej wizyty. Policjant nie spieszył się z rozmową. Krążył po salonie,

przyjmując swoją ulubioną taktykę. Jeżeli milczało się wystarczająco długo, podejrzeni sami zaczęli mówić.

Chatę urządono w nowoczesnym stylu. Jedna ze ścian była praktycznie przeszklona, a z okien rozpościerał się widok na Jezioro Czorsztyńskie, za którym od zachmurzonego nieba odcinały się górskie szczyty. Schodzące łagodnie do linii brzegowej podwórko było na razie niezagospodarowane. Tuż przy wodzie znajdowały się brzozy, ocieniając niewielki pomost, do którego przycumowano łódkę. Kołysała się na falach objających się o brzeg. Waldek Kobuz nie był zadowolony, że ten teren ma dostać ktoś inny niż jego wnuk, ale w końcu chyba zrozumiał, że Romek nigdy nie wróci do Czorsztyna, i machnął ręką.

Wnętrze zrobiło na Małeckim dobre wrażenie, chociaż wyglądało jak wyjęte z katalogu z drogimi meblami. W salonie stała obita czarną skórą kanapa i stolik kawowy wykonany z pnia drzewa. Męskie, proste pomieszczenie, z dodatkami sugerującymi, że Schuttowi pomagała urządzić dom kobieta. Tu i ówdzie dostrzegł miękkie poduszki i kilka sporych roślin, o których mężczyzna na pewno by nie pomyślał, dekorując mieszkanie.

Poszukał wzrokiem drobiazgów świadczących o tym, że Igor był z kimś związany, ale nic nie rzuciło mu się w oczy, być może więc korzystał z pomocy dekoratorki wnętrz czy jak tam nazywały się teraz te fikuśne zawody...

Uwagę policjanta przykuła wisząca za stołem półka, na której leżały egzemplarze książki. Jej autorem był stojący przed nim człowiek.

Małecki sięgnął na półkę. Nie potrafił połączyć tego chłodnego mężczyzny z treścią powieści, o której z wypiekami na twarzy opowiadała mu Zdrojewska, gdy otrzymali informację, że Schutt zamierza osiedlić się w Czorsztynie. Anna przekonywała, że facet pisał o przemocy, jakby sam był bohaterem swoich historii. Jakby brutalność była wpisana w jego DNA. Zdawał się wchodzić do głowy przestępców. Rozszyfrowywał ich motywy. Diagnozował i prześwietlał na wylot.

– Mogę zobaczyć pana legitymację? – Tak jak przewidywał, Schutt odezwał się pierwszy.

– Nie zgłosił się pan do kuratora. – Małecki nie uniósł wzroku znad książki, którą otwierał w różnych miejscach, po czym przerzucał kilka stron, ignorując prośbę pisarza.

– Zostało mi jeszcze trochę czasu. – Igor drgnął, jednak szybko przywołał się do porządku. – Zgodnie z prawem mam na to siedem dni.

– Znam przepisy, panie Schutt. – Odłożył powieść na miejsce i przyjrzał się uważnie stojącemu naprzeciwko niego mężczyźnie.

Popełnione przestępstwo zawsze zostawiało w człowieku ślad. Nawet w osobach najbardziej skrytych. W psychopatach, którzy chowali się za uprzejmymi uśmiechami i urokiem osobistym. Za każdym razem można było odnaleźć w nich coś, co ich w końcu zdradzało. Trzeba było tylko dobrze poszukać.

Tymczasem Małecki nie potrafił ocenić tego człowieka. Być może więc ziarno prawdy tkwiło w tym, co przekazał mu Marcin Koterba...

– To dlatego uznał pan komisarz, że ta wizyta będzie dobrym pomysłem? – Schutt uniósł brew, nie tracąc kontaktu wzrokowego. – Zwolnienie warunkowe nie czyni ze mnie niewolnika.

Małecki znowu poczuł zmęczenie. Powinien po prostu zabrać tego faceta na posterunek i porządnie przemaglować, tymczasem na nowo podjął swoją wędrówkę po salonie. W końcu zatrzymał się przy dosuniętym do okna biurku. Potrącony przez niego laptop rozświetlił się, ukazując stronę przeglądarki internetowej. Komisarz pochylił się odruchowo, aby lepiej widzieć. Wyniki wyszukiwania sprawiły, że wyprostował się i usztywnił.

– Obawiam się, że musi pan pójść ze mną.



– Igor oparł ramiona na odrapanym stoliku i skupił się na tykaniu zegara zawieszzonego nad wejściem do pomieszczenia, w którym go zamknięto. W pokoju nie było ani jednego okna, a ta świadomość sprawiała, że strach napływał do niego gorącymi falami.

Kurwa! Co go podkusiło, żeby grzebać w tej sprawie? Dlaczego ta spalona restauracja działała na niego w taki sposób? Nie dawała mu spokoju, więc nie potrafił się powstrzymać.

Wypuścił powoli powietrze i gdy Małecki wszedł do pokoju, zmusił się do rozprostowania palców zaciśniętych na brzegu stołu. Początkowo wziął go za stojącego nad grobem funkcjonariusza, który nie był w stanie przejść kilku kroków

bez zadyszki. Ciemne plamy potu na jego służbowej koszuli zdawały się potwierdzać tę opinię. Jednak teraz coś mówiło mu, że pierwsze wrażenie było mylne, a komisarz jest zdeterminowany, aby udowodnić mu winę.

– Przepraszam, że trwało to tak długo. Możemy zaczynać. – Małecki usiadł naprzeciwko niego i rozłożył przed sobą dokumenty. Przeczesał rzadziejące włosy palcami w naturalnym odruchu, a po pomieszczeniu rozszedł się zapach potu.

Igor wiedział, co się zdarzy w następnej kolejności. Przypomniał sobie tamten dzień sprzed pięciu lat...

– Zostanie pan przesłuchany w charakterze świadka. – Małecki westchnął, a gdy plik kartek sfrunął ze stolika, pochylił się, stękając, by je podnieść, po czym zdmuchnął kurz z papieru.

Każda osoba wezwana w charakterze świadka ma obowiązek stawić się i złożyć zeznania... Prawo odmowy zeznań przysługuje świadkowi, który w innej sprawie jest oskarżony o współudział w przestępstwie objętym postępowaniem... Świadek może odmówić odpowiedzi na pytanie, jeżeli mogłoby to narazić jego lub osobę dla niego najbliższą na odpowiedzialność karną...

Słowa wirowały Igorowi przed oczami, gdy próbował złożyć je w sensowną całość, bo jedyne, o czym mógł myśleć, to otarcia na nadgarstkach, jakie zostawiały po sobie kajdanki. O chłodnym dotyku metalu na skórze.

– Nie zaczniemy, dopóki pan nie podpisze. – Policjant odchrząknął, a Igor zacisnął palce na długopisie.

Jasne. Oczywiście.

Złożył podpis i spojrzał na Małeckiego wyczekująco. Był pewien, że znał słowa, które padną z ust komisarza, ale ten tylko rozglądał się rozkojarzony po pomieszczeniu. Jego palce wystukiwały na blacie rytm. W końcu spojrzał na Igora z uśmiechem.

– Okazuje się, że pańskie powieści mają duże wzięcie w naszym wydziale. – Policjant odchylił się na oparcie krzesła, czekając na reakcję Schutta, który zmusił się do bezruchu, chociaż te słowa go zaskoczyły.

– Cóż mogę powiedzieć... Nie spodziewałem się, że akurat policja będzie czytać moje książki. – Podniósł długopis, żeby zająć czymś dłonie.

– A co? Pewnie uważa pan, że policjanci nie czytają? – Małecki zmrużył oczy, jakby ta insynuacja go drażniła. – Umiemy czytać, panie pisarzu, a nawet sklecić parę zdań w logiczną całość i wyciągnąć z nich wnioski. Chciałby pan poznać refleksje aspirant Zdrojewskiej na temat *Żaru*?

– Zamieniam się w słuch – mruknął Igor, zapisując w pamięci nazwisko policjantki.

– Uważa, że zawsze umieszcza pan w swoich powieściach wątki autobiograficzne.

Tym razem nie udało mu się opanować zaskoczenia. Kimkolwiek była aspirant Zdrojewska, znała nie tylko stworzone przez niego historie. Przyswoiła sobie także jego życiorys i wyciągnęła z tej wiedzy odpowiednie wnioski. Nie powinno go to dziwić. Machina warunkowego zwolnienia działała, od kiedy wyszedł na wolność. Na pewno akta jego sprawy trafiły do nich, jeszcze zanim go wypuszczono.

– Czerpię z różnych źródeł.

– A ten rodzaj brutalności, w którym podobno się pan lubuje? To też jakieś konkretne źródło?

Mierzyli się spojrzeniami i tylko tykanie zegara przeczyło temu, że czas nie zatrzymał się w miejscu. Milczenie przedłużało się w nieskończoność, aż w końcu Małecki pochylił się nad dzielącym ich stolikiem.

– Co pan robił wczoraj w godzinach popołudniowych i wieczornych? – Nadal utrzymywał towarzyski ton.

– Nic. – Igor pilnował się, żeby nie powiedzieć zbyt wiele. Pięć lat temu rozgryźli go w pół godziny. Z chaotycznego bełkotu złożyli do kupy ciąg wydarzeń tamtej październikowej nocy. – Czy jestem o coś oskarżony?

– Czy coś takiego powiedziałem? – Na ustach komisarza błąkał się uśmiech.

– Nie, i tym bardziej nie wiem, do czego pan zmierza. – Tym razem głos Igora zabrzmiał ostrzej. – Prawdopodobnie w czasie, o który pan pyta, pracowałem nad nową powieścią. Jeżeli chciałby pan porozmawiać o niej, zapraszam do siebie. Jestem pewien, że odbędziemy fascynującą pogawędkę o literaturze. – Gdyby w zasięgu jego dłoni znajdowała się teraz paczka papierosów, sięgnąłby po nią bez wahania. Małecki zdawał się wyczuć jego nastrój, bo wsunął dłoń do kieszeni policyjnej bluzy i po chwili po pomieszczeniu rozszedł się gryzący zapach dymu.

– Pracuje pan nad powieścią o naszej osadzie? – Komisarz nawiązał do tego, co zobaczył w komputerze Schutta. – Skąd taki pomysł?

– Zaintrygowała mnie, gdy postanowiłem się tutaj osiedlić. – Igor wzruszył ramionami, zastanawiając się, ile wiedział ten stary skurczybyk. Gdyby komisarz domyślał się, że Igor był w osadzie, zapewne już padłoby pytanie o Magdalенę Zacharę, tymczasem policjant krążył wokół tematu, nie zbliżając się do tego, co ukrywał przed nim Schutt. To sprawiło, że Schutt nieco się rozluźnił. Najwyraźniej policjant nie miał żadnego asa w rękawie. Niczego, czym mógłby go zaskoczyć.

– Dobrze, przejdźmy do oficjalnej części. – Małecki rozgniół niedopałek papierosa na dzielącym ich biurku i poprawił leżące przed nim dokumenty. – Muszę spisać pana dane do protokołu. Mógłbym prosić o jakiś dokument?

Schutt sięgnął do kieszeni kurtki, w której nosił dowód osobisty, jednak jego palce natrafiły na pustkę. Poszukał głębiej, przekonany, że nie wyjmował dowodu z kieszeni, jednak niewiele to dało. Sprawdził pozostałe kieszenie, próbując przypomnieć sobie, gdzie przełożył dokumenty.

– Tego pan szuka? – Kawałek plastiku upadł z cichym stukotem na stół, a komisarz nie spuszczał wzroku z jego twarzy.

Igor zamarł, gdy prawda docierała do niego, uderzając jak obuchem. Nie siedział w tym pokoju dlatego, że Małecki miał jego nazwisko w bazie.

– Jest pan ciekawy, skąd mam pana dowód? – Wyraz twarzy policjanta się zmienił. Igor nie dostrzegał już grama sympatii. Nawet głos komisarza był inny. Nuta drwiny, która zadźwięczała, gdy zadawał pytanie, sprawiła, że Schutt cofnął się na oparcie krzesła.

– Nieszczerólnie... – Zmusił się do uśmiechu. – Ale dzięki za jego zwrot. Czuję, że jeszcze kiedyś może mi się przydać.

Wyciągnął dłoń po dokument, jednak komisarz okazał się zadziwiająco szybki. Igor obserwował ze złością, jak bawi się jego dowodem, obracając go w dłoni.

– Może jednak wyjaśnię...

Igor wyobraził sobie, że dowód wysunął mu się z kieszeni, gdy sięgał dłonią do nieruchomej dziewczyny. Upadł na ziemię, a on, sparaliżowany widokiem poszarpanej skóry, nie zauważył tego i uciekł.

Płatki nosa rozchyłały mu się, gdy wdychał gwałtownie powietrze. Nie zamierzał trafić do więzienia kolejny raz. Choćby musiał kogoś zabić, jego noga nie postanie

na terenie zakładu karnego. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć. Najlepiej prawdę, chociaż opowiadanie jej na tym etapie zdawało się spóźnione.

– Marcin Koterba twierdzi, że widział pana wczoraj wieczorem w osadzie.

Adrenalina wystrzeliła, zalewając mu ciało. Znał to nazwisko. Nie rozumiał jednak, co Marcin Koterba miał wspólnego z dokumentem leżącym między nim a policjantem.

– No więc... zacznijmy od początku. – Komisarz zaplótł dłonie. – Co pan robił wczoraj wieczorem?

– Nie znam tego człowieka i nie mam pojęcia, gdzie znalazł mój dowód, ale zrobił pan błędne założenie. – Schutt zrobił pauzę, dając sobie czas. Gdyby zaczął tłumaczyć się zbyt gwałtownie, byłoby już po nim. Nauczyło go tego nie tylko własne doświadczenie, ale również historie, z którymi zapoznał się, gdy pisał swoje powieści. Policja miała większy problem, gdy podejrzany milczał, niż gdy składał obszerne wyjaśnienia.

– Nie zrobiłem żadnych założeń. – Małecki zgasił niedopałek w popielniczce, w której ktoś utracił ucho, i od razu wyciągnął z paczki kolejnego papierosa. Rolował go przez kilka chwil w palcach. – Gdybym był na pana miejscu, również niczego bym z góry nie przesądzał. Ta komenda nie jest być może dobrze dofinansowana. Nie posiadamy nowoczesnego sprzętu i zbyt wielu funkcjonariuszy, ale ci, którzy tutaj pracują, potrafią dojść do prawdy. Żadne nowoczesne cacka nie zastąpią tego...

Małecki pochylił się przez dzielący ich stół i postukał się po nosie.

– A mój mówi mi, że wczoraj, gdy zamordowano Magdalenę Zacharę, był pan w pobliżu osady.

– I nigdy się pan nie myli? – Podjęcie gry przychodziło mu z największym trudem. Pilnował się, aby nie krzyżować ramion. Patrzył wprost na Małeckiego, nie pozwalając sobie na zerknięcie w bok, jednak wiedział, że nie może robić tego zbyt długo. Łgarze przedłużali kontakt wzrokowy, gdy próbowali ocenić, czy ich rozmówca kupił ich kłamstwo. – Wczoraj w południe przekroczyłem bramy krakowskiego więzienia, o czym zapewne doskonale pan wie. Potem poszedłem jeszcze na rynek, żeby kupić sobie porządne ubrania i zjeść obiad, a następnie udałem się do komisju, gdzie kupiłem samochód. Nawiasem mówiąc, mam papiery,

które to poświadczą. Może pan do nich zadzwonić, żeby ustalić, że dotarłem tam dopiero późnym popołudniem.

Przerwał swój wywód, żeby nabrać powietrza. Własne słowa uspokoiły go. Nie miałby czasu, aby zamordować Magdalenę Zacharę, bo gdy zginęła, on był daleko stąd.

– Oczywiście, sprawdzimy to. Ale to nie wyjaśnia kwestii dowodu.

– Może nie wyjaśnia, i nie potrafię odpowiedzieć na pana pytanie. Odkąd tu przyjechałem, jeździłem po okolicy na rowerze. Być może dowód wysunął mi się z kieszeni, a ten człowiek go po prostu znalazł.

– Akurat przy osadzie? – Małecki zmrużył oczy, nie zamierzając odpuścić, chociaż do jego tonu wkradła się nuta rezygnacji.

– Tam też byłem. – Igor wzruszył ramionami, a blizny na plecach dały o sobie znać. – Dostrzegłem tłum gromadzący się przy starych budynkach i postanowiłem przyjrzeć się z bliska całemu zamieszaniu. Taki pisarski instynkt.



Komisarz Małecki zamyślił się, patrząc na zdjęcie wpięte do akt sprawy Schutta. Facet sfotografowany pięć lat temu w ogóle nie przypominał mężczyzny, którego przesłuchiwał. Wyglądał jak duch, z zapadniętymi policzkami i długimi strąkami włosów przylepionymi do szyi. Przez jego twarz ciągnęła się brunatna smuga. Komisarz domyślał się, że to zaschnięta krew.

Odruchowo sięgnął po fajkę schowaną w górnej szufladzie biurka i podpalił upchany w niej tytoń. Po chwili pokój wypełniła woń, która podziałała na niego uspokajająco.

Rozsiadł się wygodnie w swoim skórzanym fotelu, który dostał w prezencie na trzydziestolecie pracy zawodowej, i przewrócił kilka stron akt, aż dotarł do wyroku wydanego w sprawie Igora.

Dlaczego nie uratował tamtej dziewczyny? Dlaczego nie zrobił nic, żeby wyciągnąć ją z płomieni? Przeczytanie akt sprawy nie dało komisarzowi odpowiedzi na te pytania. Igor Schutt konsekwentnie milczał i być może najwięcej tajemnicy uchylił w swojej powieści, którą Zdrojewska zaczytywała się

z wypiekami na twarzy, a potem zanudzała cały wydział opowieściami o autorze kryminałów pisanych w więziennej celi.

Mimo że Schutt stanowił zagadkę, jego wyjaśnienia nie dawały żadnych podstaw, aby uznać go za podejrzanego. Wszedł na wolność kilka godzin przed szacowaną porą zabójstwa Magdy Zachary. Komisarz wiedział z doświadczenia, że teoretycznie mógłby pokonać trasę z Krakowa do Czorsztyna w tym czasie, jednak telefon do komisju samochodowego, o którym wspomniał Schutt, potwierdził jego alibi. Poza tym komisarz nie widział żadnego sensu w tym, że mężczyzna miałby zabijać od razu po opuszczeniu więzienia. Pozostawała jeszcze kwestia narzędzia zbrodni.

Małecki wzdrygnął się na wspomnienie ciała Magdy. Wypalona na boku jej ciała cyfra „0” była precyzyjnie odcisnięta na skórze. Ktoś się dobrze przygotował, aby zabić tę dziewczynę. To nie była spontaniczna, przypadkowa zbrodnia, którą Schutt mógłby popełnić kompulsywnie, żeby rozładować napięcie spowodowane pobytem w więzieniu.

Komisarz zamknął akta i podniósł z biurka protokół przesłuchania Igora. Wypuścił go, ale to nie znaczyło, że z nim skończył. Jeżeli okaże się, że sprawy potoczą się tak, jak przeczuwał, będzie musiał wykorzystać każdą możliwość, żeby jeszcze raz ochronić mieszkańców Czorsztyna. Być może po raz ostatni, jednak musiał podjąć ten wysiłek.

Otworzył szufladę i schował do niej protokół przesłuchania, nie wpinając go do akt sprawy.

Tak... Igor Schutt był łatwym rozwiązaniem, a komisarz miał już doświadczenie w kierowaniu śledztwa na właściwe tory. Gdy nadejdzie czas, jeszcze raz schowa do kieszeni wyrzuty sumienia i wyciągnie na światło dzienne fakt, że Marcin Koterba znalazł dowód osobisty Schutta w osadzie. Chłopak na pewno złoży zeznania, które będą pasowały do wersji przyjętej w trakcie śledztwa.

Rozdział 8



Schutt jeszcze nie otrząsnął się po przesłuchaniu, ale gdy otworzył drzwi do swojego domu, od razu wyczuł, że coś było nie tak. Nie zadomowił się na tyle, aby znać to miejsce na wylot, jednak miał pewność, że nie zostawił otwartych okien, a tymczasem w domu zdawał się hulać przeciąg. Pokonał szybko krótki korytarz i wszedł do salonu.

– No wreszcie! Gdzie ty się podziewałeś? Myślałem, że jak przyjadę, będziesz pisał...

Paweł Biernacki niewiele zmienił się przez te lata. Kiedyś on i Igor mogli uchodzić za braci. Oboje zapuszczali blond włosy, nosili skórzane kurtki i przetarte dżinsy. Łączyło ich niemal wszystko. Wydział dziennikarski, na którym studiowali. Krakowski Kazimierz, gdzie każdy z nich wynajmował mieszkanie. Literatura, muzyka, używki, podobne dziewczyny...

Powinien ucieszyć się z wizyty Biernackiego. Przynajmniej poczuć wdzięczność. W końcu to Paweł okazał się przyjacielem, który wspierał go przez ostatnie lata. To on wymyślił, żeby kupić dla niego działkę nad jeziorem i wybudować tu dom. Zarządzał jego finansami. Reprezentował w wydawnictwie. Załatwił prawnika, który ostatecznie doprowadził do przedterminowego zwolnienia...

Tymczasem mięśnie Schutta się spięły, naciągając blizny na plecach, przez co poczuł nieprzyjemne mrowienie.

– Co ty tu robisz? – Nie zamierzał ukrywać swojego nastroju, więc jego słowa zabrzmiały zaczepnie.

Obserwował przez moment, jak Paweł nalewał whiskey do szklanki z grubo rżniętego szkła, a gdy zbył go milczeniem, podszedł do stołu, żeby zostawić tam

portfel, do którego wsunął wcześniej swój dowód. Nie miał zamiaru powtarzać błędu i chować dokumentu do kieszeni kurtki.

W końcu domyślił się, w jaki sposób policjant wszedł w posiadanie jego dowodu. Marcin Koterba to ten gnój, którego ustawił do pionu poprzedniego dnia. Dowód musiał wyslizgnąć się z kieszeni, gdy się szarpali, a kiedy Igor zabrał Janka do restauracji, tamten wrócił na polanę i zrobił z niego użytek. Nawet nie zamierzał analizować, dlaczego nie powiedział Małeckiemu prawdy. Twarz Janka stanowiła najlepszy dowód na to, co wydarzyło się poprzedniego dnia. Jednak nie mógł zaufać temu, że ten dziwny dzieciak potwierdziłby jego wersję zdarzeń. Wykreślił się więc półprawdą, przeczuwając, że w końcu będzie musiał ponieść konsekwencje lawirowania pomiędzy dziwnymi wydarzeniami, które wydarzyły się, odkąd przyjechał do Czorsztyna.

– Zadomowiłeś się już? – Paweł opróżnił zawartość szkła jednym haustem i od razu nalał sobie kolejną porcję. – Wybacz, że wszedłem bez zaproszenia, ale ciebie nie było, a ja nadal mam zapasowe klucze.

Schutt zwalczył potrzebę, aby zażądać ich zwrotu. I tak zamierzał wymienić zamki, aby ten, kto się nim bawił, nie dostał się ponownie do domu.

Patrząc na Pawła, zdał sobie sprawę, że choć kiedyś łączyło ich niemal wszystko, ostatnie pięć lat sprawiło, że Paweł nie był w stanie go zrozumieć. Nie pojąłby, gdyby Igor powiedział mu, że nienawidzi być zaskakiwany. Że samotność to jedyne, na co miał ochotę. Że potrzebował przestrzeni tylko dla siebie.

– Tak, dzięki za wszystko. Dom jest świetny.

– Cieszę się. – Wzrok Pawła przeczył jego słowom. Obserwował Schutta, jakby chciał się na niego rzucić. – Czekałem, aż zadzwonisz.

Igor przetarł twarz dłonią. Właśnie o to chodziło. O więzi międzyludzkie, które dla Pawła były czymś naturalnym, a dla niego łądem, który musiał poznać na nowo. Nie potrafił rozmawiać z nim o głupotach, jak przed aresztowaniem, a przyjaciel najwyraźniej tego oczekiwał.

– Pomyślałem, że powinienem urządzić ci imprezę powitalną. To byłaby świetna okazja, żebyś poznał ludzi z wydawnictwa.

– Co ty pierdolisz? – warknął zirytowany tym pomysłem. – Myślisz, że ktoś z nich będzie miał ochotę na pogawędkę z facetem, który właśnie wyszedł po pięciu latach z kryminału?

– Daj spokój. Zabawimy się jak dawniej. Wszystko załatwię. Nie będziesz musiał się w ogóle wysilać. – Biernacki wygładził spodnie wyprasowane w kant. On też się jednak zmienił przez ostatnie pięć lat. Nie stracił tego czasu jak Igor. Każda godzina pracowała na jego korzyść. – Nie mówiłem ci wcześniej, ale wydawnictwo jest zainteresowane spotkaniami z czytelnikami.

Schutt roześmiał się gorzko. Może powinien uprzedzić Pawła, że jeżeli będzie miał pecha, ponownie wyląduje za kratami.

– Nie – odparł stanowczo.

Nie zamierzał pokazywać nikomu swojego wizerunku. Dlatego na okładkach jego książek nie umieszczano zdjęć autora. Z tego powodu odrzucał wszystkie prośby o wywiad.

– Nie wiem, co urodziło się w ich albo w twojej głowie, ale nic z tego nie będzie.

– Dobra. Rozumiem, że nie chcesz, ale zaglądałeś na konto? Dom kosztował cię praktycznie wszystko. Musisz z czegoś żyć.

Schutt wzdrygnął się, gdy Paweł sięgnął po zapalniczkę. Płomień tańczył i znikał, gdy Biernacki odrywał kciuk.

– Teraz to już tylko moje zmartwienie. – Odwrócił się do niego plecami, żeby nie patrzeć na ogień. Musiał zakończyć tę bezsensowną dyskusję. Paweł zawsze narzucał mu swoje plany, a on dla świętego spokoju mu ulegał, ale teraz nie był już taki jak kiedyś. – Słyszałeś, że zamordowano tu dwa dni temu dziewczynę? Jak ona się nazywała... Magdalena Zachara.

Zerknął przez ramię i pochwycił moment, w którym dłonie Pawła znieruchomiały, a popiół z rozżarzonego papierosa upadł na stolik.

– Znałeś ją?

– Kiedyś... – Paweł skrzywił się, gdy zauważył w końcu, że papieros wypalił się prawie do filtra. – To wiocha. Każdy zna tutaj każdego.

Słowa Biernackiego brzmiały tak sugestywnie, że prawie w nie uwierzył. Jednak pobyt w więzieniu nauczył go dostrzegania nawet niewielkich wskazówek. I taką wychwycił w postawie Pawła. Przygarbione plecy i fakt, że przyjaciel nalał sobie podwójną porcję whiskey, zdradziły mu więcej, niż Paweł mógłby się spodziewać.

Znał tę dziewczynę i odczuwał żal na wieść o jej śmierci. Nigdy nie lubił rozmawiać o swoich uczuciach. Z jednej strony wylewny, z drugiej zamknięty

w sobie. Jednak mało kto potrafił utrzymywać pozory obojętności przez dłuższy czas.

Schutt nadal pamiętał dzień, gdy zagadnął Pawła o rodzinę. Jeden jedyny raz. To było niewinne pytanie. Lubił chodzić po górach, a Czorsztyn wydawał się dobrą bazą wypadową na weekendowe wędrówki. Dlatego dziwiło go, że przyjaciel nigdy tutaj nie przyjeżdżał. Reakcja Pawła zaskoczyła go. Najpierw zamknął się w sobie, a potem przez cały dzień szukał zaczepki, aby na koniec rzucić się na niego zupełnie bez powodu.

– Ludzie gadają, że osada, gdzie znaleziono ciało, jest przeklęta – rzucił Igor.

– Co za bzdury. – Paweł się roześmiał i sięgnął po kolejnego papierosa. – To ludzie są przeklęci, a nie miejsca.

– Sam nie wiem... – Przez chwilę mierzyli się spojrzeniami. – Zaczynam odnosić wrażenie, że Czorsztyn ma wiele do ukrycia. Kobuz stracił nad sobą panowanie, kiedy wspomniałem o pożarze tamtej restauracji.

Paweł zaciągnął się głęboko i przytrzymał dym w płucach. Igor, patrząc na to, poczuł bolesne mrowienie w klatce piersiowej. Tę potrzebę, aby wpuścić do swojego organizmu truciznę.

– Kobuz to lokalny patriota. Nie lubi, gdy źle się mówi o wsi. A tamten pożar sprawił, że zrobiło się o nas głośno. Policja i dziennikarze nie wyjeżdżali stąd przez wiele tygodni.

– Dlaczego? – Wszystkie drobne fragmenty, które dopiero zebrał, układały się w historię wartą zbadania i nie zamierzał odpuszczać. Być może napisanie nowej powieści uchroni go przed samotnością. Przed codziennością bez narzuconego z góry rygoru.

– Nie mam pojęcia. Byłem wtedy dzieciakiem. Jedyne, co mnie wówczas interesowało, to tamto urwisko. – Paweł wskazał na piaszczystą skarpe, tuż obok ruin zamku widocznego z miejsca, gdzie stali. – Rozmawiasz z mistrzem skoków do jeziora.

Roześmiali się i w jednej chwili uleciała cała sztuczność, która zdawała się wkradać w ich relację. Może Igor potrzebował po prostu czasu, aby ponownie zaufać ludziom? Może musiał przyzwycząić się do nowej scenerii i przestać planować wszystko dwa kroki naprzód? Może gdy to mu się uda, będzie mógł zacząć żyć na nowo?

– Znałeś dzieci tych ludzi, którzy tam wtedy spłonęli? Dobrochna i Janek...
Trudno ich nie zauważyć.

– Jak już mówiłem, to wiocha. – Paweł schował dłonie w kieszeniach i ten gest znowu zdawał się wprowadzać między nimi dystans. – Słuchaj, będę się zbierał, a ty pomyśl o tej imprezie. Po prostu daj sobie szansę, okej?

Rozdział 9



Waldemar Kobuz szedł ścieżką prowadzącą do jeziora, przeklinając pod nosem. Jadwiga tak długo wierciła mu dziurę w brzuchu, aż w końcu jej uległ. I mimo że pogoda nie nastrajała do spacerów, wsunął na nogi gumofilce, a na kark narzucił ciepłą kufajkę.

Wiosna tego roku się ociągała. Zamiast ogrzać taflę jeziora i okoliczne pastwiska, ukryła się między skałami gdzieś w górach i czekała na dogodny moment, aby zaatakować. Waldemar czuł w kościach, że zanim słońce ogrzeje mu plecy, gdy będzie siedział w swojej ukochanej łódce, minie jeszcze kilka tygodni.

Dobrze, że wieczorem miał go odwiedzić Małecki. Popykają razem fajki i podyskutują o sprawach, które wymagały omówienia. Stary komisarz nalegał, aby spotkali się jak najszybciej. Waldemar nie miał pojęcia, na co liczył Małecki, ale rozumiał, że pewne kwestie należało ustalić już teraz, zanim wypadki przyjmą taki obrót, nad którym nie będą potrafili zapanować.

Tymczasem była siódma rano, a on musiał zajmować się głupotami, bo jego ślubna ubzdurała sobie, że uraził ich nowego sąsiada. Głupia kobieta... Jednak przez ponad pięćdziesiąt lat wspólnego życia nauczył się, że lepiej było jej ustąpić, niż drzeć z nią koty. Gdy Jadwiga na coś się uparła, nie było zmiłuj. Potrafiła zamienić nawet najpiękniejszy dzień w prawdziwe piekło.

Odchrząknął, żeby oczyścić gardło z plwociny, a potem zapukał do drzwi Schutta. Od początku nie podobał mu się ten dom. Gdyby miał w tej sprawie coś do powiedzenia, postawiłby tutaj skromniejszy budynek, bardziej harmonizujący z Czorsztynem. Ten pasował raczej do skandynawskiego wybrzeża, a Waldemar dobrze wiedział, jak wyglądają tam chałupy, bo kiedyś wnuk zafundował mu

wycieczkę na fiordy. Na moment opuściła go złość, gdy przypomniał sobie, jak duże sztuki podrywał wtedy na pokład wycieczkowego kutra.

– Pan Waldemar? Coś się stało?

– Witam – mruknął Kobuz na widok sąsiada zapominając o srebrzących się brzuchach tłustych pstrągów. – Chyba źle zaczęliśmy naszą znajomość.

Schutt obrzucił go badawczym spojrzeniem, nie odzywając się, a on od razu nabrał podejrzeń. Sąsiad podobno pisał książki. Nigdy nie wiadomo, co takiemu urodzi się w głowie. Ale dla świętego spokoju Waldemar musiał spełnić prośbę Jadwigi i obłaskawić go choć trochę.

– Pomyślałem, że powinniśmy spróbować znaleźć wspólny język...

– W takim razie zapraszam. – Igor odsunął się, robiąc mu przejście, ale on nie zamierzał skorzystać z gościny. Nie byli wioskowymi plotkarami. Na miłość boską, przecież nie będzie siedzieć w kuchni tego gówniarza i pić z nim herbaty.

– Mam lepszy pomysł. – Uniósł dwie wędkę, które ze sobą przyniósł, i wskazał na jezioro. – Pomyślałem, że moglibyśmy wybrać się na ryby.

– Na ryby? – Schutt podrapał się po nieogolonym policzku. Chyba jeszcze się dobrze nie obudził, bo zdawał się zupełnie nie rozumieć, czego chciał od niego Kobuz.

– No tak... Rano najlepiej biorą. Na pewno wyciągniemy kilka leszczy, a jak się nam poszczęści, to może nawet i szczupaka, chociaż tego będzie trzeba wypuścić ze względu na okres ochronny.

Igor wpatrywał się w niego, jakby wyrosło mu trzecie oko, a przecież Kobuz nie należał do cierpliwych ludzi. Tylko na rybach potrafił się wykazać stoickim spokojem, ale ten chłopak nie był okoniem królewskim, żeby wystawiać jego nerwy na próbę. W końcu Schutt roześmiał się, chociaż Waldemar nie widział w tej sytuacji nic zabawnego.

– Dobrze, chodźmy na ryby.

Igor zniknął w głębi domu, żeby się ubrać, darując sobie ponowne zapraszanie go w swoje progi. I dobrze! Waldemar nadal uważał, że ten fikuśny dom był obrazą dla jego ukochanego Czorsztyna.



Łódka chybotwała się na wodzie i tylko plusk fal mącił ciszę, która panowała dookoła. Poranna wizyta Kobuza była tak niespodziewana, że Igor uległ jego propozycji. Miał co prawda w planach zameldowanie się u kuratorki w Nowym Targu, bo odwlekał tę wizytę i tak zbyt długo, jednak nie sądził, aby wyprawa na ryby zajęła mu więcej niż dwie godziny. Tymczasem dochodziła już dziesiąta, a sąsiad najwyraźniej nie miał zamiaru odpuszczać ani jednej sztuce pływającej w Zalewie Czorsztyńskim.

Początkowo obserwowanie Kobuza było zabawne. Ten wielki facet emocjonował się każdym drgnięciem spławika jak dziecko, chociaż starał się ukryć przed Igorem swój stan ducha. Jednak im dłużej tkwili pośrodku jeziora, tym bardziej Schutt był znudzony i poirytowany. W przeciągu ostatnich piętnastu minut opracował przynajmniej pięć sposobów na zamordowanie podstarzałego wędkarza. Rozważał użycie wiosła albo żyłki, ewentualnie wepchnięcie mu do gardła jednej z ryb, które wyciągał z wody. Wszystko by się nadawało, byle tylko starzec przestał wdychać i mlaskać mu za plecami.

Uniósł wzrok na ciemne budynki osady. Już nie wydawało mu się, że drzemie w nich magia. Wyczuwał raczej zło unoszące się nad tym miejscem. Czarne bryły domów, których nie rozświetlał blask lamp, zdawały się rzucać cień na całą okolicę. Bił od nich chłód, którego nie były w stanie przegnać nawet promienie słońca odbijające się srebrnymi błyskami w tafli jeziora.

Z każdym odgłosem wydanym przez Kobuza Schutt spinał się bardziej, przypominając sobie to, czego nienawidził w więzieniu. Tej pozornej ciszy, która czasem panowała w celi. Milczenia, które nigdy nim nie było. Zawsze dało się wyłapać jakiś dźwięk. Ciała ocierającego się o szorstkie koce. Sprężyn skrzypiących w piętrowych łózkach. Głośnych oddechów, chrapania, kroków niosących się po korytarzu.

– To będzie piękna sztuka. Pełno takich w naszym jeziorze. – Kobuz sapnął z wysiłkiem, mocując się z napiętą wędką, a Igor obiecał sobie, że nigdy nie kupi sobie sprzętu wędkarskiego. W łowieniu ryb było coś, co go odrzucało. Być może chodziło o bezsensowność tego zajęcia. Większość wyciągniętych z wody ryb wrzucili z powrotem do jeziora, ale przecież poranione nie były już tak zwinne i silne jak wcześniej. Całkiem możliwe, że przyczynili się do ich śmierci, mimo że darowali im życie. – Bierz podbierak. Zaraz się przekonamy, co się nam nawinęło na haczyk.

Igor podniósł nieco wygięty podbierak, obserwując, jak końcówka wędzidła drżała pod wpływem ruchów ryby.

– Waleczna bestia! – Kobuz pociągnął wędkę w górę, mocując się z tym, co miał na haczyku, a łódka zakołysała się niebezpiecznie.

Schutt stanął w rozkroku, zastanawiając się, jaka była szansa, że sąsiad wywróci ją do góry dnem. Nie miał ochoty zanurzać się w lodowatej wodzie. W końcu jednak dostrzegł tuż pod powierzchnią kształt ryby, która faktycznie zdawała się całkiem spora.

– Mam cię, ty cholero! Już się nie wywiniesz! – Kobuz również wstał, aby lepiej zapanować nad sytuacją. – Masz ten podbierak?

Igor uniósł siatkę w momencie, gdy do jego uszu doleciał sygnał przesuwanego się wzdłuż jeziora radiowozu. Samochód mknął szybko, nie pozostawiając wątpliwości, że cokolwiek się wydarzyło tam, gdzie zahamował, sprawa wymagała pilnej interwencji. Igor zagapił się na brzeg, ignorując sąsiada szamoczącego się z rybą.

Jakiś facet zsiadł z roweru i prowadził policjanta do miejsca, w którym kręciło się coraz więcej gapiów. Igor przesunął spojrzeniem po szaroburym zbiegowisku. Gromada ludzi zebrała się w odległości kilkuset metrów od spalonej restauracji.

Schutt wyczuł przyciąganie. Ten cholerny szmer, który niektórzy nazywali przecuciem. Tak jakby w trakcie pobytu w więzieniu wyhodował sobie dodatkowy zmysł. Po prostu wiedział, gdy miało wydarzyć się coś złego. A teraz ten wewnętrzny radar wył jak oszalały, zagłuszając zdrowy rozsądek.

– Cholera! Miałeś trzymać. – Poczuł ciężar w siatce, jednak spóźnił się i ryba prześlizgnęła się nad metalową obręczą. W ostatniej chwili dostrzegł, jak jej brzuch zasrebrzył się w porannym słońcu, a potem zniknął w głębinach jeziora.

– Przepraszam. Zupełnie się rozkojarzyłem.

– Właśnie widzę – mruknął Kobuz, nawet nie kryjąc niezadowolenia. – Nie oszukujmy się, żaden z ciebie wędkarz...

Chwała Bogu, zgodzali się przynajmniej w tej kwestii.

– Coś się tam wydarzyło. – Igor wskazał głową na miejsce, gdzie policjanci brodzili w wodzie, zanurzeni do pasa.

– Co za czort? – Waldemar sięgnął do kieszeni kufajki i nasunął na nos okulary. Schutt wątpił, czy sąsiad był w stanie cokolwiek dostrzec, bo szkła były pokryte

tłustymi smugami.

– Chyba próbują wyłowić coś z wody...

W milczeniu przyglądali się zamieszaniu na brzegu jeziora, nie musząc ustępować nikomu miejsca w pierwszym rzędzie. Na łódce ludzie przepychali się tuż przed czerwono-białą taśmą zawiązaną na prowizorycznych barierkach, a ich łódka kołysała się, dryfując w stronę zbiegowiska. Fala za falą, metr za metrem... Po chwili mogli już dostrzec to, z czym próbowali się uporać policjanci.

– Może powinniśmy im pomóc? – Kobuz rozejrzał się, jakby liczył na to, że pojawi się inna łódź mająca dostęp do szuwarów.

Igor przełknął żółć zbierającą mu się w gardle. Jego ciałem szarpały sprzeczne emocje. Ciekawość walczyła o pierwszeństwo z obrzydzeniem.

– Podpłynę i zapytam – mruknął w końcu sąsiad.

Igor nie słuchał go zbyt uważnie, wpatrzony w sukienkę wydymającą się na falach. Cała jego uwaga była skupiona tylko na tym widoku. I na falujących na wodzie rudych włosach dziewczyny. Jeszcze nie dostrzegał szczegółów. Wyczuł jednak, że łódka przyspieszyła, gdy sąsiad zanurzał wiosło i popychał ich naprzód. Trzciny przybliżały się z każdą chwilą, odkrywając przed nimi coraz więcej szczegółów.

Igor prześlizgnął wzrok po skórze dziewczyny, która już zaczęła zmieniać kolor.

Jej ciało nasiąknęło wodą jak gąbka. Napuchło od zbierających się w brzuchu gazów i wlewającej się przez rozchylone usta wody. Gdyby policjant przypadkiem dotknął jej policzka, prawdopodobnie zostałyby na nim odcisk, jak w plastelinie.

Igor powiódł spojrzeniem po brzegu, próbując dojrzeć ślady, które wyjaśniłyby, co się właściwie wydarzyło, jednak nie miało to większego sensu, bo zbyt wiele osób próbowało podejść jak najbliżej wody.

– Proszę stąd odpłynąć! – Policjant brodzący w jeziorze w końcu dostrzegł, że zbliżyli się do miejsca, gdzie pracował. – Prowadzimy czynności, nic tu po was.

Igor obliznął spierzchnięte usta, ignorując słowa funkcjonariusza. W powietrzu unosił się zapach mułu uniesionego z dna stopami policjanta.

– Może potrzebujecie łodzi?! – Słowa Kobuza docierały do Schutta jak przez mgłę.

Wychylił się nieco, żeby przyjrzeć się dokładniej dziewczynie. Rozrzucone na boki ramiona sprawiały wrażenie, jakby czekała, aż ktoś wpadnie w jej objęcia.

W uszach mu szumiało, mimo że wiatr zupełnie ustał. Poczłwał falę gorącą, gdy dostrzegł ranę. Tym razem była czysta. Woda wypłukała zbierającą się w niej krew. Tylko blada skóra falowała wokół wypalanej na skórze litery „K”.

Rozdział 10



Komisarz Małecki zapalił fajkę, jeszcze zanim wszedł do prosektorium, jednak tego dnia zapach tytoniu zdawał się tylko podkreślać słodką woń unoszącą się nad ciałem Pauliny Chryc. Oparł się o stół sekcyjny, zwlekając z odkryciem zwłok. Ze wszystkich trupów najbardziej nie lubił topielców. Nigdy nie przepadał za wodą. Nawet jako dzieciak unikał kąpania się w Dunajcu. Wolał, gdy coś oddzielało go od wody, na przykład dno łódki. Jego niechęć podsyciły dodatkowo wykłady w szkole policyjnej. Gdy lekarz opisywał kolejne etapy utonięcia, obrazując je zdjęciami topielców, Małecki oblewał się zimnym potem.

Teraz wbił wzrok w białe prześcieradło okrywające denatkę i wyobraził sobie, jak walczyła otoczona przez lodowatą ciecz. Nie podejrzewał, żeby trwało to specjalnie długo. Nie była wytrenowana. Jej płuca nie przywykły do świadomego wstrzymywania oddechu.

– Witam panie komisarzu. – Spojrzał z niechęcią na młodego patologa, który ocierał z ust ostatnie ślady zjedzonego przed chwilą obiadu. – Raport będzie gotowy dopiero za kilka dni.

– Myślisz, że wypadłem sroce spod ogona? – Komisarz się zachnął. – Po prostu chciałem poznać pierwsze wnioski.

Mężczyzna spojrzał na niego dziwnie, ale nie skomentował w żaden sposób lekceważącego tonu policjanta. Zamiast tego pociągnął za prześcieradło, odsłaniając ciało Pauliny Chryc od głowy do pasa. Akurat tyle, żeby policjant mógł się dobrze przyjrzeć zadanej dziewczynie ranie. Małecki pochylił się odruchowo, próbując zapanować nad buntującym się żołądkiem. Być może zjadł zęby na tej robocie, ale nadal nie potrafił przejść obojętnie obok śmierci.

– Leżała w wodzie około czterech, pięciu dni. – Mężczyzna wskazał na Paulinę.
– Widzi pan komisarz te ślady? Glony już zaczęły rozwijać się na skórze. Na razie jezioro jest zimne, więc ten proces jest spowolniony, ale mogę mniej więcej określić czas przebywania w wodzie.

– Jesteś pewien? – Małecki wyciągnął notatnik, do którego wsunął zbyt krótki ołówek. Trzymanie go między palcami było niewygodne.

– Tak. Gdyby pływała dłużej, ryby narobiłyby więcej szkód.

Małecki skrzywił usta z obrzydzeniem, uświadamiając sobie, że kilka dni temu wędkował z Waldkiem Kobuzem. Miał nadzieję, że do ich wiadra nie trafiła żadna z ryb, które nadgryzły tę biedną dziewczynę.

– Poza tym proszę spojrzeć tutaj. Pomarszczona skóra na całych dłoniach, tak jak pan widzi, pojawia się po około pięciu dniach przebywania ciała w wodzie. Mówimy na nią skóra praczek. Gdyby wystąpiła również na stopach, powiedziałbym, że to raczej sześć dni.

Odsunął zamaszystym ruchem prześcieradło, odkrywając pomalowane na czerwono paznokcie stóp. Lakier w dużej mierze odprysnął, jednak było widać, że Paulina lubiła o siebie dbać. Małecki pokiwał głową, zapisując spostrzeżenia patologa w notesie.

– No i proszę pamiętać, że mówimy tylko o tym, ile ciało pływało w jeziorze. Sam zgon nastąpił w wyniku zadania jej tej rany. Jest mniejsza niż u Magdaleny Zachary, ale znajduje się w podobnym miejscu. – Patolog wskazał na poszarpaną skórę denatki, spod której Małecki dostrzegł napuchnięte wnętrzności. – No i ta litera...

Komisarz zbliżył twarz do wypalonego na skórze „K”. W przypadku Magdy Małecki przyjął, że ktoś oznaczył ją cyfrą zero. Ale być może się mylił. Być może, tak jak w przypadku Pauliny, to była litera i teraz miał już do kolekcji dwie.

– Jakiś pomysł, czym posłużył się sprawca?

– Powiedziałbym, że to jakiś rodzaj pirografu. Może taki do grawerowania napisów na torebkach? Taki ślad można by wypalić również laserem. – Małecki pomyślał dokładnie o tym samym, gdy po raz pierwszy oglądał obrażenia na ciele Zachary. – Sprawca musiał przetrzymywać ją gdzieś, gdzie miał dostęp do takiego sprzętu...

Komisarz nie odpowiedział, ale zapisał nazwę urządzenia do grawerowania w swoim notesie. Będzie trzeba sprawdzić, czy w okolicy jest jakiś sklep sprzedający tego rodzaju sprzęt, chociaż nie liczył na wiele. Obecnie namierzenie sprawcy utrudniały nowoczesne wynalazki, z których sam nie korzystał, choćby sprzedaż przez internet. Nie dość, że można było tam znaleźć różnego rodzaju bezceństwa, to jeszcze przestępcy nie zostawiali po sobie śladów.

– Tutaj ranę wymyła woda, więc niewiele mogę powiedzieć, ale u Magdaleny Zachary wyłuskałem zanieczyszczenia. Z dużym prawdopodobieństwem obstawiam, że to rdza, więc być może sprawca posłużył się czymś mniej sterylnym niż laser.

Małecki spróbował jeszcze raz wyobrazić sobie sprzęt, którym wypalono litery, ale nic nie przychodziło mu do głowy. Lubił fakty. Ich łączenie w logiczny ciąg nie sprawiało mu problemów. Natomiast, gdy w grę wchodziły bajdurzenia i domysły, tracił cierpliwość.

– Byłbym zapomniał... – Patolog wyszedł z prosektorium na zaplecze, gdzie znajdowało się jego biuro. Przez chwilę zza drzwi dobiegały odgłosy szurania, a potem otwierania i zamykania szuflad. Gdy mężczyzna w końcu wrócił, trzymał w ręku torebkę strunową, którą podał komisarzowi. – Denatka miała na stopach skarpetki. Do jednej z nich było wsunięte to.

Ryszard obracał torebkę, oglądając ze wszystkich stron srebrną zapalniczkę. W końcu odłożył ją na stół.

– Co to ma znaczyć? – Podniósł wzrok na patologa.

– Nie mam pojęcia, ale sprawdziłem, skąd pochodzi ten cytat. To Księga Przysłów, znaczy Biblia.

Komisarz przewrócił oczami, zdeglustowany faktem, że mężczyzna wyjaśnił mu, czym jest Księga Przysłów. Milczeli długą chwilę, aż patolog przerwał ciężącą nad nimi ciszę.

– To co, panie komisarzu? Mamy swojego pierwszego seryjnego? – Mężczyzna znowu przybrał towarzyski ton, który sprawił, że policjant się spiął.

Był pewien, że ludzie zaczną gadać. Dzisiaj na nabrzeżu gapiów było prawie tyłu, ilu przy osadzie, gdy znaleźli Magdę. Małecki już słyszał plotki, które krążyły po wsi. Musiał zrobić wszystko, żeby zdusić je w zarodku. A to oznaczało, że czekało go kilka poważnych rozmów.



Zwołał naradę w największym pomieszczeniu, którym dysponował, ale gdy pojawili się wszyscy funkcjonariusze, w salce i tak zapanował ścisk i zaduch. Małecki skrzyżował ramiona na piersiach i odwrócił się do białej tablicy, do której przypiął zdjęcia ofiar.

Policjanci wpatrywali się w koślawe strzałki odchodzące od każdej fotografii i prowadzące do informacji na temat dziewczyn, czekając aż szef rozpocznie spotkanie.

Komisarz zastanawiał się, czy dać im możliwość wyciągania własnych wniosków, czy od razu przywalić z grubej rury. Patolog miał rację. Punktów stycznych było tak wiele, że Małecki musiał coraz poważniej brać pod uwagę działania seryjnego.

Zanim zdążył wypowiedzieć kilka gładkich zdań, które nie leżały w jego charakterze, odezwał się Piotr Kurpiel.

– Dlaczego umieścił pan tam ten cytat, szefie?

Małecki spojrział na napisane naprędce słowa: „Przemyślny widzi zło i kryje się, naiwni idą dalej i karę ponoszą”.

– Przy Paulinie Chryc znaleziono zapalniczkę, na której jest wygrawerowany taki napis. Pochodzi z Księgi Przysłów. – Powiódł wzrokiem po twarzach podwładnych, które nie wyrażały żadnych uczuć. – To Biblia, gdyby któryś z was, barany, potrzebował doedukowania w tym temacie.

Czekał na jakąkolwiek reakcję, ale zebrani w pokoju tylko pokiwali głowami.

– To zabójstwo jest więc karą? – Aspirant Zdrojewska zmarszczyła brwi. – Mamy szukać kogoś, komu Paulina Chryc wyrządziła jakąś szkodę?

– Nie mam pojęcia, Zdrojewska, ale możesz zająć się tym wątkiem. Nowak ci pomoże. – Małecki ucieszył się, że w końcu ktoś wykazał inicjatywę. – A musimy wziąć pod uwagę, że ta zapalniczka była jej własnością, i to fałszywy trop. Sprawdźcie przy okazji, czy była religijna.

– Szefie, wydaje mi się, że to może być jednak strzał w dziesiątkę. – Piotr Kurpiel wyglądał, jakby miał zapaść się pod ziemię. Małecki przyjrzał mu się uważnie, dostrzegając, że podwładny poluzował kołnierzyk policyjnej bluzy.

– O co chodzi Kurpiel? Czy z ciebie zawsze trzeba wyciągać informacje jak z psiej dupy kleszcza?

– Chodzi o to, że... – Na chłopaku spoczęły teraz spojrzenia wszystkich funkcjonariuszy, co sprawiło, że zaczął się jąkać. – No bo... ja...

– Jezusie słodki, Kurpiel! Kiedy wydaje się, że doprowadziłeś mnie na skraj cierpliwości, ty nadwyreżasz ją z jeszcze większą mocą! Gadajże wreszcie!

– Taką zapalniczkę znalazłem w szafce Zachary w hotelu, gdzie pracowała. – Piotr odetchnął głęboko, gdy w końcu wyrzucił z siebie informację.

– I dopiero teraz się tym z nami dzielisz? – Twarz komisarza była teraz wściekle czerwona. Najwyraźniej odezwało się jego nadciśnienie. Będzie musiał udać się do przychodni i poprosić lekarkę, aby ponownie dobrała mu prawidłową dawkę leków, bo czekały go ciężkie tygodnie.

– Myślałem, że to zwykły gadżet. – Piotr zerknął na Zdrojewską, a Małeckiemu nie umknął jej pełen satysfakcji uśmiech. – Ale napis był inny...

– Zdołałeś go zapamiętać? – Zdrojewska nawet nie kryła nuty sarkazmu, jaka pojawiła się w tym pytaniu.

Małecki rzucił jej ostre spojrzenie. Nie pora była teraz, żeby bawić się w przepychanki.

– Chyba coś o kłamstwie... – Piotr podrapał się po czole.

– Dobra. Zdrojewska, ustalisz ewentualnych wrogów Pauliny Chryc i Magdy Zachary. Ty, Kurpiel, razem z Piątkowskim jedźcie do hotelu i przywieźcie tę zapalniczkę, a potem sprawdźcie, gdzie napisy zostały wygrawerowane. Chcę mieć dane każdego zakładu, w promieniu stu kilometrów. Szukajcie do skutku...

Komisarz porozdzielał zadania, a gdy został sam, jeszcze raz zapatrzył się na umieszczony na tablicy napis. Słowa Zdrojewskiej sprawiły, że poczuł się nieswojo. Jeżeli te zabójstwa były rodzajem kary, nie pozostawało mu nic innego, jak ściągnąć na komendę córkę Hilderbrandtów.



Dobrochna wcisnęła plecy w oparcie krzesła, obciągając rękawy długiego swetra. W pokoju było lodowato, ale nie to sprawiło, że próbowała ukryć się za rozciągniętym ubraniem.

Komisarz Małecki obserwował ją uważnie bez słowa, a dziewczyna czuła się coraz mniej pewnie. Oceniał ją. Jej skomplikowane tatuaże wykonane henną tego poranka. Długie włosy, których nie zdążyła zapleść w porządną warkocz. Dziwne oczy, odziedziczone po ojcu.

Dobrze wiedziała, dlaczego ją tutaj przywiózł. Nie musiał mówić tego na głos.

– Wybacz, że tak wietrzę, ale byłem dzisiaj w kostnicy. Wiesz, że znaleziono ciało Pauliny Chryc?

Wzdrygnęła się na tę wiadomość, a jej serce przyspieszyło. Nie miała o tym pojęcia. Rankiem wyszła na pastwiska wykopać korzenie żywokostu i wrotyczu, a potem przemierzyła szlak na Trzy Korony, aby uzupełnić zapasy pędów świerku. Chciała zrobić z nich syrop przeciwkaszlowy. Ze wszystkich mikstur, które nauczyła ją sporządzać matka, właśnie to lekarstwo najlepiej sprzedawało się od jesieni aż do wiosny, a jej już kończyły się zapasy.

– Wiesz coś na ten temat? – To nie było pytanie. Małecki zaciskał szczękę tak mocno, że drżał mu mięsień na policzku.

Nienawidziła tego mężczyzny. Ta nienawiść kumulowała się w niej przez ostatnie lata. Rosła i pęczniała, gotowa wybuchnąć w każdej chwili. Wiedziała, co gadali o niej ludzie. Niejeden z tych, którzy przychodzili do niej po zioła, nazywał ją za plecami wiedźmą. Wierzyli, że potrafiła rzucać klątwy. Bali się jej i instynktownie trzymali od niej z daleka. Nie miała nic przeciwko temu. Lubiła samotność, śmiała się z ich przesądów i głupich oskarżeń. Ale na Małeckiego chciałaby rzucić klątwę. Wypowiedzieć słowa, które sprawiłyby, że będzie cierpieł. Umierał długo i boleśnie. Mimo to powstrzymywała się. Jeżeli istniała jakaś sprawiedliwość, komisarz tak czy inaczej zapłaci za to, co zrobił...

– Wiesz, co się stanie z Jankiem, gdy ciebie zabraknie? – Krzesło zaszurało o podłogę, gdy policjant przysunął się do niej, aby poczuła się jeszcze bardziej przytłoczona. Poruszyła się niespokojnie, gdy zaczęło brakować jej powietrza w płucach. – Straciecie ze sobą kontakt. Za parę lat zupełnie zapomni o tym, że w ogóle istniałaś... Wspomnij te lata, gdy tułaliście się po domach dziecka. Radził sobie gorzej niż ty, prawda? Jego dziwne zachowanie ciągle wpędzało go w kłopoty...

Serce waliło jej teraz tak bardzo, że bolały ją żebra. Policjant doskonale wiedział, że miała tylko Janka. Pamiętał, jak walczyła o prawo do opieki w sądzie,

gdy tylko skończyła osiemnaście lat. Zrobiłaby wszystko, żeby zostali razem, chociaż miała na to niewielkie szanse. To wtedy zawarła z nim pakt, żeby pomógł jej zostać opiekunką prawną brata. A teraz Małecki wykorzystywał ten fakt, żeby ją zastraszyć.

– Ale nie to będzie najgorsze... Byłaś kiedyś w zakładzie psychiatrycznym? Tym miejscu z koszmarów? – Czekał przez moment na jej odpowiedź, lecz gdy nadal milczała, podjął swój wywód. – Nie? Ale pewnie widziałaś jakiś film. Pamiętasz zamkniętych tam ludzi? Ich krzyki? Leki, którymi otumaniają ich tak, że nie są w stanie podnieść nawet ręki? To właśnie tam trafi Janek, gdy tobie coś się stanie.

Dobrochna z trudem powstrzymywała się przed zerwaniem z krzesła. Czowała, że jeżeli pozostanie w tym pokoju jeszcze choć trochę dłużej, zacznie krzyczeć i nie będzie potrafiła przestać. Lodowaty strach oplatał ją swoimi mackami. Zaciskał się na jej gardle. Wiązał żołądek w supeł. Zabierał słowa, które powinna wypowiedzieć. Odnieść się jakoś do jego zawołanych oskarżeń. Mimo to coraz bardziej przyciskała plecy do oparcia krzesła, ze świadomością, że to on miał władzę. Nie mogła nic zrobić, żeby się przed nim obronić. Jeżeli będzie chciał, zniszczy ją i Janka...

– Więc?

– Nic jej nie zrobiłam... – Ledwo usłyszała swój szept, więc powtórzyła głośniejsze.
– Nic jej nie zrobiłam.

– Mam w to uwierzyć? – Twarz Małeckiego zrobiła się czerwona ze złości. – Oboje dobrze wiemy, że miałaś powód. Ostrzegałem cię wtedy, a jednak nie posłuchałaś.

– Nieprawda. – Wyprostowała się, z nadzieją, że poczuje się silniejsza. – Nigdy nie złamałam danej panu obietnicy.

– To dlaczego Magda Zachara i Paulina Chryc nie żyją? Myślisz, że jestem głupi?

– Nie... – Naprawdę tak nie myślała. Był złym człowiekiem, ale na pewno nie głupim. Za dobrze udało mu się nad wszystkim panować. Rozstawiał ich wszystkich jak pionki na szachownicy. Jeden ruch po drugim, a teraz najwyraźniej planował dokończyć rozpoczętą wiele lat temu partię.

– Nie jestem twoim jedynym problemem. Jeżeli inni domyślą się, że maczałaś w tym palce, nie będziesz tu dłużej bezpieczna.

Miał rację. Może więc powinna zrobić to, co należało uczynić już wiele lat temu? Spalić starą chałupę i opuścić to miejsce? Chronić siebie i brata, póki jeszcze mogła zapewnić mu bezpieczeństwo?

Pomyślała o luźnej klepce w kuchennej podłodze. O kopercie, którą zostawił tam jej ojciec, gdy widziała go po raz ostatni.

Wielokrotnie trzymała ją w rękach, zastanawiając się, co jest w środku. Mimo zżerającej ją ciekawości zwalczyła pokusę i zastosowała się do jego woli. Koperta nadal pozostawała zamknięta.

Jednak teraz poczuła, że w końcu zbliżał się moment, aby rozedrzeć papier i wypełnić obietnicę złożoną ojcu dawno temu...

Rozdział 11



Igor sięgnął do kieszeni po paczkę papierosów. Uważał, że ma silną wolę. Potrafił dotrzymać słowa danego sobie i innym, doprowadzał sprawy do końca. Po prostu sądził, że tak było uczciwie. Jednak gdy stał przed nowotarskim budynkiem, w którym mieścił się sąd, nie był w stanie się opanować. Musiał zająć czymś drżące dłonie. Poczuć w płucach truciznę, która odwróci jego uwagę od faktu, że ponownie przekraczał progi tych instytucji.

Wspomnienia napływały jedno po drugim. Słyszał syreny radiowozów wdzierających się pomiędzy huk płomieni. Trzask łamanego drewna, gdy strażacy torowali sobie drogę, aby dostać się do budynku. Ból, gdy dotykali jego poparzonego ciała. I zapach palonych włosów. Włosów, którymi lubił się bawić, gdy kładła się obok niego na łóżku.

Na samą myśl o tamtej nocy skóra na jego plecach zamrowiała, jakby blizny przesuwaly się po niej, przypominając, że był winny śmierci Kamili.

Niechętnie pomyślał o całym sztabie techników, którzy zbierali ślady w starej osadzie. W jakim czasie byli w stanie ustalić, do kogo należały odciski palców pozostawione w tym miejscu? Minęło już kilka dni, a tamten policjant się nie odezwał. Schutt miał nadzieję, że jednak niczego nie udało im się znaleźć.

W końcu zdeptał wypalonego do połowy papierosa i ruszył szerokimi schodami do wejścia. Pomarańczowy budynek stanowił dziwne połączenie architektury z lat pięćdziesiątych z nowoczesnymi przeszkleniami znajdującymi się po obu stronach wejścia. Gdy zbliżał się do drzwi, jego sylwetka wykrzywiła się w szybach ciągnących się aż po sam dach.

Skierował się do pokoi zajmowanych przez zespół kuratorski, a korytarz zdawał się zwężać z każdym krokiem. Ściany napierały na niego z obu stron,

a metalowe obręcze kajdanek znowu zdawały się zaciskać na przegubach dłoni. Gdzieś w głębi budynku trzasnęły drzwi. Za tymi, które minął, rozległ się głośny śmiech. W powietrzu unosił się aromat świeżo zaparzonej kawy.

Tamtego dnia towarzyszył mu zapach spalenizny i maści, którą sanitariusze posmarowali mu skórę. Wymiocin zaschniętych na jego ubraniach i moczu, gdy nie zdołał go powstrzymać, odurzony działaniem narkotyków. Zdawało mu się, że został wrzucony do piekła, tymczasem dzisiaj wszystko wyglądało tak normalnie...

– Dzień dobry.

– Nazwisko? – Kobieta, która prawdopodobnie była jego kuratorką, rzuciła mu poirytowane spojrzenie.

Igor zwrócił uwagę na jej kwiecistą bluzkę i pomalowane ostrą czerwienią usta. Odniósł wrażenie, że urzędniczka nałożyła maskę, jakby chciała sobie wmówić, że przez cały dzień będzie miała styczność z porządnymi ludźmi, a nie takimi facetami jak on.

– Schutt. Igor Schutt.

– Nie spieszyło się panu... – mruknęła i odwróciła się, aby otworzyć głęboką szufladę, do której przyczepiono tabliczkę z literą „S”. – Pan tam usiądzie, to chwilę potrwa.

Schutt cofnął się na krzesło obite brudnym materiałem i oparł głowę o ścianę. Pokój, w którym urzędowała kobieta, był przygnębiający. Prawdopodobnie nie remontowano go od czasów, gdy ktoś postanowił, że powinien znajdować się tutaj sąd. Nawet radio, które grało cicho na parapecie, mogłoby zostać eksponatem muzealnym. Pożółkłe firanki w oknach świadczyły o tym, że kobieta wypaliła w pracy niejedną paczkę papierosów. Zresztą zapach dymu przylgnał do każdego zgromadzonego tu przez lata przedmiotu.

– No dobrze... Zapoznałam się z aktami i muszę przyznać, że jest dla pana nadzieja. – Zaplotła ramiona na piersiach i spojrzała na niego uważnie. – Co prawda wolałabym, żeby te powieści traktowały o przyjemniejszych sprawach, ale być może pobyt nad naszym pięknym zalewem wyleczy pana z ponurych myśli.

Spojrzał na nią z powątpiewaniem, nadal mając w pamięci kołyszące się na falach ciało martwej dziewczyny. Minie sporo czasu, zanim ponownie zdecyduje się na kąpiel w jeziorze.

– Nie będę pana zanudzać pouczeniami, bo i tak dostanie pan wszystko na piśmie, jednak prosiłabym, żeby w najbliższym czasie zgłosił się pan do AA Podhale. Robią świetną robotę, a panu z pewnością przyda się wsparcie.

Schutt czuł do niej coraz większą sympatię. Nie owijała w bawełnę i nie bawiła się z nim w kotka i myszkę. Wywaliała na stół, co leżało jej na sercu, a to dawało nadzieję, że się dogadają.

– W następnym tygodniu zamierzam wysłać sprawozdanie do sądu...

– Pani Basiu! – Drzwi otworzyły się gwałtownie, przerywając kuratorce wywód.

– Potrzebuję pilnie akta sprawy Hilderbrandtów.

Igor odwrócił gwałtownie głowę, odczuwając szarpnięcie aż w barku. Niezaleczony uraz, którego nabawił się w pierwszym roku odsiadki, miał mu doskwierać już do końca życia. Powinien załatwić sobie jakąś rehabilitację, która choć trochę usprawniłaby rękę. Być może wtedy dłoń nie drętwiałaby mu tak bardzo, ale konsekwentnie odmawiał sobie rzeczy, które sprawiłyby, że poczuje się lepiej.

Komisarz Małecki podszedł do biurka Barbary Nowak, nie zwracając na niego uwagi. Choć wydawało się to niemożliwe, z jego nadejściem pokój jeszcze bardziej wypełnił się słodkim zapachem tytoniu.

– Sprawiają pani jakieś kłopoty? Dobrochna dobrze wywiązuje się ze swoich obowiązków? Może Janek znowu coś narozrabiał?

Igora zalała fala gorąca. Facet ewidentnie szukał dziury w całym.

– Jak tylko skończę z panem Schuttem, znajdę panu te akta, obiecuję. – Kuratorka wskazała na Igora.

Schutt zacisnął szczęki, obserwując, jak Małecki zastygł bez ruchu, a następnie obrócił się do niego powoli.

– Witam. – Podniósł się z miejsca i uśmiechnął uprzejmie. Nie mógł reagować nerwowo, mimo że stary komisarz przywodził mu na myśl strażników więziennych podkładających fanty więźniom, których chcieli ukarać.

– Dzień dobry. – Policjant spojrzał przez ramię na kuratorkę. – W takim razie przyjdę później.

Zanim zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, wyszedł, trzaskając drzwiami.



Dobrochna nie czuła się dobrze otoczona przez miejskie mury, jednak teraz czerpała pociechę z ciepła skumulowanego przez ścianę sądu, o którą się opierała. Dźwięki samochodów przejeżdżających przez wąskie ulice drażniły jej uszy. Nie miała pojęcia, jak ludzie byli w stanie wytrzymać bez świergotu ptaków wpadającego przez otwarte okna. Jakim cudem nie drażnił ich smród spalin.

Przymknęła powieki, zastanawiając się, co powinna zrobić. Była pewna, że Małecki nie przywiózł jej do sądu bez powodu. Mógł porozmawiać z nią w Czorsztynie albo na posterunku w Szczawnicy, jednak wybrał miejsce, które miało przypomnieć jej tamten czas. Zdarzenia, które należały do przeszłości. To było ostrzeżenie, że poświęci ją, jeżeli zajdzie taka potrzeba. Już raz udowodnił, że nie zawaha się przed niczym, żeby osiągnąć cel.

Wbrew sobie poczuła smutek. Tamte dziewczyny nie zasłużyły na to, co je spotkało.

Może więc naprawdę powinna stąd uciec?

Nagle ogarnęła ją złość. Przytłoczyła ją tak bardzo, że po jej rozgrzanych słońcem policzkach popłynęły łzy bezsilności. Dlaczego? Dlaczego miała ulegać temu człowiekowi? Dlaczego jej życie znowu stawało na głowie przez komisarza Małeckiego?

Kiedyś wszystko wyglądało zupełnie inaczej. Czasami miewała przebłyski dotyczące tamtych dni. Gdy ojciec unosił ją w górę, a jej sukienka furkotała na wietrze. Pamiętała twarz matki śmiejącej się, gdy jej córka rozkładała ręce, lecąc tak wysoko, że miała wrażenie, że dotknie chmur. Chodzili co niedzielę do kościoła, a gdy kończyła się msza, ojciec sadzał ją sobie na plecy i szli niebieskim szlakiem, aż do Sokolicy albo dalej, na Trzy Korony. Byli szczęśliwi, a potem przyszedł ten dzień...

Dawniej...

Dobrochna ścisnęła dłoń ojca, gdy ciągnął ją w stronę rozkopanej ziemi. Ludzie klęczący wśród rozrzuconych kości unosili głowy i machali do niej przyjaźnie. To były miejscowe dzieciaki, starsze od niej o kilka lat. Każdy mógł zatrudnić się przy

wykopaliskach i najwyraźniej wszyscy właśnie tak chcieli spędzić to lato. Przyjeżdżali tutaj z Kluszkowców i Czorsztyna na pakach ciężarówek dowożących żwir na budowę zapory albo przychodzili na własnych nogach, a potem wiele godzin przerzucali hały ziemi.

Często dzielili się z nią kisiem ugotowanym na prowizorycznych kuchenkach turystycznych, które rozkładali na obrzeżach wykopalisk. Przysłuchiwała się, jak żartowali i śmiali się na całe gardło, gdy ona zanurzała usta w słodkiej mazi. W ogóle nie przejmowali się wydobytymi z ziemi szczątkami. Stosy poukładanych jedna na drugiej czaszek nie robiły na nich żadnego wrażenia. Tak jakby nie rozumieli, że kiedyś oblekały je mięśnie i skóra.

Ojciec minął miejsce, gdzie trwały główne prace i gdzie ułożono najwięcej kości, kierując się na obrzeża wsi. Teren, na którym odkryto nowe szczątki, był mniejszy, ale kości potraktowano z jednakowym pietyzmem. Bieleły się w słońcu i tylko ciemne otwory oczodołów stanowiły ciemniejsze plamy.

– Co się z nimi stanie? – zapytała, próbując zrozumieć jego fascynację.

– Zostaną przewiezione do Krakowa. Uniwersytet będzie prowadził tam dalsze badania.

Powietrze tego dnia pachniało niesionym przez wiatr pyłem mieszającym się z zapachem świeżo skoszonego zboża. Z daleka dobiegały krzyki robotników pracujących na zaporze, zagłuszane przez dźwięk przesypywanego żwiru. Ciężki sprzęt pracował bez ustanku, jednak miejsce, w którym stali, wydawało się odcięte od otaczającego je zgiełku. W uszach szumiały jej szepty zmarłych. To miejsce było święte. Nie powinni naruszać jego spokoju...

– Chodź. – Pociągnął ją w stronę drogi prowadzącej do Czorsztyna. – Musimy iść.

– Czy oni czują, że wyciągamy ich z ziemi? – Jej pytanie sprawiło, że ojciec wzdrygnął się gwałtownie.

– Musimy iść. – To była jego jedyna odpowiedź. Przez całą drogę do domu już tylko mamrotał rzeczy, których nie rozumiała.

Zanim na dobre opuścili teren wykopalisk, dogonił ich Bogdan Magiera.

– Piotr, poczekaj!

Ojciec zatrzymał się niechętnie, jednak nie odwrócił do mężczyzny.

– Co ty sobie wyobrażasz? Tak się nie godzi! – Magiera zagroził im drogę. – Myślisz, że możesz sam decydować o wszystkich sprawach?!

– Nie będę o tym z tobą rozmawiał. – Mimo że ojciec się wyprostował, jego głos zdrzął od tłumionych emocji.

– Jezu Chryste! – Dobrochna nie mogła oprzeć się wrażeniu, że zażyłość, która łączyła kiedyś mężczyzn, należała już do przeszłości. – To tylko sterta kości! Co z tobą?

– Kości, które trzeba wysłać na uniwersytet. Ktoś musi ustalić ich wiek, chociaż na pierwszy rzut oka mogę powiedzieć, że nie są tak stare, jak mogłoby się wydawać. – Magiera zatrzymał się i patrzył długo na ojca spod zmrużonych powiek. Mimo to Piotr dodał: – Chcę wiedzieć, dlaczego zostali pochowani za murami cmentarza.

– To tylko wstrzyma budowę. I tak już mamy opóźnienia, a ty chcesz się grzebać w sprawach, które nie mają teraz żadnego znaczenia.

– Dla mnie mają. – Teraz ojciec brzmiał na zdeterminowanego. Jego palce zacisnęły się na ramieniu przyjaciela, gdy próbował przekonać go do swoich racji.

– Posłuchaj... – Głos Magiery złagodniał, jakby tłumaczył coś wyjątkowo upartemu dziecku. – Przenieśmy je, tak jak pozostałe szczątki i pochowajmy na nowym cmentarzu. Zamknijmy tę sprawę i miejmy spokój.

– Nie. – Ojciec zacisnął dłonie w pięści, aż pobielały mu knykcie palców. – Tak nie godzi się postępować.

Przesunął zaszklonym wzrokiem po ławkach ciągnących się wzdłuż drogi, ale w końcu skupił spojrzenie na mężczyźnie.

– Czy Małecki przysłał już kogoś w tej sprawie?

Magiera nie odpowiedział, zaciskając usta w cienką linię. W końcu odwrócił się do nich plecami i ruszył z powrotem na wykopaliska.

– Nie pozostawiasz mi wyboru. – Spojrzał przez ramię na Dobrochnę, a potem znowu na ojca. – Zastanów się, co naprawdę się liczy. Masz rodzinę. Nie chcesz wpędzić jej w kłopoty...

Nie minęło wiele czasu od tej rozmowy, gdy ojciec stracił pracę. Został wyrzucony z wykopalisk, a Dobrochna nie miała pojęcia dlaczego. Od tego dnia już nic nie było takie samo.

Zacisnęła pięści i uderzyła nimi w ścianę. Miała nadzieję, że w ten sposób pozbędzie się chociaż trochę męczącej jej w głowie nienawiści.

– Wszystko w porządku? – Na jej twarz padł cień.

Znała ten chrapliwy głos, tylko tym razem zamiast złości pobrzmiewała w nim troska. Szybko otworzyła oczy i otarła łzy. Schutt wpatrywał się w nią, przymykając powieki.

Oderwała się od ściany, próbując go wyminąć, jednak złapał ją za ramię.

– Możemy porozmawiać?

Zacisnęła usta. Była pewna, że gdyby zaczęła mówić, zdradziłaby zbyt wiele.

– Widziałem, jak wychodziłaś od Małeckiego. Czy on ci coś zrobił?

Strząsnęła z ramienia dłoń Igora i ruszyła przed siebie. Starła się od niego uciec, jednak stawiał dłuższe kroki i nie miała na to szans.

– Poczekaj! Chcę ci pomóc!

Zatrzymała się gwałtownie i odwróciła do niego. Dyszała od powstrzymywanych emocji, a wiatr rozwiewał jej włosy jak tamtej nocy. Czego on chciał?

Rozdział 12



Igorowi w końcu udało się przykuć jej uwagę. Słowa zatrzymały ją w miejscu. Piersi Dobrochny unosiły się, gdy gwałtownie oddychała. Zauważył, że zaciskała i rozprostowywała palce.

– Nie mam pojęcia, czego chciał od ciebie ten policjant, ale wiem, że źle cię potraktował – kontynuował swój wywód, bo tak podpowiadał mu instynkt. – Wiem, że nie lubisz ludzi. Zdaję sobie sprawę, że jest ci ciężko, ale mogę być twoim przyjacielem...

Ta deklaracja była błędem, bo dziewczyna ponownie ruszyła w stronę ruchliwej drogi. Najwyraźniej nie szukała przyjaciół. Pod tym względem byli do siebie podobni. Jednak Schutt nie sądził, aby los zetknął ich ze sobą przypadkowo.

Oboje stracili bliskich w pożarze. Z tym że ona była wtedy praktycznie dzieckiem. W przeciwieństwie do niego, była niewinna, a teraz miała najwyraźniej kłopoty. Może gdyby zdołał jej pomóc, dałby radę przespać spokojnie choć jedną noc...

Dogonił ją, gdy stanęła przy krawędzi jezdni, a pęd przejeżdżających samochodów rozwiał jej białe włosy. Kilka metrów od niej ustawiono tablicę informującą kierowców o trasie, którą podążali. Od Czorsztyna dzieliło ich dwadzieścia osiem kilometrów.

– Pozwól przynajmniej, że odwiozę cię do domu. – Kiedy nie zareagowała, zagrał kartą, która powinna na nią wpłynąć. – Powrót zajmie ci mnóstwo czasu. Masz pewność, że Janek nie wpakuje się wtedy w kłopoty?

Nie odwróciła się do niego, ale zauważył, jak jej szyja poruszyła się, gdy przełknęła ślinę. Zasiał w jej głowie ziarno niepewności. Stąpił trochę upór, którym

się kierowała. Nawet jeżeli miała ponieść wielkie koszty, radziła sobie sama, jednak nie poświęciłaby Janka.

W końcu spojrzała mu w oczy i skinęła głową.

Wnętrze samochodu nagrzało się w popołudniowym słońcu. Igor zauważył, że Dobrochna rozluźniła się pod wpływem ciepła, więc podkreślił dodatkowo ogrzewanie. Chciał, żeby się zrelaksowała. Być może wtedy w końcu udałoby mu się namówić ją do rozmowy.

Spokojna muzyka i szum klimatyzacji wypełniały ciszę między nimi. Pogoda powoli się zmieniała. Na niebie kłębiły się coraz cięższe chmury, za którymi chowało się słońce. Drogę z Nowego Targu do Czorsztyna można było pokonać w niecałe pół godziny, jednak na trasie utworzył się korek, dając mu czas na zebranie myśli. Czas mijał nieubłaganie, a on nadal nie wiedział, jak sprawić, żeby się przed nim otworzyła. Dopiero gdy mijali półwysep Stylchyn, doszedł do wniosku, że nie będzie owijać w bawełnę.

– Przykro mi z powodu twoich rodziców.

Nawet nie drgnęła. Wpatrywała się w pierwsze krople deszczu spływające po szybie, odwracając twarz od osady, która wyłaniała się przed nimi. Zastanawiał się, co czuła, żyjąc tak blisko tego miejsca. On nie miał w sobie nawet tyle odwagi, żeby odwiedzić grób Kamili, chociaż często wyobrażał sobie to miejsce. Prosty nagrobek, który pasowałby do niej najlepiej. Nie miał pojęcia, jaką płytę wybrali jej bliscy. Nie ośmieliłby się czegokolwiek zasugerować. Nie po ostatnim spotkaniu, gdy widział zacięty wyraz twarzy jej matki, wpatrującej się w niego podczas odczytywania wyroku.

– Czy ktoś ci pomógł po tym wszystkim? – Jej milczenie sprawiało, że narastała w nim frustracja. – Twój brat... co się stało z jego dłonią?

Odwróciła wzrok od szyby, którą zalewały teraz strumienie wody. Jej bladoniebieskie tęczęwki zdawały się rozpływać na obrzeżach, zupełnie jakby miała skazę podobną do tej, którą Schutt miał od urodzenia. Tylko jego wada była w jakiś sposób regularna. A jej tęczęwki były tak jasne, że miał trudności ze znalezieniem granic pomiędzy strukturami oka. A teraz nie spuszczała z niego wzroku. Jakby próbowała ocenić, czy był dla niej zagrożeniem.

– Przepraszam... nie chciałem być wścibski. Po prostu pomyślałem, że być może takie przykurcze da się wyleczyć.

– Nie potrzebujemy niczyjej troski.

Igor od razu wychwycił w jej głosie tę samą śpiewną nutę, która charakteryzowała sposób mówienia Janka.

– Rozumiem. Ale czasami warto mieć kogoś... sam nie wiem... kto wyciągnie pomocną dłoń?

– Zatrzymaj się! – Tym razem zabrzmiała ostro.

Niechętnie wykonał jej polecenie, a gdy tylko koła samochodu zaszurały po poboczu, Dobrochna skorzystała z okazji i wyskoczyła na drogę.

– Zostaw nas w spokoju. Nic ci do naszych spraw...



Komisarz Małecki uderzył w stół i huk poniósł się po starej świetlicy, w której ich zebrał. Powietrze zdawało się wibrować od napięcia, a on zaczął myśleć, że popełnił błąd.

Po południu obmyślił plan. Rozważył wszystkie za i przeciw i doszedł do wniosku, że nie miał innego wyjścia. Ale co, jeżeli się mylił? Nawet jeżeli był w błędzie, czuł się w obowiązku, aby ich ostrzec.

– Trzeba się nią zająć! – Bogdan Magiera oparł się o odrapany stół, a jego dłonie zostawiły ślad w grubej warstwie kurzu. Długa broda mężczyzny była skołtuniona i Małecki pomyślał, że przydałaby mu się kobieca ręka.

Magiera od dawna był sam. Żona zostawiła go i wyniosła się do Krościenka, zabierając ze sobą dzieci, gdy Bogdan zaczął tłuc ją do nieprzytomności. Małecki nie potrafił zliczyć, ile razy zatrzymywał go na dobę, aby wytrzeźwiał i oprzytomniał. A teraz Magiera żył sam, zżerany przez dawne żale i samotność. Być może właśnie jemu przeszłość dawała się we znaki najbardziej. Kiedyś miał przed sobą świetlaną przyszłość. Ludzie się z nim liczyli. Polegali na jego błyskotliwości. A teraz pozostały mu jedynie dawne artykuły naukowe, o których pamiętali tylko nieliczni.

Jednak po salce rozszedł się pomruk wyrażający aprobatę dla jego słów.

– Zrobiliśmy tak, jak mówiłeś, ale najwyraźniej nie miałeś racji. – Marian Zachara poparł swojego sąsiada. On także zmienił się, od kiedy widzieli się po raz

ostatni. Żałoba odcisnęła na nim swoje piętno, a żądza zemsty zżerała go niczym kwas.

Małecki obrzucił wzrokiem przygarbioną sylwetkę mężczyzny. Czas robił swoje, a oni wszyscy postarzelisi zbyt szybko. Nie mieli już w rękach tyle siły, co kiedyś. Kto inny rządził już tą okolicą. Młodsze pokolenie miało swoje pomysły, jak utrzymać w ryzach kłębiące się wokół jeziora demony. Być może tylko Małecki miał jeszcze coś do powiedzenia w bieżących sprawach.

– Powstrzymam ją – odpowiedział twardo. – Już nikt więcej tutaj nie zginie.

– Jak chcesz to zrobić? Jak ją posadzisz, zaczniesz gadać! – Magiera roześmiał się gorzko. – Od razu mówiłem, żeby załatwić tę sprawę do końca. Trzeba było wypełnić to diabelskie nasienie, kiedy był na to czas.

Komisarz nie dziwił się, że stracili do niego zaufanie. Obiecował im, że wszystkim się zajmie, tymczasem kilkanaście lat później przeszłość zdawała się chwytać ich za gardła.

– Są inne sposoby – warknął, mając nadzieję, że jego autorytet wciąż na nich działa.

Mężczyźni spojrzeli w okno, gdy deszcz zabębnił o szyby. Budynek był tak stary, że wiatr świszczwał przeciskając się do środka przez szczeliny w drewnie. Kolejne błyskawice rozświetlały tafle zalewu. Trzciny kładły się na wzburzonej wodzie, kłaniając się krążącym w powietrzu duchom. Małecki zauważył, że niektórzy z zebranych przeżegnali się ze strachem. Komisarz nie był przesądny, ale w tej chwili odnosił wrażenie, że nie tylko oni zgromadzili się w salce.

Jezioro domagało się zapłaty dla wyrównania starych rachunków. Być może dwie ofiary mu nie wystarczyły. Bogiem a prawdą, rozumiał tę logikę. Wydawać by się mogło, że szala już się wyrównała. Dwie dziewczyny w nowotarskiej kostnicy w zamian za dwa zwęglone ciała...

Ale to nie do końca była prawda. Tamte zdarzenia sprzed lat pociągnęły za sobą znacznie więcej ofiar...

– Trzeba uciszyć ją raz na zawsze! – Magiera nie chciał odpuścić, a Małecki najwyraźniej nie potrafił przemówić mu do rozsądku.

– A skąd wiesz, że to ona skrzywdziła Magdę i Paulinę? – Waldek Kobuz, który do tej pory się nie odzywał, w końcu postanowił przejąć kontrolę. Wokół niego

unosił się dym z papierosa, którym dzisiaj zastąpił fajkę. – Widziałeś ją ostatnio? To chuchro. Założę się, że nie waży więcej niż pięćdziesiąt kilogramów.

Po jego słowach zaległa cisza, którą zakłócał jedynie młócający o ściany budynku deszcz. Znad Tatr nadciągała pierwsza w tym roku burza. Ta sprzed kilku dni to była tylko zapowiedź tego, co szykowała dla nich natura. Małecki wiedział, że najwyżej za pół godziny nad jeziorem rozpęta się piekło. Pioruny będą waliły w taflę jeden za drugim, a górskie zbocza wchłoną w siebie nawet najgłośniejsze grzmoty.

Pogratulował sobie w duchu, że ściągnął Kobuza na zebranie. Waldek początkowo się opierał, ale w końcu gadanie Jadwigi wygoniło go z ciepłego wnętrza chaty.

Komisarz był pod wrażeniem dedukcji starego przyjaciela. Sam rozważał już od dwóch dni możliwość, że dziewczyna znalazła kogoś do pomocy. Dobrochna była faktycznie zbyt drobna, żeby poczynić takie spustoszenie na ciałach ofiar, nie mówiąc o ich samodzielnym obezwładnieniu. To dlatego nie mogli pozbyć się jej od razu. Najpierw musiał ustalić, kto jeszcze grzebał w przeszłości. Tym razem komisarz nie popełni starych błędów. Odetnie ich od tego, co powinno pozostać w zamierzonych czasach, raz na zawsze.

Potoczył wzrokiem po sali. Czy któryś z obecnych mężczyzn poczuł wyrzuty sumienia? Komisarz zatrzymał wzrok na Mieczysławie Gończarzu. Jego matka nigdy nie korzystała z usług lekarzy. Woląca leczyć się u Marii Hilderbrandt, nawet jeżeli ta nie posiadała oficjalnych papierów, żeby pomagać ludziom. Małecki zastanawiał się, czy istniał cień szansy na to, że na łożu śmierci stara Gończarzowa kazała przysięgnąć synowi, że pomści dawne ofiary, jednak Mieczysław zdawał się równie zacięty, jak pozostali. Jego grubo ciosane rysy były ściągnięte i Małecki zwrócił uwagę, jak kilka razy uderzył dłonią w stół, podkreślając swoje poparcie dla Magiery.

Wrócił spojrzeniem do Bogdana, który rozkaszał się głośno, aby pozbyć się flegmy zalegającej mu w płucach. Magiera wydawał się cieniem mężczyzny, którym był kiedyś. Bez rodziny. Bez zajęcia. Bez dawnej pasji, z którą pochylał się nad czasami, gdy po okolicznych zamkach spacerowali ich władcy. To, co zrobili wiele lat temu, odebrało mu wszystko...

– Po prostu się pilnujcie. Od dzisiaj nie spuszczać wzroku z dzieci, a wszystko się rozwiąże – powiedział w końcu, obiecując sobie, że porozmawia z każdym

z nich na osobności. Nie potrzebował więcej dramatów, a rzucanie oskarżeń bez pokrycia w tej sytuacji było proszeniem się o nieszczęście.

Gdy zamknął salkę i szybkim krokiem skierował się do samochodu, deszcz przemoczył mu doszczętnie ubranie. Miał nadzieję, że taka pogoda utrzyma się przez najbliższe dni. To pozwoliłoby mu kontrolować sytuację.



Anna Zdrojewska lubiła swój mały gabinet, chociaż zawsze, gdy przekraczała jego próg, miała wrażenie, że każdy kąt przesiąknął obecnością zajmującego go poprzednio Ryszarda Małeckiego.

Podziwiała szefa, odkąd zaczęła pracować w kierowanym przez niego wydziale. Zdawał się trzymać wszystkich w garści, a ona często zastanawiała się, skąd brał się ten powszechny szacunek, jakim darzyli go mieszkańcy okolicznych wsi. Może działał tak na nich jego podeszły wiek? Zdrojewską miejscowi zdawali się traktować z pobłażaniem. Zbyt dobrze pamiętali czas, gdy była dzieckiem i skakała z najwyższych skał do jeziora, a ojciec karał ją za to, łojąc publicznie skórę. Być może Anna miała z tego powodu już na zawsze pozostać Anią, a nie poważaną funkcjonariuszką policji?

Teraz w gabinecie na każdej powierzchni walały się przedmioty należące do niej. Powiesiła na ścianie nawet dyplom ukończenia Akademii Policyjnej w Szczytnie. Gdy patrzyła na kawałek papieru, który napawał ją dumą, zastanawiała się, czy jej wykładowcy byliby z niej zadowoleni. Bo ona była dzisiaj na siebie wściekła. Podpadła Małeckiemu tą swoją fascynacją powieściami Schutta, i na odprawie złażał ją jak burą sukę. Niewinne pytanie dotyczące wizyty pisarza na komendzie doprowadziło Małeckiego do furii. Musiała nasłuchać się na temat swojej niekompetencji i zaległych spraw piętrzących się na jej biurku.

Jednak wydawało się jej dziwne, że szef zareagował tak gwałtownie. Przecież widziała na własne oczy, że Schutt wchodził do pokoju przesłuchań. Poczowała nawet lekkie rozczarowanie na widok autora. Pisał tak plastycznie, że w końcu zaczęła łączyć wizerunek twórcy z opisaną przez niego postacią. Bohater *Żaru* był zlepkim najgorszych przestępców, jacy przychodzili jej na myśl. Z inteligencją Nathana Leopolda, urokiem Teda Kaczyńskiego i brutalnością Jeffreya Dahmera

był prawdziwą bestią, tymczasem Schutt wydał się jej nieszkodliwy. Pomyślała nawet, że jego oczy emanowały dobrocią.

Obrzuciła niechętnym spojrzeniem protokół z sekcji zwłok Magdaleny Zachary, który doręczono godzinę temu z zakładu medycyny sądowej po tym, jak Małecki opuścił już budynek. Zabrała teczkę z sekretariatu, chociaż wiedziała, że naczelnik nie pozwoliłby jej zapoznać się z wynikami sekcji przed innymi.

Ale ona musiała się wykazać, a Piotr Kurpiel rzucił się w wir pracy i twierdził, że znalezienie zakładu, w którym grawerowano napisy na zapalniczkach, było kwestią dni.

Jeżeli więc ciało Zachary skrywało odpowiedzi, Zdrojewska chciała być pierwszą, która powiadomi o tym szefa i w ten sposób zrehabilituje się za swoją wcześniejszą niekompetencję.

Szybko przesunęła spojrzeniem po wstępnych ustaleniach dotyczących denatki i miejsca znalezienia zwłok, skupiając się na meritum sprawy.

Badanie chemiczne krwi wykonane metodą LC-MS/MS wykazało wysokie stężenie skopolaminy we krwi, jednak nie na tyle wysokie, aby doprowadzić do śmierci Magdaleny Zachary. Pozostałe substancje wykryte w ciele denatki to: hioscyamina, atropina, apoatropina oraz saponiny.

Wpisała nazwę substancji do internetowej wyszukiwarki. Skopolaminę nazywano potocznie „oddechem diabła”, podawana w małych ilościach powodowała uspokojenie, senność bądź ośpienie. W przypadku przyjęcia większej niż dozwolona dawki następowało zatrucie, które przejawiało się silną dezorientacją, halucynacjami i w konsekwencji majaczeniem.

Zdrojewska znajdowała w tym niewielkie pocieszenie, bo to oznaczało, że dziewczynę najpierw ktoś odurzył, a dopiero potem zadał jej śmiertelną ranę. Przeniosła wzrok na dalszą część artykułu. Skopolamina występowała również w pigułce gwałtu. Była prawie pewna, że to właśnie w ten sposób zamroczono Zacharę.

Z czystej ciekawości wpisała do wyszukiwarki pozostałe substancje, które wykryto w organizmie Zachary, a to doprowadziło ją do kolejnego odkrycia.

Uśmiechnęła się z satysfakcją. W końcu miała jakiś punkt zaczepienia. Mogła iść do Małeckiego i pokazać mu, że nie jest zbędna. Że kiedy chce, potrafi ustalić

kwesie przydatne do rozwiązania nawet najtrudniejszej sprawy, a to zapewne zachwieje pewnością siebie Kurpiela.

Ten gnojek od zawsze traktował kobiety przedmiotowo. Już w czasach akademii dochodziły ją słuchy, że raz czy dwa przekroczył granice, będąc sam na sam ze studentkami niższych roczników. To dodatkowo budziło jej gniew. Zachowanie Piotra, które początkowo brała za przejaw zwykłej frustracji, okazało się dużo poważniejszym problemem. Wtedy udało mu się wywinąć bez szwanku, ale teraz Zdrojewska zamierzała dopilnować, żeby grał czysto.

Rozdział 13



– Jeremiasz Podolski... – Drobny mężczyzna zbliżył się do Igora, wyciągając w jego stronę wilgotną dłoń. Schutt ujął ją bez słowa, lustrując go oceniającym wzrokiem. Nie miał pojęcia, kim był ten facet, tak jak i pozostali, których Paweł ściągnął do jego domu. Mężczyzna stojący przed nim zupełnie nie pasował do innych gości, ze swoją staroświecką muszką zawiązaną pod szyją i marynarką w angielskim stylu. – Jest pan zadowolony z obrotu spraw?

– Nie bardzo rozumiem. – Igor starał się, aby w jego głosie nie zabrzmiało zniecierpliwienie. Paweł zignorował jego prośbę i zorganizował przyjęcie dla ludzi z wydawnictwa, a teraz zostawił go na pastwę tego dziwnego mężczyzny, który nerwowo ocierał pot z czoła. Facet zapewne nie miał pojęcia, że Igor nie życzył sobie jego obecności w swoim domu.

– To warunkowe zwolnienie... proszę mnie źle nie zrozumieć, ale... – Zawahał się na moment. – Obserwuję pana, odkąd wydaliśmy *Żar*, i zastanawiam się, czy te piękne okoliczności przyrody nie wpłyną destrukcyjnie na pana twórczość.

Igor poczuł nieprzyjemny dreszcz. Facet właśnie zasugerował, że Schutt potrzebował silnego bodźca, aby znowu zasiąść przed klawiaturą komputera, podsycając tym samym jego własne obawy.

– Nie sądzę, aby to miało większe znaczenie.

– Zgodzi się pan jednak ze mną, że do tej pory napędzała pana ponura rzeczywistość? Ta przemoc i bezkompromisowość opisów. Powiedziałbym, że posługuje się pan naturalizmem równie genialnie jak Zola, jednak pan czerpał z osobistych doświadczeń. Proszę mi wierzyć, wiem, o czym mówię. Gdyby tylko zobaczył pan egzemplarze *Żaru*, które trzymam przy łóżku. Pierwszy, który przeczytałem, już właściwie do niczego się nie nadaje... – Mężczyzna roześmiał się

nieprzyjemnie, a Igor poszukał wzrokiem Pawła. Im dłużej Podolski przedstawiał swoje teorie, tym bardziej wydawał się nakręcony. Teraz gestykułował już tak intensywnie, że szampan wylewał się z kieliszka, mocząc rękaw jego eleganckiej koszuli, która nijak nie pasowała do scenerii. – Jak więc zamierza pan utrzymać ten poziom, nie mając dostępu do brutalnej rzeczywistości?

Igor wzdrygnął się, bo słowa Podolskiego przypomniały mu o egzemplarzu powieści, który znalazł zaraz po przeprowadzce do Czorsztyna. Nie miał ochoty wysłuchiwać dłużej jego teorii na swój temat. Odnosił wrażenie, że Podolski traktuje go jak maszynę, którą wystarczyło odpowiednio zaprogramować, aby przyniosła mu oczekiwane zyski. Z ulgą odnotował, że facet skrzywił się, gdy Paweł podszedł do miejsca, w którym stali, a potem wycofał się bez słowa w stronę ognia.

– Twoje ulubione. Już go chyba nie produkują. Sam nie wiem, jakim cudem udało mi się je dostać. – Paweł zwrócił się do niego, a butelki zadzwięczały, objając się jedna o drugą, gdy postawił skrzynkę z piwami na ziemi.

Igor schylił się po butelkę tylko po to, aby sprawić przyjemność Biernackiemu, chociaż nie zamierzał pić alkoholu. Gdy się obejrzał, nigdzie nie dostrzegł już Podolskiego.

– Widziałeś faceta, z którym rozmawiałem? – zwrócił się do Pawła, skupiającego się na drobnej brunetce, która przyjechała z nim do Czorsztyna. – Tego Jeremiasza Podolskiego?

– A więc dorwał cię już w swoje szpony? – Paweł roześmiał się, odchylając głowę. – Podobno o wielkości twórcy decyduje fakt, że ma swojego psychofana. Gratuluję, Jeremiasz Podolski spełnia wszystkie kryteria, aby uczynić cię wielkim pisarzem. Ale nie przejmuj się, ten dziwak jest zupełnie nieszkodliwy.

Mimo zapewnień Biernackiego Igor nadal czuł się nieswojo. Słowa Podolskiego były zbyt niepokojące, a co gorsza, podsycaly wątpliwości, które gromadziły się w zakamarkach jego umysłu. W więzieniu pisanie pochłonęło go bez reszty, ratując mu życie, jednak odkąd wyszedł na wolność, nie potrafił się przemóc i nie otworzył jeszcze nowego pliku w swoim laptopie.



Dobrochna obserwowała mężczyznę, kryjąc się w cieniu, tak jak pierwszego dnia, gdy zjawiała się u Schutta.

Niebo zasnuwały już smugi fioletu i pomarańczowe płomienie ognia stawały się widoczne z oddali. Była pewna, że widać je z drugiego brzegu jeziora, a być może nawet z zapory w Niedzicy. Chmury iskier buchały w niebo za każdym razem, gdy ktoś dorzucił do ogniska szczapę.

Stała tak już długą chwilę, nie bardzo wiedząc, dlaczego tutaj przyszła. Być może zwabił ją ogień, który tak lubiła? A może zjawiała się u Igora, bo wbrew temu, co podpowiadał jej rozum, potrzebowała, żeby ktoś jej w końcu wysłuchał?

Teraz obserwowała Pawła, którego nie widziała od wielu miesięcy. Nie potrafiła sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz był w Czorsztynie z wizytą. Nieczęsto tutaj wracał – nie miał po co... Tym bardziej zdziwiła się, gdy Kobuzowa poinformowała ją, że kupił działkę i rozpoczął budowę domu.

Znała go od zawsze.

Obserwowała, jak skakał z najwyższych skał, a jego głowa znikła w jeziorze. Wiedziała, że na plecach miał znamię w dziwnym kształcie i że przez te wszystkie lata rosnęło razem z nim. Potrafiła powiedzieć, że najbardziej lubił smak truskawkowych lodów, a na szkolnych przerwach ze wstydem przyjmował kromki chleba od kolegów, którzy nie czuli głodu. On zawsze był nienasycony. Jakby chciał najeść się na zapas, bo miał przeczucie, że następnego dnia nie napełni swojego brzucha.

Pamiętała pierwszą dziewczynę, z którą umówił się na randkę. Nadal czuła palący wstyd, który pojawił się, gdy podglądała, jak całował tamtą za stodołą, a jego dłonie wsunęły się pod krótką spódnicę. Nie mogła oderwać oczu, nawet gdy ją zauważył i uśmiechnął się kpiąco nad ramieniem dziewczyny. Wrażenie tamtej intymności ciążyło potem już zawsze nad ich przypadkowymi spotkaniami.

Teraz jakaś kobieta owinęła ramiona wokół jego pasa. To była pewnie jego partnerka. Dobrochna nie potrafiła zrozumieć, dlaczego ją wybrał. Szczupła brunetka z włosami przyciętymi do brody i charakterystyczną grzywką była zupełnie inna od jego poprzednich kobiet.

Przeniosła spojrzenie na Igora, który stał bez słowa przy ognisku. Sprawiał wrażenie, jakby zgromadzeni wokół niego ludzie go drażnili. Dostrzegła, jak

wykrzywił usta, gdy jakiś mężczyzna tłumaczył mu coś, nie przerywając nawet na chwilę. Odsunął się od niego, czego tamten nie zauważył.

– To tylko parę godzin. Jakoś to przeżyjesz. – Pochwyciła słowa Biernackiego, gdy przyklejona do niego brunetka w końcu odeszła do grupki wrzucającej do jeziora coraz większe kamienie. Być może nie wiedzieli, że nie należało mącić wody bez powodu. Każdy plusk mógł obudzić tych, którzy zakończyli już życie. Dobrochna zbyt dobrze pamiętała zdarzenia sprzed wielu lat, aby odważyć się zakłócać spokój zmarłym.

Dobrochna drgnęła, skrępowana, gdy Paweł przyciągnął Igora w przyjacielskim uścisku. Nie rozumiała, jak działały uczucia. Zgubiła je gdzieś po drodze, wznosząc wokół siebie mur obojętności. Jedyne, którym pozwalała odwiedzać swoją duszę, to strach o Janka i nienawiść rozszarpująca ją kawałek po kawałku. Ale potrafiła dostrzec całą paletę emocji, które pojawiły się na twarzy Schutta. Emocji, które kiedyś były jej udziałem.

Nie chciała na to patrzeć. Zakręciła się na pięcie, żeby odejść ścieżką, która ją tutaj przywiodła, lecz wtedy ją zauważył. Ich spojrzenia spotkały się na krótką chwilę, ale to wystarczyło, żeby skinął na nią głową. Zawahała się, więc to on ruszył w jej stronę. Jego ciężkie buty łamały źdźbła trawy i suche liście, które zalegały na ziemi od jesieni. Gdy tak oddalał się od Pawła i miejsca, które powinno być dla niego azylem, jego ramiona dostrzegalnie się rozluźniały.

– Paweł zaprosił cię na imprezę?

Zaprzeczyła ruchem głowy, zdając sobie sprawę, że pytanie było tylko zwykłą kurtuazją. Na pewno zniechęciła go skutecznie do siebie, krzycząc na niego, kiedy tamtego dnia wiozł ją do domu z Nowego Targu. Ale nie potrafiła zachować się inaczej. Powinien być jej wdzięczny, że próbowała go chronić.

– W takim razie chodźmy stąd... Na pewno znasz jakieś miejsce warte zobaczenia.

Zmrużyła oczy, rozważając jego słowa. To był ostatni moment, kiedy mogła się jeszcze wycofać. Jeżeli pozwoli mu uwierzyć, że dopuściła go do siebie, Schutt już nigdy nie przestanie drażnić.

Spojrzała na Pawła. Wpatrywał się w nich bez słowa, a ona poczuła, że zdołała odwrócić tamtą sytuację sprzed lat. Teraz to ona posłała mu uśmiech nad

ramieniem Igora. Być może nie tak kpiący, jak tamten rzucony jej wiele lat temu, ale miał w sobie coś ze zwycięstwa.



Prowadziła go dróżką biegnącą wzdłuż jeziora. Nie miał pojęcia, że można dotrzeć nią aż do ruin zamku. Wąska kreska piasku ginęła raz po raz w gęstych zaroślach, ale wystarczyło, że się schylił i odnajdywał miejsce, gdzie mógł się swobodnie poruszać. Po kilkuset metrach zostawili za sobą dźwięki imprezy i teraz słyszał tylko chłopot fal obmywających brzeg i pohukiwanie sowy, która z trzepotem skrzydeł wylądowała na jednym z wysokich drzew.

W pewnym momencie stopa zsunęła mu się po śliskiej trawie i stracił równowagę. Dobrochna tylko zerknęła przez ramię, gdy zaklął pod nosem, nie komentując jego gapowatości.

W końcu dotarli do miejsca, gdzie ścieżka rozwidlała się – jedna dróżka biegła dalej przy jeziorze, a druga pięła się w górę. Dobrochna wybrała drugą opcję, chwytając się porastających zbocze traw.

– Gdzie dojdziemy, idąc prosto? – Podniósł wzrok, obserwując jej zwinne ciało. Z wprawą wyszukiwała miejsca, gdzie grunt był bardziej stabilny, co było imponujące, biorąc pod uwagę, że na stopach miała buty z miękką podeszwą, które nie nadawały się do wspinaczki.

– Do zamku. – Obejrzała się przez ramię, jednak nie zatrzymała się. – Tam jest grotta, w której dzieciaki rozpalają czasem ogniska.

– Chcę ją zobaczyć. – Zerknął w stronę, która zdawała się zdecydowanie bardziej pociągająca.

– Później...

Jej głos oddalał się coraz bardziej, więc spojrzał ostatni raz w ciemność, obiecując sobie, że niedługo tu wróci, po czym ruszył w górę za dziewczyną, odsuwając przed twarzą nagie gałęzie zarośli. Po chwili znalazł się na otwartej przestrzeni, tuż przed zamkową bramą.

– Musimy przejść na drugą stronę. – Wspięła się bez wysiłku po metalowych prętach i przerzuciła nogę przez ogrodzenie. Na moment jej długa sukienka podwinęła się, odsłaniając zgrabną łydkę. – No chodź!

Spojrzał na nią z powątpiewaniem, a potem rozejrzał się, sprawdzając, czy ktoś ich nie obserwował.

– Nikt nas nie przyłapie, obiecuję! – Stłumiony śmiech Dobrochny był czymś nieoczekiwanym, ale sprawił mu przyjemność. Dobrze było wiedzieć, że pomimo przytłaczającej ją rzeczywistości nadal miała poczucie humoru. – Gdy byłam młodsza, przychodziłam tutaj kilka razy w miesiącu. Wszystkie dzieciaki tak robią.

Zeskoczyła na drugą stronę i zniknęła za fragmentem muru, który kiedyś stanowił zapewne jedną ze ścian fortyfikacji.

Schutt odepchnął na bok kotłujące się w nim uczucia. Dreszcz przyjemnego podniecenia mieszał się ze wspomnieniami Krakowa. Żeby dostać się do tamtego opuszczonego budynku, również sforsowali metalową siatkę. Pamiętał, że jego kurtka zaczepiła o ostry drut i rozpruła się na całej długości rękawa. Kamila szła przed nim. Popędzała go, tak jak teraz Dobrochna.

Ruszył w górę ścieżką wysypaną drobnym żwirem. Wsłuchiwał się w ciszę, zastanawiając się, gdzie zniknęła dziewczyna.

Ruiny pachniały wilgotną ziemią i pleśnią. Gumowe podeszwy głańów skrzypiały na wypolerowanych przez stopy turystów stopniach. Minął łukowate przejście prowadzące w głąb zamku, ignorując strome schody, którymi prawdopodobnie dostałby się na taras widokowy. Sięgnął do kieszeni i wyciągnął z niej telefon, aby choć trochę oświetlić sobie drogę. Wyławiał z mroku drobne ciała nietoperzy przyczepionych do skał. Parę z nich poruszyło się, kuląc nerwowo skrzydła, gdy zbyt długo kierował latarkę w ich stronę.

Jego kroki zadudniły na drewnianym mostku. Minął sklepik z pamiątkami i przystanął w miejscu, gdzie od głębokiej przepaści oddzielała go jedynie metalowa barierka.

Spróbował wypatrzeć dno, wychylając się do przodu, jednak studnia zdawała się nie mieć końca. Odnosił wrażenie, że pod zamkiem przepływała podziemna rzeka. Słyszał wyraźnie szum i krople rozbryzgujące się o tafle wody.

Schował telefon do kieszeni i miał ruszyć na poszukiwania Dobrochny, gdy cichy dźwięk przykuł jego uwagę. Przypominał chrząknięcie. Jakby ktoś próbował oczyścić gardło z zalegającej w nim wydzieliny.

– Dobrochna?

Znieruchomiał, czekając na odpowiedź, jednak tamto wrażenie czyjejś obecności już minęło. Mimo to czuł mrowienie w palcach. Zamknął oczy, poszukując źródła dźwięku i był prawie pewien, że usłyszał coś jeszcze. Jęk? Wychylił się mocniej, teraz już wisząc na barierce. Nie potrafił zdecydować, skąd dobiegały odgłosy zwielokrotniane przez odbijające się od ścian studni echo.

– Tutaj jesteś! – Dobrochna zbiegła ze schodów i stanęła tuż przy nim. Przyłożyła palec do ust, uciszając ją.

– Coś się stało?

Stali tak blisko siebie, że czuł żar bijący od jej ciała. Piersi falowały jej z każdym oddechem, napierając na jego tors. Pachniała czymś słodkim i kwiatowym jednocześnie.

– Chyba poniosła mnie wyobraźnia – mruknął w końcu, jednak się nie poruszył.
– Wydawało mi się, że coś słyszałem.

Przygryzła dolną wargę dokładnie w taki sam sposób, w jaki kiedyś robiła to Kamila, a on pod wpływem impulsu przeciągnął kciukiem po jej ustach. Tęsknił za tym każdego dnia. Za intymnością. Za bliskością. Miękkością...

Pochylił do niej twarz i poczuł ciepły oddech na skórze. Serce przyspieszyło mu, gdy ich wargi się zetknęły. Nie był z kobietą tak długo, że każdy dotyk wydawał mu się nowością. Westchnęła, gdy rozwarł jej usta językiem, żeby sprawdzić, jak smakowała.

Wspomnienia przeplatały się z rzeczywistością. Zapach jej skóry mieszał się ze wspomnieniami ostatniego razu, gdy dotykał Kamilę. Miał wyrzuty sumienia, że nie poświęcił jej wystarczająco dużo czasu. Gdyby wiedział, że kocha się z nią ostatni raz, przeciągałby to w nieskończoność. Próbowaliby zapamiętać każdy fragment jej ciała, gdy poruszała się pod nim.

Odgonił przeszłość i skupił się na Dobrochnie, która lgnęła do niego instynktownie. Przycisnęła do niego swoje drobne piersi. Kolce biodrowe wbiły się w jego mięśnie, gdy wygięła ciało w łuk, jakby chciała złączyć się z nim w jedność.

Objął ją ramieniem i przyciągnął do siebie. Spięła się, gdy przejął inicjatywę, więc poluźnił uścisk, jednocześnie intensywniej napierając na jej usta. Jej ruchy zdradzały brak doświadczenia, a on żałował w tym momencie, że nie może wywalić obcych ze swojego domu i zdjąć z niej tej dziwnej sukienki, którą miała na sobie.

W końcu oderwali się od siebie, ciężko oddychając. Zaskoczyło go, że tak łatwo odgonił od siebie twarz Kamili. Myślał, że już nigdy się z nikim nie zwiąże, ale ta dziewczyna podobała mu się coraz bardziej. Była inna niż wszyscy, których poznał do tej pory.

– W porządku? – zapytał, gdy opuściła wzrok, przygryzając usta.

Milczała tak długo, że w końcu odczuł potrzebę, aby zrobić krok w tył. Pocałunek najwyraźniej ją przytłoczył. On ją przytłoczył, mimo że nie taki był jego zamiar.

– On uważa, że to ja je zabiłam... – Jej wyznanie było tak nieoczekiwane, że wymazało wszystko, o czym myślał. Zamarł, wpatrując się w nią intensywnie, przypominając sobie o ostrzeżeniu zakreślonym na kartach jego powieści. Znajdź prawdę...

– Małecki?

Skinęła głową bez słowa. Otworzyła usta, jakby chciała coś dodać, jednak się zawahała. Wyznanie wymknęło się jej pod wpływem chwili, ale Igor nie zasłużył jeszcze na jej zaufanie. Jeżeli chciał się dowiedzieć więcej, musiał ją jeszcze trochę oswoić.

– Boisz się go? – zapytał cicho, nie spuszczać z niej wzroku.

– Boję się, że on ma rację. Boję się przeszłości...

Jej słowa były enigmatyczne, jednak pasowały do ostrzeżenia, które otrzymał. Przemknęła mu myśl, że to ona weszła niepostrzeżenie do jego domu, zostawiając na stoliku *Żar*. Chciała opowiedzieć mu swoją historię, ale coś ją przed tym powstrzymywało. Małecki czy jej własne demony? Musiał się tego dowiedzieć. Jeżeli miał jej pomóc, musiał poznać przeszłość, przed którą tak się wzbraniała.

– Co takiego się tutaj wydarzyło?

– Oni... – Zadrżała, gdy zaatakowały ją wspomnienia. – Zawarłam z nim układ.

– Z Małeckim?

Skinęła głową, uciekając przed nim wzrokiem, ale gdy wzięła głębszy wdech, wiedział, że zaraz wszystko mu wyjaśni.

– Pomógł mi z Jankiem w sądzie, a ja miałam tylko milczeć...

Odwróciła się gwałtownie, gdy cichy stukot rozbrzmiał gdzieś ponad nimi. Igor spał miśnie, nagle świadomy tego, że jednak nie byli sami. Chciał, żeby mówiła

dalej. Żeby jej słowa w końcu nabrały sensu. Jednak wszystko musiało poczekać.

Podniósł kamień, idealnie pasujący mu do dłoni, aby stworzyć chociaż iluzję bezpieczeństwa. Zanim zdążył podjąć jakąkolwiek decyzję, pociągnęła go za sobą.

Kluczyli pomiędzy komnatami, sprawdzając ciemne zaułki i wyglądając przez wąskie okna w murach, ale ktokolwiek był tutaj z nimi, nie miał ochoty zostać odnaleziony. Ciche szuranie butów było jedyną wskazówką, za którą podążali, kierując się na górny zamek. Dotykali ścian, śliskich od wilgoci i porastającego je mchu. Potykali się na kamieniach wystających z piaszczystego podłoża. Drewniane schody uginały się pod ich ciężarem, aż w końcu wydostali się na otwartą przestrzeń.

– Tam... – Dobrochna wskazała na mur przedzielający taras widokowy na dwie części. Jej szept zdawał się docierać za każde załamanie otaczającego ich muru.

Schutt zacisnął palce na twardej skale, zdając sobie sprawę, że miała rację. Jedyną drogę ucieczki stanowiło przejście za nimi. Ktokolwiek był na zamku, musiałby minąć ich, aby zejść z powrotem w dół.

Ostrzegawcze syczenie dobiegające z lewej strony sprawiło, że uniósł ramię. To był wyćwiczony przez lata odruch. Ciało zalała mu adrenalina, sprawiając, że wszystkie zmysły zdawały się wyostrzyć.

– Janek! Janek! Janek! Janek! – Chłopak wyskoczył zza załomu, zawodząc, a jego ciało dygotało, gdy patrzył przez rozsunięte palce na skałę w dłoni Schutta.

– Chryste! – Kamień upadł na ziemię, prawie miażdżąc Igorowi stopę. – Chłopie, aleś nas nastraszył.

Gdy Janek pojął, że nic mu nie groziło, opuścił dłonie, objając je raz za razem o uda.

– Janek! – Dobrochna znalazła się przy bracie w jednej chwili. – Co ty tu robisz? Pamiętasz, o czym rozmawialiśmy ostatnio? Nie możesz włóczyć się sam w nocy... To nie jest dla ciebie bezpieczne.

– Cicho, cicho, tajemnica... – Janek zamrugał kilkakrotnie, walcząc z nagłym tikiem.

– Tajemnica? – Igor spojrział na niego z większą uwagą. Zbyt duże spodnie zwisały mu ze szczupłych bioder, przez co nogawki wydawały się za długie. Z tyłu materiał wystrzepił się od ciągłego przydeptywania. – Masz tajemnicę?

Potwierdził skinieniem głowy, a potem pociągnął za sukienkę Dobrochny i wskazał na Schutta.

– Oooobcy.

Igor westchnął, wiedząc, że dalsza rozmowa z chłopakiem nie miała sensu, jednak przyjrzał mu się z namysłem.

Janek pętał się po okolicy i nikt nie zwracał na niego najmniejszej uwagi. Ludzie ignorowali go ze względu na jego niepełnosprawność. Zakładali, że ułomność psychiczna idzie w parze z głuchotą, a nawet jeżeli coś usłyszy lub zobaczy, i tak tego nie zrozumie. Ale być może się mylili i Janek nie kłamał. Całkiem prawdopodobne, że był skarbnicą sekretów.

– Wstawaj. Idziemy do domu. – Dobrochna popchnęła Janka w stronę wyjścia, skupiając na nim całą uwagę.

Starannie omijała przy tym twarz Igora, który został nieco z tyłu. Chwila, która ich połączyła, bezpowrotnie minęła i cokolwiek chciała mu powiedzieć, znowu stało się odległe.

Gdy przechodził obok głębokiej czeluści, zatrzymał się i wsłuchał z napięciem w ciszę, jednak jedynym dźwiękiem, który udało mu się pochwycić, był stukot kropli uderzających o skały oraz oddalające się głosy rodzeństwa Hilderbrandtów. Wyliczanka powtarzana bez końca przez Janka doskonale pasowała do tego miejsca.

– Pałka, zapalka dwa kije, kto się nie schowa, ten kryje...



Janek spał w pokoju na tyłach domu i do uszu Dobrochny dobiegało ciche chrapanie. Emocje kotłowały się w niej nieustannie. Dotknęła bezwiednie ust, które nadal pulsowały od pocałunków Igora. Nie mogła nic poradzić na to, że jej się podobał. Wcześniej próbowała z tym walczyć. Opierać się temu dziwnemu uczuciu w piersiach, którego nie doświadczyła nigdy wcześniej. Chociaż nie... Już kiedyś czuła się tak samo. Zanim jeszcze wszystko się zepsuło. Zanim ojciec postanowił postawić na swoim... Tamtej nocy księżyc również oświetlał okolicę...

Dawniej...

– Nie możesz tego zrobić, słyszysz? – Gorączkowy szept matki niósł się po ciemnej chacie.

Dobrochna siedziała w oknie, rozczesując białe włosy, które opadały jej aż do połowy pleców. Krajobraz za oknem stawał się czarno-biały, a przyroda zdawała się zastygać na czas nocy. Tylko tłuste ćmy uderzały o szyby okna, próbując znaleźć się w zasięgu ciepłej poświaty rzucanej przez tłącą się na parapecie świecę.

– Nie mów mi, co jest słuszne! Nic nie wiesz o tym, co muszę zrobić! – Nie była już dzieckiem i potrafiła zrozumieć, że ojciec wplątał się w coś złego.

– Straciłeś rozum! Nie wygrasz z nimi, rozumiesz? Nie możesz stanąć sam naprzeciwko tłumowi! – Zduszony krzyk matki sprawił, że dziewczyna znieruchomiała.

– Nie będę sam. Widziałas tych młodych ludzi, którzy rozbili obozowisko przy wykopaliskach? Są ich setki!

– Widziałam ich starcia z policją. To zwykli chuligani, których nie obchodzisz ty ani twoja sprawa!

– Nieprawda. – Ojciec przemieszczał się po pokoju, potrącając krzesło. – Chcę tylko poznać prawdę.

– Piotr...

– Gadasz jak Magiera! Dlaczego tak bardzo zależy wam, abym zostawił tę sprawę w spokoju?

Drewniana szczotka upadła na podłogę, gdy drzwi trzasnęły, budząc Janka. Dobrochna naciągnęła na bosc stopy buty, nie potrafiąc oprzeć się pokusie. Wiedziała, że dogoni ojca. Już nie wędrował tak szybko, jak kiedyś. Jego kroki były chwiejne i ostrożne. Alkohol zamraczał jego umysł, mylił ścieżki, którymi kiedyś podążali.

Wymknęła się po cichu, ostrożnie zamykając drzwi. Nie musiała martwić się matką, która była zajęta uspokajaniem Janka. Mogła podążyć za ojcem w ciemności rozświetlonej jedynie światłem księżyca. Chłód nocy wkradał się pod jej cienką piżamę, jednak nie zwracała na to uwagi, skupiona na sylwetce mającej w oddali. Serce biło jej tak szybko, że nie byłaby w stanie policzyć uderzeń.

Wielka sowa wylądowała wśród drzew rosnących przy drodze i pohukiwała, nawołując swoje siostry. Nie bała się jej. Lubiła nocne zwierzęta. Rozumiała ich

chęć ukrycia się przed słońcem. Były jak jej ojciec, który coraz bardziej zanurzał się w mroku. A przecież znała go dobrze. A to, co znane, nie mogło wyrządzić jej krzywdy.

Drobne gałęzie łamały się pod jego stopami, gdy zmierzał w stronę wykopalisk. Przemykał pomiędzy namiotami rozstawionymi przez ekologów. Im bliżej cmentarza się znajdował, tym bardziej jego ruchy przypominały jej dawnego ojca. Były pewne i zdecydowane.

Dobrochna zamarła, gdy stopą zahaczyła o linkę przytrzymującą napięty materiał plandeki. W namiocie ktoś się poruszył, wybudzony ze snu, jednak po chwili wszystko ucichło. Zaciśnęła pięści, próbując uspokoić oddech. Jeszcze tylko kilka kroków i będzie mogła zobaczyć, co zamierzał ojciec.

– Czego tu szukasz? – Prawie pisnęła, gdy Paweł Biernacki złapał ją za ramię i szarpnął do tyłu, kryjąc przed przechodzącym między namiotami długowłosym mężczyzną. – Chyba nieszczęścia, włócząc się samotnie po nocy.

– Nie twoja sprawa! – Wyszarpnęła mu się, mierząc go spojrzeniem. Nawet w ciemnościach dostrzegła, że miał rozciętą wargę. Chciała go o to zapytać. Dowiedzieć się, dlaczego jego ramiona były pokryte siniakami. Dlaczego nabierał powietrza płytko, jakby w obawie, że głębszy oddech sprawi mu ból. Ale nie zrobiła tego. To były jego tajemnice.

– To twój ojciec? – Wskazał brodą na kucającą przy wykopaliskach sylwetkę.

– Nie twoja sprawa – powtórzyła już ciszej.

– Ludzie we wsi gadają, że oszalał...

– Wcale nie! – Strzepnęła dłoń chłopaka ze swoich ust, gdy próbował uciszyć jej krzyk.

– Co on tam robi?

Wróciła spojrzeniem do ojca, nadal kucającego przy cmentarnym płocie.

– Nie wiem – mruknęła bardziej do siebie niż do Biernackiego, a potem, zaskakując samą siebie, dodała: – Ale cokolwiek planuje, to na pewno nie spodoba się tym, którzy twierdzą, że stracił rozum...

Stali w milczeniu, a ona znajdowała jakąś kruchą pociechę w tym, że nie była sama. Obecność chłopaka pozwalała jej nie martwić się tak bardzo faktem, że ojciec wypełniał karton ludzkimi szczątkami. Poczula, jak dłoń Pawła wsunęła się

w jej własną, gdy jedna z czaszek wyślizgnęła się z rąk ojca i potoczyła po ziemi, szczerząc w świetle księżyca poczerwiałe zęby...

Tak... Dobrze się stało, że Janek powstrzymał to, co rodziło się między nią a Igorem. Jeszcze chwila, a wciągnęłyby w swoje problemy kolejną osobę. Musiała trzymać się od niego z daleka.

Rozdział 14



– Do stu piorunów! – Komisarz Małecki starał się ukryć swoją wściekłość, ale nie wychodziło mu to specjalnie dobrze.

Służbowe buty zapadały się w rozmięklej po deszczu ziemi, a mlaskające pod podeszwami błoto wprawiało go w fatalny nastrój. Do tego zdawało mu się, że spod otaczających go nagrobków wyslizguje się mgła, próbując opleść mu kostki.

Musiał doprowadzić do tego, aby Zdrojewska pojęła, jakie było jej miejsce w szeregu. Miał nadzieję, że zasypanie jej papierkową robotą przyniesie pożądany skutek, a jednak teraz szli przez stary cmentarz, mimo że księżyc już dawno wisiał na niebie.

Kiedy Anna rozpoczęła pracę w nowotarskiej komendzie, ucieszył się. Była pracowita i знаła mieszkańców. Wiedziała, na kogo trzeba zwracać szczególną uwagę. Nadawała się do tej roboty zdecydowanie lepiej niż Piotrek Kurpiel, który budził w komisarzu mieszane uczucia. Z jednej strony potykał się o własne stopy, a z drugiej coś niepokojącego czaiło się czasem w jego oczach. Małecki zdawał sobie sprawę, że nadejdzie dzień kiedy będzie musiał wybrać spośród tej dwójki, i instynktownie myślał o Annie, jednak teraz jej nadgorliwość go denerwowała. Uparła się, żeby przyszli na cmentarz w środku nocy, bo koniecznie chciała mu coś pokazać. Tak jakby to nie mogło poczekać do rana...

– To tutaj. – Wskazała na niszczący powoli grób, na którego płycie wyryto datę śmierci i nazwisko Henryki Gończarz.

Spojrzał na nią wściekły, zastanawiając się, czy postradała zmysły. Może potrzebowała chłopca, który ogrzałby jej łóżko i wybił z głowy głupie pomysły? Bo nakłanianie przełożonego do odmrożenia sobie tyłka tylko po to, żeby popatrzeć na stare mogiły, z całą pewnością nie wyjdzie jej na dobre.

– Przywlekłaś mnie tutaj w środku nocy, żeby przypomnieć mi, że Gończarzowa przeżyła prawie sto lat? – zakpił.

– Nie. – Na twarzy Zdrojewskiej pojawił się uśmiech satysfakcji. – Wiedział pan komisarz, że substancje, które wykryto we krwi Magdaleny Zachary występują w nasionach bielunia?

– Nie miałem pojęcia, ale czuję się oświecony, jakbym stał na Rysach w trakcie pełni – odburknął, po raz kolejny obiecując sobie, że tym razem pani Mirka dostanie ostrą burę za to, że pozwoliła Zdrojewskiej zapoznać się z protokołem sekcji zwłok, zanim on miał taką możliwość. – I co z tego?

– I to z tego, że ta roślina rośnie właśnie tutaj. – Zdrojewska zaplotła ramiona na piersiach, czekając na reakcję szefa.

– A ty skąd o tym wiesz? – Rozejrzał się, nie dostrzegając wokół nic poza zniczami i plastikowymi kwiatami, które – nawiasem mówiąc – były ohydne.

– Bo to jest grób mojej babci. – Wskazała na sąsiednią kwaterę. – A bieluń dorasta do metra wysokości i zabiera bardzo dużo miejsca. Nieraz już prosiłam syna Gończarzowej, żeby powyrywał te chwasty, ale upiera się, że jego matka uwielbiała czarcie ziele.

Ryszard rozważał jej słowa. Być może intuicja go nie zawiodła. Tamtego wieczora, w trakcie zebrania, Mieczysław przyciągnął jego uwagę, jednak nie podobało mu się, że Zdrojewska wpadła na ten trop. Aspirant nie była w ciemię bita, a do tego zależało jej na karierze. Jeżeli teraz przyzna jej rację, będzie się upierała, żeby uczestniczyć w przesłuchaniu Gończarza.

– I myślisz, że ten cały bieluń rośnie tylko w tym jednym miejscu? – Roześmiał się, chcąc podkreślić niedorzeczność tej teorii.

– Oczywiście, że nie. – Zdrojewska wzruszyła ramionami. – Ale wszyscy wiedzą, że Gończarzowa była zafascynowana medycyną ludową. W ogóle nie chodziła do gminnej przychodni. Dopiero pod koniec życia syn siłą wzywał do niej pogotowie. Woliała korzystać z naparów przygotowanych przez Dobrochnę Hilderbrandt niż z pomocy lekarzy.

– No i? Dalej nie widzę żadnego związku pomiędzy tym, co mówisz, a śmiercią tych dziewczyn. Chcesz mi powiedzieć, że mam aresztować Mietka Gończarza, bo jego matka bała się lekarzy? A może mam się udać w zaświaty, żeby przydybać Gończarzową?

– Nie... – Zdrojewska nie dała się wyprowadzić z równowagi. Jej cierpliwość równoważyła gwałtowny charakter komisarza. – Ale uważam, że to dobry trop, którego nie należy ignorować.

Gdyby nie okoliczności, Małecki byłby zadowolony z bystrości umysłu, którą się wykazała podległa mu policjantka. Niestety, tym razem nie miał zamiaru dać jej pola do dalszych działań.

– Dobrze... Sprawdzę to.

– Sprawdzimy – poprawiła go, zadowolona, że chwycił podsunięty przez nią trop.

– W porządku. Ale nie chcę żadnych pochopnych oskarżeń. Będziesz przysłuchiwała się, gdy będę go maglował, ale nie będziesz się wtrącała. Zrozumiano?

– Zrozumiano – mruknęła nieco przygaszona jego słowami.

Pokiwał głową i ruszyli w drogę powrotną. Jutro czekał go jeszcze gorszy dzień, niż zakładał. Do tego, wbrew jego nadziejom, pogoda się poprawiła i niebo ponownie było bezchmurne. Tylko ta cholerna mgła ciągle unosiła się wszędzie wokół.



Dziewczyna szarpnęła się, żeby znaleźć się poza zasięgiem wody, ale sznur był zawiązany zbyt ciasno, aby mogła coś zrobić. Zimne fale raz za razem obmywały przemoczone rajstopy, które rozdarły się i nie chroniły jej już przed niczym. Gdzieś zgubiła prawy but, a ten na lewej stopie przekręcił się tak, że teraz obcierał jej kostkę.

Spróbowała wciągnąć powietrze przez obrzęknięty nos, ale tylko się zakrztusiła.

Nie potrafiła ocenić, jak długo była w tym miejscu. Budziła się i odpływała w nicość już kilkakrotnie. Za każdym razem udawało jej się utrzymać przytomność krócej. Teraz wstrząsnęła nią fala dreszczy. Były tak silne, że bolało ją całe ciało.

– Nie ruszaj się. To nic nie pomoże...

Skupiła się na dobiegającym z prawej strony głosie, ale jej myśli rozbiegły się na zbyt wiele stron. Próbowwała się którejs uchwycić. Przyciągnąć do siebie i zrozumieć w końcu, dlaczego znalazła się w tym miejscu.

Mężczyzna czaił się za jej plecami. Słyszała jego świszczący oddech i szelest ubrań. Pochwyciła brzęk metalowego przedmiotu, który upadł na ziemię. Wykręciła głowę, aby dojrzeć swojego oprawcę, ale skrywał się w cieniu skały.

Na chwilę zapadła cisza, ale zaraz panika zalała jej ciało, zamazując obraz, gdy podszedł i przesunął paznokciami po jej szyi.

– Lubisz słuchać opowieści o dawnych czasach? – Zaśmiał się cicho, a potem szarpnął ją za włosy, odkręcając głowę tak, że jego twarz znalazła się tuż nad nią. W jego palcach błysnęła zapalniczka. Pocierał palcem tak długo, aż w końcu przed jej oczami zatańczył niewielki płomień. – Opowiem ci o czymś, co zdarzyło się dawno temu nad brzegiem tego jeziora...

Źrenice rozszerzyły się jej i zapałała się piętami o ziemię, czując, jak drobne kamyki wbijają się jej w skórę. Próbowiła się odsunąć. Przyklejona do ust taśma tamowała jej krzyki. Walczyła, dopóki nie odepchnął jej głowy tak, że uderzyła w twardą skałę. Usłyszała chrupnięcie gdzieś we wnętrzu czaszki, a w ustach poczuła metaliczny smak krwi.

– Twój ojciec na pewno nie wyznał ci swoich grzechów. To nic... Zaraz naprawię ten błąd.

Podjęła ostatni wysiłek, żeby podnieść powieki, ale jedyne, na czym mogła się teraz skupić, to ból rozdzierający jej prawy bok. Był intensywny i przeszywał ją aż do kości.

Gdy mężczyzna przyłożył pręt do jej skóry, powietrze wypełnił syk palącego się ciała. Ostatnie, co zarejestrowała, to smród, który rozszedł się dookoła.



– Nie bądź taka zadowolona. Na pewno nic z tego nie będzie... – Zdrojewska uniosła wzrok znad akt i spojrzała na Piotra Kurpiela, opierającego się o jej biurko.

Triumfował, bo przyniesiona z hotelu zapalniczka nie pozostawiała złudzeń, że oba zabójstwa łączyło coś więcej niż tylko wypalone na ciałach litery. Wzdrygnęła się, przypominając sobie grawerunek. „Kłamstwo – to rzecz pożyteczna, gdyż wiedzie do prawdy...”^[1]

Przyjęli wcześniej, że zabójstwa mogą mieć tło religijne. Seryjni często pochodzili z ortodoksyjnych środowisk chrześcijańskich. Z raportu FBI, który

czytała jeszcze w Szczytnie, wynikało, że podstawą dokonywanych przez nich zbrodni były często problemy seksualne spowodowane silnym zaangażowaniem religijnym. W trakcie przesłuchań niejednokrotnie cytowali najbardziej fundamentalistyczne wersety z Biblii.

Przerażał ją fakt, że – zgodnie z raportami służby więziennej – wśród osadzonych za zabójstwa praktycznie sto procent deklarowało wyznanie katolickie, a większość z nich brała udział w codziennych mszach.

Jednak grawerunek na zapalniczce Zachary zdawał się bardziej uniwersalny. Nie odnosił się do Biblii.

Chrząknięcie Kurpiela wyrwało ją z zamyślenia.

– Nie sądzisz chyba, że ten stary pijus wymyśliłby tyle elementów zbrodni?

Pewnie przyznałaby mu rację, gdyby nie dostrzegła na jego twarzy niepewności. Być może więc odniosła niewielki sukces i sprawiła, że się bał. Chciałaby, aby zobaczyły go teraz dziewczyny, które zastraszał w przeszłości. Miała nadzieję, że dostrzegłyby w jego oczach te same wątpliwości.

– Zdrojewska! Za mną!

Poderwała się z miejsca, zabierając ze sobą teczkę. Nie miała pojęcia, dlaczego szef był taki wściekły. Podsunęła mu trop i powinien ją za to ozłocić, tymczasem od rana ciskał się po komendzie jak ryba złapana w sieć.

– Gończarz czeka już w pokoju przesłuchań. Pamiętasz, co ci mówiłem?

Skinęła głową, chociaż miała nadzieję, że komisarz pozwoli jej poprowadzić przesłuchanie samodzielnie. Nie mieli jednak czasu na dyskusję, bo Małecki właśnie otworzył z rozmachem drzwi.

– Zrobiłeś to? Gadaj! – Nawet nie zadał sobie trudu, żeby się przywitać i wpisać dane mężczyzny do protokołu. Nic nie zapowiadało również, aby zamierzał przedstawić mu jakiegokolwiek zarzuty.

Mieczysław Gończarz odruchowo skulił ramiona, ale najwyraźniej Małecki nie przestraszył go szczególnie, bo spojrzał na niego hardo.

– Niby co miałem zrobić?

– Zabiłeś je?!

Zdrojewska zerknęła niespokojnie na policjanta stojącego przy drzwiach. Nic tutaj nie przebiegało zgodnie z procedurami, ale chłopak zdawał się nie

przejmować tym ani trochę. Miała nadzieję, że jeżeli Małeckiemu ostatecznie puszczą nerwy, funkcjonariusz zdąży zareagować i odciągnie go w porę od Gończarza.

Powinni zawiadomić prokuratora, że mają już podejrzanego, jednak szef upierał się, że jeszcze za wcześnie na podejmowanie takich kroków. Rozumiała, że nie chciał zbłąźnić się przed młodszym od siebie mężczyzną, który nadzorował śledztwo, jednak teraz nasza ją refleksja o braku profesjonalizmu, jakim się wykazali.

– Rozum ci doszczętnie odjęło? Po co miałbym to robić? – Gończarz wyglądał na autentycznie zdziwionego. Podrapał się po nieogolonym policzku, a Anna zauważyła, że drżały mu dłonie.

Policjantka nie spuszczała wzroku z jego twarzy. Starła się dostrzec choćby najmniejszą rysę w masce, którą nałożył.

Myślała o tym całą noc. Gospodarstwo Gończarza graniczyło z działką Zacharów. Magda znała go od dziecka. Na pewno mu ufała. Gdyby chciał odciągnąć ją w odludne miejsce, poszłaby z nim z pewnością. Wystarczyło tylko, żeby wymyślił jakiś pretekst.

Zdrojewska skupiła swoje myśli na ofiarach. Były młode i ładne. Odurzono je i zerwano z nich częściowo ubranie. Wszystko to wskazywało na zabójstwa na tle seksualnym. Patolog nie stwierdził co prawda śladów penetracji, ale Anna nie wykluczała, że sprawcę podniecała przemoc, bo nie był już zdolny do współżycia.

A Gończarz był stary i samotny. Być może śmierć matki, która dbała o niego całe życie, wyzwoliła w nim uśpione dotąd żądze?

– Co to za zielsko rośnie na grobie twojej matki? – Małecki rzucił na stół zdjęcia bielunia, które Anna wydrukowała rano i wsunęła do akt.

– Zwyczajne kwiaty... O co ci chodzi?

– Nie jesteśmy teraz na ty. – Małecki poklepał się po piersiach, zapewne szukając nieodłącznej fajki. – Jak się tam znalazły?

– Normalnie posadziłem...

– Zaraz mnie szlag trafi.

W pokoju zapadła pełna napięcia cisza. Gończarz odwrócił wzrok w stronę firanki wydymającej się na wietrze. Anna obserwowała, jak pocierał kark, próbując pojąć tok rozumowania Małeckiego, i miała coraz więcej wątpliwości, czy można

powiązać mężczyznę z tą sprawą... Szukała najdrobniejszych gestów, które by go zdradziły. Mrugał powoli, co oznaczało, że przyswajał informacje wykrzyczone przez komisarza. Nie uciekał wzrokiem w bok, nie dotykał twarzy, która pozostawała nadal blada.

– Panie Mieczysławie, skąd miał pan nasiona? – Anna zrobiła krok naprzód, zastanawiając się, jaką karę wymyśli dla niej szef za zignorowanie ich umowy.

– A bo ja wiem? Matka trzymała je w kuchni. – Wzrok Gończarza zasnuł się mgłą, gdy przypomniał sobie ostatnie tygodnie opieki nad matką. – Ona nie była sobą przed śmiercią. Ciągle tylko kazała mi przysięgać na swój grób, że posieję tam te kwiaty.

– Dlaczego? – Anna poczuła, że w końcu dochodzą do konkretów.

Mężczyzna milczał długi moment i Anna odnosiła wrażenie, że powiedział już wszystko, ale wtedy on spojrzał jej prosto w oczy.

– Mówiła, że to za karę. Że te kwiaty przyciągną do niej diabła po śmierci, a jej miejsce jest w piekle...

Zdrojewska próbowała uspokoić szybko bijące serce. Nie miała pojęcia, co znaczyły te słowa, ale rozumiała, że były ważne. Że Gończarzowa chciała im coś przekazać, nawet jeżeli nie było jej już na tym świecie.

– Dobra, dosyć tego. Co robiłeś w zeszły piątek po południu i wieczorem? – Małecki najwyraźniej złapał drugi oddech. Być może pomogło mu świeże powietrze, które wpadało do pokoju z każdym podmuchem wiatru szarpiącego firankami. W każdym razie był teraz spokojniejszy. W końcu przypomniał sobie, kim był i gdzie się znajdowali.

– Ja... – Gończarz otworzył usta, ale się zawahał. Anna dostrzegła to bardzo wyraźnie i spięła wszystkie mięśnie. Odwróciła się gwałtownie, gdy ciszę przerwało szybkie pukanie.

– Panie komisarzu? – Piotr Kurpiel wetknął głowę w uchylone drzwi i czekał na reakcję naczelnika.

– Nie teraz, Kurpiel. Widzisz chyba, że jesteśmy w środku czynności.

– Ale to ważne... – Piotr spojrzał na Zdrojewską, szukając u niej pomocy. Miała ochotę wypchnąć go za drzwi. Wybrał najgorszy z możliwych momentów. Tak jakby specjalnie podsłuchiwał i czekał na dogodną chwilę, żeby storpedować jej wysiłki.

– Co głupiemu po rozumie, kiedy rządzić nim nie umie... – Komisarz westchnął przeciągle i przesunął się na krześle tak, aby w końcu spojrzeć na Kurpiela. – Powiedziałem, won!

– Ale... dzwoniła Jagoda Zawada. Jej córka nie wróciła wczoraj do domu...

Rozdział 15



Deszcz spływał po twarzy Anny, a krople gromadziły się na czubku nosa i skapywały na wodoodporny materiał służbowej kurtki. Ulewa sprawiła, że brzeg zalewu był zdradliwy i jeden nieuważny krok wystarczył, aby zjechać do wody po śliskiej trawie. Zdrojewska wpatrywała się długo w taflę jeziora, od której deszcz zdawał się odbijać jak od membrany bębna.

Nie tylko ona obserwowała policyjną łódź przeczesującą zbiornik. Mimo fatalnej pogody coraz więcej gapiów zbierało się na brzegach po obu stronach jeziora. Skupiła się na ponurych twarzach mężczyzn i kobiet, którzy zgromadzili się najbliżej punktu dowodzenia. Stali w milczeniu, nienawykli do zła. Nawet jeżeli wokół nich ciągle wydarzało się coś niewłaściwego, w naturalnym odruchu spychali to na obrzeża świadomości. Nie chcieli roztrząsać przyczyn, dla których ich sąsiedzi bili żony, wszczynali burdy po pijaku, zaniedbywali dzieci i katowali zwierzęta. Nabierali wody w usta, gdy Zdrojewska przychodziła do ich domów, szukając świadków przestępstw. Ale teraz miarka się przebrała. Dwie zamordowane dziewczyny i jedna, która na razie miała status zaginionej, to zbyt wiele, aby mogli udawać, że wszystko było w porządku...

Skupiła się na nawoływaniach dochodzących z oddali. Aleksandra Zawada miała sporo przyjaciół, którzy nie czekali, aż policja ją znajdzie. Jej imię niosło się echem od samego rana, a grupa poszukiwawcza zdawała się nie zwracać uwagi na pogarszającą się pogodę. Annie przyszło na myśl, że ktoś powinien skoordynować ich działania, bo poruszając się chaotycznie wzdłuż linii brzegowej, zdeptywali ewentualne ślady.

Wzdrygnęła się, gdy patrolujący jezioro funkcjonariusz skierował łódź do gęstych szuwarów znajdujących się kilkaset metrów od niej. Paski trzciny

przyklejały się do kadłuba, jakby chciały zatrzymać ratowników na miejscu, a Anna miała wrażenie, że łódź zwolniła, poddając się oddziaływaniu jeziora. W końcu jednak silnik znowu wszedł na najwyższe obroty, gdy motorówkę skierowano do kolejnego miejsca. Ramiona opadły jej bezwiednie, a gardło się rozluźniło. Znowu poczuła niewielką nadzieję...

Spojrzała na prokuratora Paluszkiewicza, który prowadził śledztwo w sprawie dwóch poprzednich dziewczyn, zastanawiając się, czy do niego podejść. Zdrojewską onieśmiał jego garnitur ze spodniami w kant i zaciśnięty na szyi krawat. Był tylko kilka lat starszy od niej, a osiągnął w firmie już całkiem sporo. Anna nieraz słyszała, jak jego nazwisko odmieniano przy różnych okazjach przez wszystkie przypadki.

Skoro pofatygował się do nich, mógłby ocenić jej hipotezę dotyczącą Gończarza – w końcu była jedyną, jaką mieli, i wydawała się pozbawiona dziur. Wiedziała, że nie powinna trzymać się sztywno swojej wersji ani dopasowywać do niej materiału dowodowego. Skoro Małecki zdawał się nie mieć otwartego umysłu w tej sprawie, to ona powinna zachować się profesjonalnie, a jednak coś podpowiadało jej, że niechęć komisarza do przesłuchiwania Gończarza miała drugie dno. Jeszcze nie potrafiła wskazać, o co w tym wszystkim chodzi, ale być może Paluszkiewicz pomoże jej dojść do sedna.

Ruszyła w jego kierunku, ale gdy oparł się o barierkę oddzielającą brzeg od ścieżki rowerowej i poluzował krawat, zwolniła kroku. Zupełnie tutaj nie pasował, może więc Małecki miał rację, trzymając go z daleka od śledztwa...

– Aspirant Zdrojewska! – Wezwanie szefa zdecydowało za nią. Podeszła do niego i przez chwilę przysłuchiwała się jego rozmowie z matką zaginionej.

Znała Jagodę Zawadę, która prowadziła koło gospodyń wiejskich w Czorsztynie, tak jak wcześniej robiła to matka Anny. Nadzorowała je twardą ręką, nie pozwalając, aby cokolwiek umknęło jej uwadze.

Jednak teraz Jagoda Zawada nie była w stanie utrzymać się na nogach. Przenosiła rozbiegany wzrok z Małeckiego na Zdrojewską, nie potrafiąc skupić się na ich pytaniach. Zawadzie bardziej przydałby się teraz psycholog, który być może potrafiłby do niej dotrzeć. Niemniej Małecki spróbował po raz kolejny.

– Pani Jagodo, ludzie gadają, że Ola prowadzi się ze Staszkiem Gorcem, to prawda? – Kobieta skinęła sztywno głową. – Czy to z nim wyszła wczoraj z domu?

Anna wiedziała, że Piotr Kurpiel próbował skontaktować się z chłopakiem od razu po otrzymaniu zgłoszenia, ale telefon Gorca pozostawał poza zasięgiem.

Zawada pociągnęła nosem i zadrżała, jakby dopiero teraz zauważyła zmianę w pogodzie. Być może odgłos nadlatującego od strony Nowego Targu helikoptera sprawił, że jej myśli się rozpieczęły i wreszcie mogła skupić się na policjantach. Anna spojrzała w górę akurat w momencie, gdy maszyna obniżyła lot, jeszcze bardziej wzburzając jezioro.

– Nie. Staszek wyjechał na robotę do Łodzi. Dach tam kładą u jakiegoś bogatego biznesmena. Nie ma go w Czorsztynie od kilku dni. – Musieli pochylić się w stronę kobiety, bo odgłos krążącej nad ich głowami maszyny zagłuszał jej słowa.

– Więc wyszła sama?

– Tak. Paweł Biernacki zadzwonił do niej, że urządza ognisko.

– Biernacki urządzał ognisko w Czorsztynie? – Małecki zmarszczył brwi. – Jest pani pewna?

Zdrojewska odwróciła się do szefa, którego głos brzmiał, jakby nie dowierzał słowom kobiety.

– Tak. Spieszyła się, jak wychodziła, bo podobno zadzwonił w ostatniej chwili.

Anna nie miała pojęcia, dlaczego ten fakt tak zdziwił naczelnika.

– To podobno była impreza u tego faceta, któremu wybudował tutaj dom. – Zawada rozszlochała się tak bardzo, że nie mogła wydusić z siebie nic więcej.

– Kruca fuks! – Małecki odwrócił się na pięcie, a gdy aspirant nie ruszyła za nim, spojrzał na nią poirytowany. – Zdrojewska, mam ci wysłać specjalne zaproszenie?



Maurycy Paluszkiewicz miał dość otaczającego go burdelu. Śledztwo zamiast posuwać się do przodu, utknęło w martwym punkcie, a teraz można było spodziewać się kolejnego trupa.

Miał złe przecucia wobec tej sprawy. Jego kariera zdawała się utknąć w martwym punkcie. Powinien już dawno zostać przeniesiony do Krakowa. Żona suszyła mu o to głowę każdego dnia. Dzieci zaraz dorosną i trzeba będzie myśleć o posłaniu ich do szkoły, a w Nowym Targu nie było podstawówek, które

spełniałyby wygórowane kryteria Marii Paluszkiewicz. Nie dziwił się jej. Gdy pobierali się tuż po studiach, obiecywał jej złote góry, a tymczasem kilka lat cierpliwie czekała, aż Maurycy skończy aplikację i zacznie przynosić do domu porządne pieniądze. Lata mijały, a oni nadal byli skazani na banicję na prowincji.

Powiódł wzrokiem po rozległym zbiorniku wodnym. Zielonkawy nalot pokrywał każdy kamień znajdujący się w pobliżu wody, a rozmiękczone przez deszcz nabrzeże było bardziej zdradliwe niż zwykle.

Jeziro stanowiło jedyny jasny akcent w jego żalosnej egzystencji na tym zadupiu, szczególnie w miesiącach, gdy mógł zwodować swój katamaran i spędzić kilka godzin w samotności. Koledzy z aplikacji zazdrościli mu też, że miał pod nosem trasę rowerową, o której mówili wszyscy w Polsce. Przeszło czterdziestokilometrowa pętla dookoła jeziora sprawiła, że w ostatnich latach wyrobił sobie niezłą kondycję.

Ale tego dnia zbiornik zdawał się odpychać wszystkich, którzy chcieli przeszukać rozległe tereny porośnięte przez trzciny.

Paluszkiewicz zapalił ostatniego papierosa, zerkając ze złością na miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą stał komisarz Małecki. Stary policjant działał zbyt opieszale, a liczba trupów najwyraźniej go przerosła.

Sprawca spełniał kryteria seryjnego. Pozostawione na ciałach dziewczyn ślady były swoistymi dziełami sztuki i dobitnie świadczyły o tym, że znajdował przyjemność w torturowaniu ofiar. Zabójca zameczał te kobiety, aby dać upust agresji eskalującej w jego umyśle. Magdalena Zachara mu nie wystarczyła. Ani Paulina Chryc. On się dopiero rozkręcał. A to oznaczało, że będą kolejne ofiary, aż w końcu przestanie sprzyjać mu szczęście. Zdaniem Maurycyego właśnie to różniło seryjnego od zwykłego zabójcy. Sprzyjało mu szczęście, a zadaniem śledczych było stanąć mu na drodze...

Prokurator przygarbił ramiona, gdy siekący deszcz spłynął mu za kołnierz kurtki. Lubił, kiedy padało, bo deszcz oczyszczał powietrze z pyłków, które utrudniały mu życie. Szczególnie w kwietniu, gdy pyliły brzozy, jego nos był bez przerwy zatkany, a oddech ciężki.

Zerknął na ciemne budynki osady, którą miał za plecami, przypominając sobie obrażenia na ciele Magdaleny Zachary. Wypaloną literę. Zapalniczkę schowaną w jej szafce...

Mieli do czynienia z kimś, kto planował te zabójstwa latami. Fantazjował o nich. A to oznaczało, że działał w sposób zorganizowany. W jego głowie już dawno zrodził się plan, którego będzie trzymał się bez żadnych odstępstw.

Prokurator miał przeczucie, że sprawca wróci na miejsce, w którym rozpoczął swoje dzieło. Że ta dziwna osada była kluczowa dla rozwiązania sprawy.

Zgasił niedopalonego papierosa i ruszył w kierunku grupki policjantów, którzy bezmyślnie obserwowali poszukiwania na jeziorze.

– Kto tutaj zastępuje Małeckiego? – Powiódł spojrzeniem po młodych twarzach. Oni również zostali zesłani do okolicznych komisariatów, zupełnie jak on, co sprawiło, że spojrzał na nich przychylniejszym okiem.

– To chyba ja... – Jeden z nich w końcu zrobił krok do przodu.

– Chyba? – Maurycy miał ochotę parsknąć śmiechem. – Jak się nazywasz?

– Aspirant Piotr Kurpiel, panie prokuratorze.

– W takim razie, Kurpiel, zbierz ekipę i przeszukajcie osadę. – Wskazał brodą na budynki. – Macie obejrzyć każdą pieprzoną deskę w podłodze. Strychy, piwnice, podwórka... Wszystko. Rozumiesz mnie?

– Oczywiście, panie prokuratorze.

– No to się ruszcie. Nie mamy dużo czasu.

Obserwował, jak odchodzą, a potem Kurpiel podzielił ich na grupy. Znikali w kolejnych budynkach, a on miał nadzieję, że nie powrócą z pustymi rękami. Osada musiała skrywać coś, co mogło popchnąć to śledztwo do przodu...



Komisarz Małecki postanowił prowadzić radiowóz osobiście. Wyrwał kluczyki z dłoni młodego chłopaka i przepchnął się obok niego do służbowego opla, stękając z wysiłkiem, gdy zorientował się, że fotel kierowcy był przysunięty zbyt blisko do kierownicy i nie miał szans wcisnąć tam swojego wydatnego brzucha.

Stary policjant był wściekły, bo wraz ze sprowadzeniem się do Czorsztyna Igora Schutta zdawały się powrócić tutaj wszystkie demony. Minęło już wiele lat od dnia, gdy Hilderbrandt przyszedł do niego ze swoimi podejrzeniami. Co by się stało, gdyby komisarz postąpił wtedy inaczej? Jak wyglądałaby przyszłość, gdyby od początku działał bardziej zdecydowanie?

Dawniej...

– Usiądź, Piotrze. – Komisarz Ryszard Małecki wskazał dłonią krzesło, przyglądając się jednocześnie Hilderbrandtowi, w którym w ciągu ostatnich tygodni zaszła ogromna zmiana. Jego oczy dziwnie błyszcząły, a na twarzy pojawił się chorobliwy rumieniec. – Opowiedz spokojnie, z czym przychodzisz.

Hilderbrandt zmrużył oczy, jakby zastanawiał się, czy policjantowi można zaufać. Siedzieli w niewielkim gabinecie, do którego komisarz przyprowadził Piotra z dyżurki.

– Na terenie wykopalisk dokonaliśmy pewnego odkrycia. – Piotr obserwował Małeckiego, czekając na jego reakcję, więc komisarz w końcu odezwał się, aby wypełnić czymś ciszę.

– Zdawało mi się, że nie pracujesz już na wykopaliskach...

– To prawda, ale kości zostały znalezione, gdy jeszcze byłem kierownikiem. Magiera miał to zgłosić oficjalnie, ale z jakiegoś powodu tego nie zrobił.

– Ależ nie... Magiera był u mnie w tej sprawie. Po prostu nie jest przekonany do twojej wersji zdarzeń. Uważa, że kości są dużo starsze, niż te, które odkryliście na cmentarzu. Nawet jeżeli znalazły się w ziemi w wyniku czynu karalnego, sprawa i tak już się przedawniła.

– Chciałbym jednak, żeby policja zajęła się tą sprawą. Uważam, że to nie jest robota dla archeologów.

Komisarz westchnął, bo zrozumiał, że będzie musiał pociągnąć za kilka sznurków. Być może wpędzi Hilderbrandta w kłopoty, aby przestał interesować się kośćmi...

– Zrobimy tak... – Udał, że naprawdę szukał najlepszego rozwiązania. – Na razie nie przyjmę twojego zgłoszenia. W wolnej chwili podjadę do Maniów i zastanowimy się, co z tym zrobić.

– Wolałbym jednak...

– Posłuchaj mnie. – Małecki uniósł się z fotela i teraz górował nad archeologiem. – Mamy tutaj niezły burdel, a przez tych cholernych ekologów będzie jeszcze gorzej.

Zrobił długą przerwę dla lepszego efektu, mając nadzieję, że Piotr zrozumie powagę sytuacji.

– *To, co leżało w ziemi wiele lat, może poczekać chyba jeszcze kilka godzin?*

Piotr wyglądał na niezdecydowanego. Być może Małecki nie był tak przekonujący, jak mu się wydawało. Jednak po chwili Hilderbrandt podniósł się z krzesła i skinął mu głową.

– *Do końca tygodnia... Tylko tyle mogę z tym poczekać.*

Kiedy kroki Piotra ucichły, Małecki podniósł słuchawkę i niechętnie wybrał numer. Nie lubił przyznawać się do słabości, a skorzystanie z pomocy mężczyzny, którego głos rozległ się w słuchawce, było swego rodzaju porażką.

– *Mamy problem... Piotr Hilderbrandt może zacząć sprawiać kłopoty...*

Komisarzowi huczało w głowie od nadmiaru wspomnień. Niechętnie wrócił do terażniejszości, gdy Zdrojewska zadała mu jakieś pytanie, którego nie usłyszał.

Chciał tylko odrobiny spokoju, aby rozważyć swoje opcje. Czy powinien skupić się na Schutcie lub seryjnym, który wybierał te dziewczyny z powodów, których policja na razie nie potrafiła ustalić?

Czy może zwrócić się ku przeszłości i tam szukać prawdziwego motywu działań?

Tak czy inaczej, w tym momencie pisarz zdawał się doskonałym rozwiązaniem. Był nowy w okolicy i miał na koncie wyrok. Nawet jeżeli niektóre elementy nie pasowały do reszty, komisarz mógł przekonać Paluszkiewicza, żeby skierował swoje działania w stronę Schutta.

Ruszył od razu, gdy Zdrojewska zajęła miejsce na fotelu pasażera. Denerwowała go jej dzisiejsza opieszałość. Gdy nie istniały ku temu powody, była gotowa wyciągać go z łóżka i oprowadzać po cmentarzu w środku nocy, a kiedy była naprawdę potrzebna, działała z marazmem, do którego nie przywykł. Nawet ją rozumiał. Zatrudniając się na komendzie w Czorsztynie, pewnie nie oczekiwała, że trafi się jej seryjny. Być może spodziewała się jednego lub dwóch trupów wyciągniętych z zalewu w sezonie letnim. Czasami zbyt rozbawiony turysta wpadał do wody, przysparzając im roboty. Zwłoki miejscowych dziewczyn, które Zdrojewska pewnie знаła, były dla niej najwyraźniej zbyt dużym obciążeniem.

Niemniej nie zamierzał jej niańczyć. Jeżeli chciała zająć w przyszłości jego miejsce, powinna być twardsza niż Piotrek Kurpiel. Małecki nigdy by się do tego

nie przyznał, ale często sam nakręcał ten ich wyścig po władzę. Patrzenie, jak wija się, żeby zrobić na nim wrażenie, było jedną z niewielu rozrywek, jakie mu jeszcze pozostały.

– Wejdę do środka i zorientuję się w sytuacji, a ty ściągnij tu techników. – Odwrócił do niej twarz, czekając na potwierdzenie.

W głowie pojawiła mu się myśl, że niepotrzebnie włókł ją tutaj ze sobą. Z drugiej strony stanowiła doskonałą wymówkę. Jeżeli będzie zmuszony posunąć się do ostateczności, Zdrojewska z całą pewnością zaświadczy na jego korzyść...

– Załatwiać papiery z sądu?

– Na razie zrobimy to na blachę, później zajmiemy się formalnościami.

– Ale... – Nie czekał, aż policjantka rozwinie myśl. Sprawdził służbowego walthera i wysiadł z samochodu. Dobrze wiedział, że jeżeli da jej szansę, od razu wywiąże się między nimi dyskusja, a on nie miał na to czasu. Musiał działać szybko, zanim pozostali przyjadą na miejsce.

Podszedł do drzwi i nacisnął klamkę, która od razu ustąpiła pod jego dłonią. Ciało zalała mu adrenalina i na moment przypomniał sobie, jak to było, gdy miał dwadzieścia lat i wydawało mu się, że jest wszechmocny. Wrażenie było tak intensywne, że nawet jego oddech zdawał się lżejszy, a kroki bardziej sprężyste.



Komórka Igora piknęła kilkakrotnie, informując go o nadejściu nowych e-maili. Spodziewał się jedynie spamu, bo jego konto było zbyt świeże, jednak sięgnął odruchowo do kieszeni.

Otworzył pierwszą wiadomość, którą wysłano do niego z wydawnictwa, i przebiegł wzrokiem po krótkim tekście. „Jeżeli będziesz potrzebował czegoś mocniejszego – daj znać. Z niecierpliwością czekam na owoce twojej pracy. Jeremiasz Podolski”.

Wszedł w pierwszy plik załączony do e-maila i z obrzydzeniem odłożył telefon na kuchenny blat.

Nie był przewrażliwiony, jednak zdjęcie, które przysłał mu Podolski, wywołało u niego odruch wymiotny. I nie chodziło o dokładność, z jaką ktoś uwiecznił zbrodnię. Podolski być może nie miał pojęcia o wydarzeniach, które rozegrały się

w okolicy w ciągu ostatnich tygodni, a jednak jakimś cudem udało mu się przysłać Igorowi dokumentację zbrodni bliźniaczo podobnej do tej, którą popełniono nad Zalewem Czorszyńskim. Podobne umiejscowienie ran, ułożenie ciał ofiar, poszarpane tkanki odcinające się od sianej skóry... Gdyby nie brak wypalonych na bokach ofiar liter, można by przyjąć, że zdjęcia zostały zrobione przez zabójcę znad jeziora.

Igora oblał zimny pot, gdy pierwsze podejrzenie pojawiło mu się w głowie. A co jeżeli... Podolski mówił o inspiracji dla jego twórczości z takim zaangażowaniem, wręcz pasją. Opisy, w które włożył wiele wysiłku i nieprzespanych nocy, Podolskiego wydawały się podniecać.

Podniósł telefon i wybrał numer Pawła. Impreza skończyła się dopiero, gdy zaczynało świtać, a Biernacki zdematerializował się wraz z ostatnimi gośćmi, jak miał w zwyczaju. Igor nawet się nie zdziwił, że sam musiał posprzątać burdel, jaki po sobie zostawili.

Przysunął się do okna i obserwował rudego kota, który przechadzał się po podwórku. Zwierzak pokręcił się chwilę przy studni, a gdy w końcu usiadł na tarasie, Igor w przyływie impulsu uchylił dla niego drzwi.

– Wygląda na to, że jesteś tu zdomowiony bardziej niż ja – wymamrotał, gdy kot otarł się o jego nogi, czmychając wprost do kuchni. Złapał go za kark i uniósł z podłogi, a rudzielec zasyczał ostrzegawczo. Miał poszarpane ucho i bliznę na różowym nosie. Jego sierść była szorstka i nieprzyjemna w dotyku. Idealny kompan dla kogoś takiego jak on.

– Uważaj... niegrzeczne kiciusie lądują w ciasnych workach. Nie chciałbyś chyba tak głupio skończyć? – Gdy odstawił go na podłogę, sierściuch miauknął z dezaprobatą.

Idealnie... Gdyby zaczął wydawać z siebie przymilne pomruki, straciłby do niego szacunek. Przyglądał mu się jeszcze chwilę, aż usłyszał głos Biernackiego.

– Chryste, nie dajesz za wygraną, co? – wychrypiął prosto do słuchawki, a Igor otworzył szafkę, aby poszukać czystej miski. – Czego chcesz?

– Powiedzieć ci, że ostatni raz wykorzystasteś mój dom do swoich celów. – Igor nalał mleka do miski i postawił ją na podłodze. Gdzieś czytał, że koty lepiej tolerują wodę, jednak ten wyglądał, jakby było mu wszystko jedno.

– Dla swoich celów? Urządziłem tę imprezę dla ciebie. – Paweł zdawał się teraz bardziej trzeźwy.

– Nie prosiłem cię o to – warknął, zastanawiając się, dlaczego Paweł nie potrafił zrozumieć prostej prośby. – Chcesz urządzić imprezy w Czorsztynie, zgłoś się do swojej rodziny. A może mają cię dosyć i nie jesteś tam mile widziany?

– Wal się.

– Jak dobrze znasz Jeremiasza Podolskiego? – Schutt pochwycił dźwięk odpalanej zapalniczki.

– Tego oblecha? – W głosie Biernackiego pojawiło się zdziwienie. – A dlaczego pytasz?

– Bez powodu.

– Tyle, ile jest mi potrzebne, żeby dbać o twoje interesy. – Gdzieś w tle ich rozmowy rozbrzmiał zachrypnięty kobiecy głos, a Igor poczuł ukłucie zazdrości. – To on jako pierwszy przeczytał *Żar*, gdy wysłałem propozycję do wydawnictwa.

– Myślisz, że byłby skłonny do popełnienia przestępstwa? – Igor dobierał ostrożnie słowa. Z każdą mijającą minutą miał wrażenie, że jego teoria była idiotyczna.

– A co? Z domu zniknęły wczoraj jakieś fanty? – Paweł się roześmiał. – Nawet bym się nie dziwił. Facet ma na twoim punkcie pierdolca, chociaż trzeba mu przyznać, że jest niezły. Podobno czasem robi nawet *research* do książek swoich autorów.

Igor poczuł, jak jego blizny na plecach się napięły, a zimne macki oplotły mu klatkę piersiową. Czekał, aż Paweł doda coś jeszcze, a jego milczenie sprawiało, że coraz mocniej zaciskał palce na słuchawce. Na usta cisnęły mu się kolejne pytania. Popadał w paranoję, próbując znaleźć wytłumaczenie dla wskazówek, które ktoś mu zostawił. Czuł, że coś łączyło go z tą sprawą, i Podolski zdawał się najoczywistszym rozwiązaniem.

Otworzył usta, ale zanim zdążył zadać pytanie, poczuł dotyk chłodnego metalu na karku.

– Odłóż telefon, natychmiast! – Zamarł, a następnie wykonał polecenie. Zanim odwrócił się do policjanta, zamknął oczy, żeby się uspokoić.

– Chyba mamy do pogadania... Z kim rozmawiałeś?

Krew pulsowała mu w uszach, gdy Małecki pchnął go lekko. Dotyk lufy uświadomił mu, że komisarz jeszcze z nim nie skończył. Musiał ostrożnie dobierać słowa.

– Z Pawłem Biernackim. – Igor nie widział sensu w ukrywaniu tego faktu.

– Coście zrobili Aleksandrze Zawadzie? – Komisarz nie spuszczał z niego wzroku, jakby chciał zajrzeć mu do środka czaszki.

– Komu?

– Nie pierdol mi tutaj, Schutt. Dobrze wiesz, o kogo chodzi. Była wczoraj na twoim przyjęciu. – Małecki wykonał gest wyrażający zniecierpliwienie. – Lepiej, żebyś sobie przypomniał.

– To nie ja zapraszałem ludzi na imprezę. Pan pyta o to Pawła. – Igor poczuł, że zdradził Biernackiego, ale zaraz odsunął od siebie wyrzuty sumienia. – Czy coś jej się stało?

Policjant nie zaszczycił go odpowiedzią, a Igor poczuł, że ponownie traci kontrolę nad własnym życiem, gdy do salonu weszli kolejni funkcjonariusze.

– Panie komisarzu. – Schutt skupił się na drobnej brunetce, która odezwała się chrapliwym głosem. Nie umknął mu fakt, że wbiła wzrok w dłoń Małeckiego, w której nadal trzymał służbową broń. – Możemy zaczynać...

– Doskonale. – Małecki tym razem spojrzął na Igora z ponurym uśmiechem. – Przeszukajcie każdy kąt. Ta dziewczyna ma się znaleźć.

Co tu się do cholery wyprawiało? Schutt obserwował policjantów, którzy nanosili błoto na ledwo posprzątane podłogi. Trzaskały drzwi otwieranych i zamykanych naprędce szaf. Nie umknął mu szelest wysuwanych szuflad, gdy jakiś geniusz uznał, że Igor byłby w stanie wcisnąć zwłoki w takie miejsce.

Skupił się na policjantce, która odezwała się wcześniej, chociaż z racji wieku nie mogła być szczególnie doświadczona. Zwrócił uwagę na jej długi warkocz przerzucony przez prawe ramię.

Rozglądała się po salonie z zaciekawieniem, jednak nie ruszała jego rzeczy osobistych, tak jak komisarz, który panoszył się w każdym pomieszczeniu. Kiedy jej szef zajął się przeszukiwaniem domu, dziewczyna uśmiechnęła się do Igora przepaszająco, a jej policzki nieznacznie się zaczerwieniły. Nie odezwała się nawet słowem, jednak Schutt uznał to za dobry znak. Potrzebował teraz sojuszników, a ona naturalnie się na takiego nadawała.

– Wyjaśni mi pani, co się tutaj dzieje? Istnieją jakieś racjonalne powody, żeby wywracać mój dom do góry nogami?

Wzruszyła ramionami, uciekając wzrokiem. Igor podszedł do komputera, ciekaw, czy znajdzie jej nazwisko na stronie miejscowej komendy. Monitor rozświetlił się, ukazując dokument w programie, którego używał do pisania.

Przejechał palcami po klawiaturze, ale zanim komputer przełączył stronę na wyszukiwarke internetową, jego uwagę przykuły zdania zaznaczone grubą czcionką. Sam nigdy nie zawracał sobie głowy upiększaniem tekstu. To zadanie należało do współpracującego z nim redaktora. Pochylił się instynktownie, a gdy dotarło do niego, że wpatrywał się w słowa, których nie napisał, zaszumiało mu w uszach. Miał wrażenie, że wszyscy nagle zniknęli. Był tylko on i to cholerne zdanie, od którego nie potrafił oderwać wzroku.

Szybko zatrzasnął klapę laptopa i odwrócił się od biurka. Musiał natychmiast pozbyć się stąd tych ludzi albo wymyślić, jak wytłumaczy im, że ktoś zostawił dla niego kolejną wskazówkę.

Rozdział 16



„PRZESZŁOŚĆ JEST WSZYSTKIM... IIIK 285/07”

Przeszłość...

Ten, kto napisał te słowa, musiał wiedzieć, że Schutt był w niej zagrzebany po uszy. Nawet gdyby chciał, nie potrafił zacząć od nowa. Przeszłość go definiowała. Stare rany, złe uczynki, zaniedbania. Każdy pieprzony dzień odciskał się piętnem na jego teraźniejszości.

– Wszystko w porządku? – Policjantka przyglądała mu się, marszcząc brwi.

– Nie bardzo. – Wiedział, że musi działać. Inaczej Małecki dobierze się do jego laptopa i znowu znajdzie coś, czego nie powinien oglądać. Skrzynka e-mailowa nie była co prawda uruchomiona, jednak w końcu dotarłby do zdjęć, które wysłał mu Podolski. – Uświadomiłem sobie właśnie, że nikt nie pokazał mi nakazu przeszukania. Macie papiery, żeby wchodzić do mojego domu?

– Będziemy mieć. – Uśmiechnęła się uprzejmie i zerknęła na zegarek. – Prokurator zatwierdzi przeszukanie, jak tylko skończymy czynności.

– Oby – wycedził, a gdy zrozumiał, że nic nie wskóra, dodał: – Nie znam tej dziewczyny. Nie mam pojęcia, jak wygląda, kim jest ani że wybierała się do mojego domu...

Policjantka nie spojrzała na niego, ale zauważył, że westchnęła. Poczuł, że może ją przekonać. Nie była na niego cięta jak Małecki.

– Strzelacie na oślep, prawda? W końcu jaki miałbym motyw, żeby zabijać te dziewczyny?

– Aleksandra Zawada nie została jeszcze znaleziona. – Odwróciła się do niego, mrużąc oczy. – Chyba że chce się pan do czegoś przyznać?

Milczeli długą chwilę, wpatrując się w siebie, aż w końcu kobieta zaplotła ręce na piersiach.

– A pan co by zrobił na naszym miejscu? W końcu zna się pan na takich potworach, jak nikt inny.

Igor spojrział na nią z rozmysłem, próbując przypomnieć sobie jej nazwisko. To pewnie o niej wspominał Małecki w trakcie przesłuchania.

– Połączyłbym kropki. – Wzruszył ramionami, chociaż wcale nie był pewien, czy te słowa mu nie zaszkodzą. Najpierw sam musiałby zrozumieć, dlaczego został wplątany w tę sprawę. W końcu postanowił jednak zaryzykować. – Zawsze istnieje jakaś historia w tle, która sprawia, że seryjni robią pierwszy krok. Czy wie pani, że dziewięćdziesiąt jeden procent mężczyzn i osiemdziesiąt cztery procent kobiet przynajmniej raz w życiu wyobraża sobie, że kogoś zabijają? Tylko że większość z nas tego nie robi. Ale mordercy tak... Mają powód albo myślą, że istnieje usprawiedliwienie dla ich czynów.

– Skończył pan psychologię? – W głosie policjantki zabrzmiała kpina, ale Schutt miał to gdzieś. Wystarczyło mu, że go słuchała.

– Nie, ale to podstawowa wiedza. Nigdy nie analizowała pani powodów, z jakich seryjnym mordercom puszczają hamulce? Proszę spojrzeć chociażby na Leszka Pękalskiego. Zeznał, że cała wieś naśmiewała się z niego w dzieciństwie. W internacie musiał jeść mydło, był bity i dręczony. Skończył z ponad sześćdziesięcioma ofiarami na koncie. A David Berkowitz? Zaczął zabijać, gdy odnalazł biologiczną matkę, która nie chciała uznać go za syna. Ted Bundy zaiskrzył, gdy po raz kolejny zerwała z nim dziewczyna. Ed Kemper zastrzelił babkę po gwałtownej kłótni z matką. – Zawiesił głos, a gdy nic nie powiedziała, podjął swój wywód. – Nieważne, czy mówimy o jednorazowym zabójcy, czy o seryjnym. Ich czyny wynikają z otaczającego ich środowiska. Sprawca zawsze mierzy w określoną grupę społeczną. Jego zbrodnia jest jak złożenie publicznej deklaracji...

Policjantka przysłuchiwała się jego wywodom w zamyśleniu, a jego uderzyły własne słowa. Właśnie to nie pasowało do Jeremiasza Podolskiego, chociaż – jak słusznie zauważyła ta kobieta – nie był psychologiem, więc jego wiedza w tym zakresie była ograniczona.

– Mógłbym wymieniać bez końca, ale wszystko sprowadza się do przeszłości. To tam należy szukać motywu zbrodni, a gdy go już znajdziecie, ustalicie, kto zabija te biedne dziewczyny...



Mieczysław Gończarz wpatrywał się w ścianę, z której szara farba odchodziła grubymi płatami. Tuż pod oknem utworzyła się spora dziura, wymagająca szybkiego załatania.

Gdyby Małecki potraktował go lepiej, pewnie sam zaproponowałby, że wykona drobną naprawę. Znał się na budowlance. W ciągu całego życia niejednego chłopaka wyuczył fachu. Gdyby los go oszczędził, być może miałby teraz swoją firmę, jak Józek Gorec, ale było jak było i jedyne pieniądze, jakie zarabiał Gończarz, to te za bimber pędzony w starej szopie.

Zacisnął dłonie w pięści, bo drżały coraz bardziej, ale ten gest nie przyniósł mu ulgi. Potrzebował, żeby alkohol wypalił mu piekącą ścieżkę w przełyku. Zacier, który przelał wczoraj do swojej starej butli, już pewnie pracował, przerabiając cukier na porządny samogon. W tym roku planował zwiększyć produkcję. Od kiedy jego wyrób stał się podstawą nalewek Zacharowej, bimber schodził w dużych ilościach. Ale po śmierci Magdy Zacharowa może nie być w nastroju, żeby przygotowywać te swoje słodkie specjały...

Nie chciał myśleć o Magdzie. Pamiętał, jak latała na bosaka przy jego płocie, szukając okazji do psot. A potem wyrosła na piękną pannicę. A teraz nie żyła...

Przypomniawszy sobie słowa swojej zmarłej matki, które słyszał codziennie przez ostatnie kilkanaście lat.

To dlatego zaczął pić. Wbijala mu do głowy każdego dnia tę samą mantrę. Przypominała sprawy, o których chciał zapomnieć. Nie rozumiał, dlaczego nagle zmieniła zdanie. Czyżby stojąc nad grobem pojęła, że tamten pożar pochłonął znacznie więcej ofiar niż tylko rodzinę Hilderbrandtów?

Ich dzieci...

Sławka...

A teraz prawdopodobnie te dziewczyny...

Pomyślał o mężczyźnie, który kiedyś był jego najlepszym przyjacielem. O planach, jakie snuli. O szczęśliwej przyszłości mogącej być udziałem każdego z nich. Gdyby życie potoczyło się inaczej, pewnie razem prowadziliby teraz interes budowlany. Może zamiast pić samogon, Mieczysław huśtałby na kolanach wnuki.

Ale jedna błędna decyzja przekreśliła to wszystko. Gdyby się wtedy nie ugiął... Gdyby postawił się Małeckiemu, nie zaufał jego obietnicom...

A teraz mógł skończyć tak samo jak Sławek. Kto mieczem wojuje, ten od miecza ginie. Być może teraz przyszła jego kolej...

Ciałem Gończarza wstrząsnął gorzki śmiech, a gdy w końcu się opanował, znowu skierował wzrok na farbę odpadającą ze ścian komendy.



– Panie prokuratorze! – Gwałtowne stukanie sprawiło, że Maurycy poderwał głowę znad akt, które czytał w ciepłym wnętrzu samochodu.

– Znaleźliście ją? – Opuścił szybę w służbowym peugeocie i wpatrywał się z napięciem w aspiranta, którego nazwisko już wyleciało mu z głowy.

– Nie, ale... – Policjant zawahał się. – Musi pan to zobaczyć.

Paluszkiewicz westchnął ciężko i odłożył akta na fotel pasażera. Nie miał ochoty opuszczać samochodu, w którym schronił się przed siąpiącym deszczem i coraz bardziej przygnębiającą atmosferą poszukiwań. Donośne krzyki nawołujących zaginioną dziewczynę mieszkańców, którzy zorganizowali się spontanicznie, stawały się coraz bardziej apatyczne. Tak jakby zdawali sobie sprawę, że każda upływająca minuta oddalała ich od znalezienia Aleksandry Zawady, a ich wysiłki są bezcelowe.

– Prowadź. – Prokurator zaciągnął zamek przeciwdeszczowej kurtki i ruszył za policjantem. Oby ta męka była warta opuszczenia wnętrza auta przesiąkniętego papierosowym dymem. Tylko w tym samochodzie mógł sobie pozwolić na bezkarne wypalanie kolejnych szlugów. Maria nie tolerowała jego nałogu i stanowczo zabraniała mu palić przy dzieciakach.

Kroczący przed nim funkcjonariusz poślizgnął się na mokrej trawie i jego palce zagłębiły się w ziemi, gdy podparł się, aby złapać równowagę. Zbliżyli się do osady i Maurycy zaczął wyczuwać atmosferę, którą roztaczały wokół siebie stare

budynki. Za każdym załomem czaił się mrok. Powietrze przesiąknięte było czymś, czego nie potrafił zinterpretować, ale zawilgocone elewacje sprawiały, że miał ochotę odwrócić się i odejść. A przecież nie był nawet przesądny. Do wszystkiego podchodził racjonalnie, wręcz z naukową precyzją. Dlaczego więc to miejsce było inne?

– Tędy. – Policjant wskazał na rozdeptaną trawę przed jednym z ostatnich budynków w osadzie. – Proszę uważać na schodach. Nie są w najlepszym stanie.

Maurycy uwielbiał to uczucie, towarzyszące mu tuż przed wejściem na miejsce zbrodni. Zmysły wyostrzały się jak u polującego drapieżnika. Cała uwaga była skierowana na ten jeden punkt, gdzie zwykle leżało ciało.

Wspiął się na strych po prowizorycznych schodach, które bardziej przypominały solidną drabinę, i od razu sięgnął do kieszeni po inhalator. Woń kurzu sprawiła, że oddychał ciężko, a jego oskrzela wydawały nieprzyjemny świszczący odgłos.

Pochylił głowę, aby nie uderzyć w belki stropowe, i czekał, aż jego wzrok przyzwyczai się do panującego dookoła mroku. Na górze oprócz niego i aspiranta przebywało jeszcze dwóch mężczyzn. Pochylali się nad pudłami ułożonymi w nierówny stos w najmniej dostępnej części strychu.

– Co tam macie? – Nie zareagowali na jego słowa, nadal wpatrując się w coś, czego ze swojego miejsca nie potrafił dostrzec.

Przepchnął się obok nich i gwałtownie zatrzymał, gdy w końcu zrozumiał, co znaleźli.

– Co to jest? – Pytanie było zbędne. Nikt nie miał wątpliwości, czym zostały wypełnione pudła.

Maurycy przykucnął, żeby przyjrzeć się znalezisku z bliska. Nierówne zęby czaszek szczyrzyły się do niego w drwiącym grymasie. Czerń pustych oczodołów kontrastowała z bielą kości. Wzdrygnął się na myśl, że niektóre z nich zmieściłyby się w jego dłoni. Cokolwiek się wydarzyło lata temu, dotknęło dzieci w wieku jego własnych...

Wyciągnął rękę, aby podnieść jedną z czaszek, ale powstrzymał go stojący po jego prawej stronie policjant, kładąc dłoń na jego ramieniu.

– Lepiej nie, panie prokuratorze. Nie wiadomo, co za zaraza wybiła te dzieci...

– Zaraza... – Potrząsnął inhalatorem i zaaplikował sobie lek, gdy zdał sobie sprawę, że nie powinni ruszać kości bez odpowiedniego sprzętu. – Dobra... Niech

technicy ogarną ten bałagan. Trzeba przewieźć to do zakładu medycyny sądowej. Niech określą wiek kości.

Podniósł się i ostatni raz powiódł spojrzeniem po zawilgotniałych kartonach. Co tu się do cholery wydarzyło? Będzie musiał popytać starych śledczych w wydziale. Być może ktoś prowadził sprawę dotyczącą zaginięcia tych dzieci. Miał przeczucie, że nikt nie ukryłby kartonów ze szczątkami ludzi, gdyby ich wybiła śmiertelna choroba.

Rozdział 17



Dobrochna zatrzymała się na tyle blisko osady, aby dostrzec policjantów wynoszących z jednego z budynków kartony, które znała tak dobrze.

Wspomnienia wracały do niej jedno po drugim. Ojca układającego kości drżącymi dłońmi. Wściekłości na twarzy Magiery, gdy zorientował się, że tajemnica wymknęła mu się z rąk. Tego ostatniego wieczora, gdy koperta została upchnięta pod klepką w podłodze.

Wyciągnęła ją ze skrytki, jak tylko okazało się, że nadszedł czas, aby wypełnić wolę ojca.

„Otwórz, gdy znajdą kości”.

Słowa wypisane ręką ojca rozplynęły się, zmoczone przez coraz mocniej siekący deszcz, ale to nie zmieniało faktu, że będzie musiała się zmierzyć z brzemieniem, które ojciec nosił na swoich barkach przez tyle lat. Od tej chwili miało być jej udziałem, jednak po raz pierwszy poczuła, że nie chce walczyć sama. Że znalazła kogoś, komu mogła zaufać.

Spojrzała na odległy brzeg. Dom Igora był z miejsca, w którym stała, widoczny jak na dłoni. Ścisnęła kierownicę roweru tak bardzo, że pobieląły jej palce. To powinna być prosta decyzja, ale nadal nie była pewna, czy chciała wciągać go w tę historię.

Gdyby mogła, spaliłaby osadę do gołej ziemi. Piękne budynki zniknęłyby w płomieniach, które powinny pochłonąć je już dawno temu.

Ojciec opowiadał jej, że jeszcze zanim przeniesiono je tutaj przed zalaniem Maniów, wieś w znacznym stopniu strawił olbrzymi pożar. Blisko sto zagród spłonęło w tysiąc sześćset piętnastym roku, a i tak zdołano odbudować to miejsce.

Tak jakby osada nie chciała się poddać. Pragnęła mieć władzę nad mieszkańcami okolicy, mimo że oni nawet nie zdawali sobie z tego sprawy...

Wsunęła się na siodełko i ruszyła, nie oglądając się więcej na osadę. Zostawiała za sobą ciemne budynki i krzyki okolicznych mieszkańców. Wzburzone wody jeziora nie ułatwiały poszukiwań Oli Zawady. Deszcz zniechęcał ludzi, którzy coraz mniej licznie przeczesywali okolicę. Sprawił, że sukienka przykleiła się jej do ciała i teraz Dobrochna drżała przy każdym podmuchu wiatru. Była jednak zdeterminowana, aby dotrzeć na miejsce jak najszybciej. Wyznanie prawdy wypędzi chłód z jej ciała.



Igor stał przed budynkiem, w którym mieścił się sąd okręgowy w Nowym Targu, zastanawiając się, czy zupełnie stracił instynkt samozachowawczy.

Być może gdyby nie został skazany, rozszyfrowanie pozostawionych mu wskazówek nie przysłoby mu tak łatwo. IIIK 285/07. Pod tą sygnaturą toczył się proces przeciwko mężczyźnie, który podpalił restaurację „U Szperlinga”. Wystarczyło wpisać ją do wyszukiwarki internetowej, a potem przejrzeć wyniki, które wyrzuciła. W końcu natrafił na sprawę związaną z osadą.

Zapalił papierosa, dając sobie czas do namysłu, i jeszcze raz spojrzął na zdjęcie artykułu, który znalazł w bibliotece.

...Po wkroczeniu do budynku strażacy znaleźli zwłoki trzydziestoosmioletniej kobiety i czterdziestoletniego mężczyzny. W pożarze zginęło małżeństwo Hilderbrandt, na co dzień zatrudnione w restauracji. Maria Hilderbrandt przez lata pomagała miejscowej ludności, natomiast Piotr Hilderbrandt w młodości był cenionym pracownikiem Uniwersytetu Jagiellońskiego na Wydziale Historycznym.

Dziennikarze „Tygodnika Podhalańskiego”, zajmujący się tą sprawą, próbowali dotrzeć do osób powiązanych z małżeństwem i właścicielem restauracji, jednak mieszkańcy Czorsztyna nie chcieli udzielić im żadnych informacji.

Niedopałek papierosa zasyczał pod podeszwą jego buta, gdy oderwał się od barierki. Pieprzyć to... Nie mogło być już gorzej. Małecki nie miał na razie żadnego

punktu zaczepienia, jednak Igor był pewien, że stary policjant mu nie odpuści. Do tego czasu Schutt powinien działać, bo być może to, co znajdzie, uratuje go przed najgorszym.

– Dzień dobry. Podobno mogę uzyskać u pań informację na temat prowadzonego postępowania. – Ręka drżała mu jeszcze, kiedy podawał sekretarce kartkę z nabazgraną sygnaturą sprawy.

– Jest pan stroną?

– Nie.

– W takim razie potrzebuję zgody sędziego na wgląd do akt. Posiada pan taką? – Dziewczyna nie spuszczała z niego badawczego spojrzenia.

– Niestety, nie...

– Musi pan wystąpić o zgodę. – Sięgnęła do szafki. – Proszę, tutaj ma pan formularz.

Od razu zabrał się do wypisywania wniosku, gdy druga sekretarka zerknęła na zapisaną przez niego kartkę.

– Poczekaj pan trochę na te akta.

– Dlaczego?

– Bo ta sprawa już dawno w archiwum jest. – Wzruszyła ramionami.

– Nie szkodzi. Mogę poczekać. – Wrócił do wypełniania druku i wpisywania swoich danych.

– Jak pan sobie chce. Ale i tak niewiele się pan dowie... – Przerwała gwałtownie, jakby zorientowała się, że powiedziała zbyt wiele.

Igor rzucił spojrzenie dziewczynie, która podała mu druk, ale zdawała się nie mieć pojęcia, o czym mówiła jej starsza koleżanka.

– Ma pani coś konkretnego na myśli?

– To ta sprawa, która była w decernacie sędziego Wawrzeckiego. Akta wypożyczył Małecki, który prowadził śledztwo, a potem okazało się, że zaginęły mu razem z kilkoma innymi. Była z tego afera i nawet chcieli wysłać go na wcześniejszą emeryturę, ale potem wszystko rozeszło się po kościach...

Im dłużej mówiła, tym łatwiej przychodziło jej zdradzanie kolejnych informacji.

– Dlaczego?

– Nikt nie miał wątpliwości, kto podpalił tych biednych ludzi, a facet nigdy nie odwołał się od wyroku. Nie było potrzeby, żeby dalej grzebać się w tej sprawie.

– Pani Mario! Dostanę w końcu te akta?! – Drzwi otworzyły się tak gwałtownie, że ułożone na biurkach sekretarek dokumenty uniosły się w powietrze.

Kobieta zgarnęła brązowe teczki i zniknęła za drzwiami, pozostawiając po sobie wrażenie niepokoju. Schutt spojrział na młodą sekretarkę, podejrzewając, że nie będzie dla niego źródłem informacji, jednak mimo to spróbował.

– Wie pani, o czym mówiła pani koleżanka?

– Nie mam pojęcia. – Rozłożyła bezradnie ręce, więc nie naciskał, tylko przesunął wypełniony wniosek w jej stronę.



Grupa mężczyzn obserwowała w ciszy policjantów wynoszących z budynku kartony wypełnione kośćmi.

– Cholerny Hilderbrandt... Pewnie śmieje się z nas teraz w piekle...

– W piekle? – Zbigniew Chryc potarł ramię, a materiał jego przemoczonego swetra rozciągnął się z nieprzyjemnym szelestem. Od dnia znalezienia ciała Pauliny wypił tyle bimbrowa, że teraz ledwo stał na nogach, a mimo to zdawał się brzmieć rozsądnie. – Nie sądzę, aby to on tam trafił.

– Przestań gadać głupoty, Zbyszek... – Waldemar Kobuz rzucił mu karcące spojrzenie, ale tamten zdawał się nim nie przejmować.

– Wspomnicie moje słowa. Duchy jeziora upomną się również o was. Tak samo jak zrobiły to ze mną. Będą nas niszczyć kawałek po kawałku, aż dostaną każdego...

Z jego ust wydobyło się coś pomiędzy szlochem a czknięciem, ale nikt nie miał ochoty wyśmiewać jego głupich przesądów. Prawda była taka, że każdy z nich myślał o tym samym. Piotrowi udało się ich oszukać. Schował czaszki tuż pod ich nosem. Niedaleko miejsca, gdzie zginął kilka tygodni później. A oni patrzyli teraz bezradnie, jak przeszłość powróciła, aby chwycić ich za gardła.

– Gdzie jest Małecki? – Stanisław Zawada potoczył dookoła nieprzytomnym wzrokiem. – Przecież to on tutaj dowodzi. Dlaczego nie powie im, żeby zostawili kości w spokoju?

– Widziałem, jak odjeżdżał gdzieś z Anią Zdrojewską. – Kobuz westchnął ciężko, zdając sobie sprawę, że nic nie byli już w stanie zrobić. Będą musieli zdać się na los. Być może zapłacić z opóźnieniem za swoje czyny. Ale sprawiedliwość właśnie nadchodziła. Coraz wyraźniej rysowała się na horyzoncie. – Idźcie do domów. Nic tu po nas.

– Ale przecież...

– Powiedziałem, nic tu po nas. Nie dawajcie im pretekstu, aby zwrócili na was uwagę.

Dawniej...

Piotr uniósł ostatnią czaszkę na wysokość twarzy. Była masywna i dobrze urzeźbiona, z silnie zawisłymi wałami nadoczodołowymi. Należała do dorosłego mężczyzny, który umarł prawdopodobnie kilkanaście lat temu. Piotr zapakował kości do kartonu, a te z cementarza porozkładał tak, aby nikt nie zorientował się, że część z nich została zabrana. Miał nadzieję, że nie przejrzą jego planu. Jediną osobą, która mogłaby dostrzec różnicę, był Magiera, ale Bogdan wyjechał do Krakowa, dając Piotrowi dwa dni, a właściwie dwie noce, na załatwienie tej sprawy.

Księżyc oświetlał jasnym blaskiem stanowisko, przy którym pracował, ale wykopaliska były pogrążone w całkowitej ciszy, więc nie obawiał się, że ktoś go zobaczy. Tylko nocne owady wypełniały świat swoją muzyką.

Podjął decyzję o zabraniu kości po wizycie na komendzie, gdy zorientował się, że Małecki miał go za szaleńca i nie zamierzał wysłuchać.

Piotr nie rozumiał, dlaczego Bogdan Magiera obstawał, żeby zostawić tę sprawę w spokoju. Przecież znał się na kościach. Potrafił odczytać ich wiek bez specjalistycznych badań, na podstawie stopnia zeszkieletowania. Musiał wiedzieć, że policja powinna wszcząć w tej sprawie śledztwo. Piotr był jednak zdeterminowany, aby rozwikłać zagadkę zmarłych, a do tego potrzebował ich kości.

Policzył w myślach kartony, które chował w stodole na tyłach domu już od kilku godzin. Odnosił wrażenie, że jego stopy pogłębiły ścieżkę przy lesie, którą pokonał kilkanaście razy.

W krzyżu strzeliło mu, gdy podniósł się z kolan, dźwigając karton. Kości zagrzechotały, jakby chciały już teraz opowiedzieć mu swoją historię.

– Cierpliwości... Jeszcze pozwolę wam przemówić – mruknął i nie zwracając uwagi na otoczenie, ruszył w stronę domu.

Rozdział 18



Marcin Kończal nie lubił swojej pracy, jednak miał już szesnaście lat i musiał samodzielnie zarobić na zbliżające się wakacje. Inni chłopcy z jego klasy pomagali w gospodarstwach swoich rodziców, jednak rodzina Marcina nie była majątna. Jedyną ich własność stanowiła stara chata na końcu Kluszkowców, z kawałkiem łąki, na której nie chciała wyrosnąć nawet porządna trawa. Z tego powodu w zeszłym roku ojciec pozbył się wychudzonej krowy, która mieszkała w stodole za domem, odkąd Marcin pamiętał. Bo co miała jeść?

Przychodził więc w każdy weekend od wczesnej wiosny do późnej jesieni na zamek w Czorsztynie i godzinami przesiadywał w sklepiku z pamiątkami, który był tak mały, że chłopak ledwo dawał radę okręcić się na stołku.

Praca miała jednak swoje zalety. Po pierwsze, oprócz pamiątek dostarczanych mu przez pracowników zamku wciskał ludziom po cichu również wyrzeźbione przez siebie figurki zwierząt, razem z informacją, że wszystkie zamieszkują okoliczne lasy. A Marcin był najlepszym rzeźbiarzem w szkole. W zeszłym roku reprezentował nawet swoje technikum na konkursie dla młodych talentów i zajął drugie miejsce. Wśród rzeźbionych dla turystów zwierząt były niedźwiedzie stojące na dwóch łapach. Wilki uchwycone w momencie, gdy rzucały się na nieświadomą niczego ofiarę. Sowy z sennie przymkniętymi powiekami. I rozpościerające skrzydła orły. Zarobek z figurek dawał mu drugą pensję, a staremu kustoszowi, który przemierzał puste korytarze, szurając stopami po zapiaszczonej podłodze, nawet nie przeszło przez myśl, że na jedną sprzedaną pamiątkę Marcinowi udawało się przehandlować przynajmniej trzy wyrzeźbione przez siebie figurki.

Poza tym turyści pojawiali się tutaj tłumnie dopiero w maju, więc cały kwiecień mógł poświęcić na czytanie książek przygodowych i podciąganie się na

wystających blokach skalnych. Robił to tak często, że w końcu jego chude ciało zaczęło nabierać przyzwoitych kształtów i już nie musiał się wstydzić, gdy latem rzucał koszulkę, aby skakać z urwiska do jeziora.

Poza tym miał coś, czego inni mogli mu pozazdrościć, a mianowicie niekończące się pokłady wyobraźni, która na zamku ożywała jak nigdzie indziej. Każdy podmuch wiatru świszczącego w opuszczonych zamkowych komnatach sprawiał, że umysł chłopaka uciekał w mroczne rejony.

A tego dnia wiatr był wyjątkowo porywisty. Uderzał w mury z taką zaciekłością, jakby chciał dokończyć dzieła rozpoczętego przez dawne wojska i ostatecznie obalić zamkowe ściany. Marcin wsłuchiwał się w przeciągłe świszczanie przez kilka godzin, aż w końcu zatrzasnął książkę i ruszył na obchód wychłodzonych korytarzy. Zimno było tak przenikliwe, że nawet zapięcie kurtki niewiele pomogło. Skóra na dłoniach szczypała go, więc wsunął je pod pachy, aby ogrzać się choć trochę. Podeszedł do ściany, po której woda deszczowa spływała obficie na drewniane podłogi, i uniósł twarz w stronę nieba. Chmury pędziły mgliste i ciemne jednocześnie. Kończył wyczuwał, że z nad gór nadciągała potężna burza. Dało się wychwycić zapach ozonu i mokrej ziemi.

Mimo coraz silniejszego deszczu wspiął się na górny taras i podeszedł do okalającego go muru. Powoli zapadał zmrok i ludzie poznajdywali sobie schronienia. Nikt nie wyściubiał nosa w taką pogodę. Zniknęły tłumy, które towarzyszyły dzień wcześniej poszukiwaniom Oli Zawady. Jezioro marszczyło się pod wpływem wiatru i deszczu siekącego o taflę, jednak wydawało się wyjątkowo spokojne.

Pomyślał o dziewczynie z żalem. Nie znał jej dobrze, ale zawsze była dla niego miła. Nigdy nie śmiała się z jego ubrań kupowanych w lumpeksie w Nowym Targu. Raz nawet zapytała go o książkę, którą akurat czytał. A teraz był pewien, że była martwa, jak pozostałe dwie ofiary...

Zerknął na zegarek. Do odbębnienia pozostała mu jeszcze godzina, ale w taką pogodę kustosz z całą pewnością nie przyjdzie go sprawdzić, mógł więc robić, co mu się podobało. Miał czas, żeby zejść do groty i rozpalić porządne ognisko, przy którym choć trochę się rozgrzeje, zanim wróci piechotą do domu.

Na wszelki wypadek rozejrzył się, a potem prześlizgnął przez szczelinę w murze, która prowadziła na ścieżkę ginącą w gęstych zaroślach. Poruszanie się ostro opadającym w dół zboczem w takich warunkach nie było rozsądne. Marcin kilka

razy poślizgnął się na mokrej trawie i w ostatniej chwili łapał równowagę, ale dzięki temu krew krążyła w jego żyłach szybciej, sprawiając, że ciało się rozgrzewało.

W końcu dotarł do niewielkiej jaskini graniczącej z brzegiem jeziora. Mało kto miał świadomość, że pod zamkiem jest takie miejsce. Marcin nie był pewien, czy którykolwiek z pracowników muzeum był tutaj choć raz, mimo że do groty prowadził wąski korytarz, którym można było dotrzeć do zamkowej studni.

Chłopak uwielbiał rozpalać tam ogień i patrzeć, jak fale próbowały wedrzeć się do środka. Szczególnie w taką pogodę, gdy w powietrzu wisiała wilgoć spadająca ze skał pękającymi kroplami.

Grota była pogrążona w mroku. Po omacku wygrzebał z kieszeni pudełko zapalek i podszedł do miejsca, gdzie ostatnio zostawił suche gałęzie. Gdy tylko się schylił, poczuł, że coś było nie tak. Stos, który wcześniej ułożył, został naruszony.

Potarł zapalną o draskę, jednak papier był zawilgocony i nie udało mu się wzniecić ognia. Spróbował jeszcze kilka razy, aż w końcu chybotały płomień zatańczył przy jego palcach. Kończył unieść dłoń, mrużąc oczy. Odnosił wrażenie, że w głębi jaskini dostrzegł jakiś kształt. Przełknął ślinę, uświadamiając sobie nagle, że wolałby, aby jego wyobraźnia nie podsuwała mu tak plastycznych obrazów. Znowu zadrżał, chociaż tym razem to nie zimno było powodem, że włosy uniosły mu się na przedramionach.

Marcin przeklął samego siebie za to, że zostawił telefon w sklepiku z pamiątkami. Teraz, gdy płomień parzył mu skórę, musiał w końcu rzucić zapalną na ziemię, tracąc nawet to niewielkie źródło światła.

Przesunął się nieznacznie w głąb jaskini, pozostawiając sobie możliwość ucieczki. Gdy zrobił kolejny krok, nadepnął na metalowy pręt, który przesunął się z nieprzyjemnym brzękiem po skale.

Jeszcze raz sięgnął po zapalną. Serce zabiło mu szybciej, gdy w ciemności zatlił się żółty blask ognia. Wyciągnął rękę, zbliżając się do ciemnego kształtu, a gdy w końcu udało mu się go oświetlić, gwałtownie odskoczył.



Kobuz stęknął, stawiając na brzegu wiadro z zanętą. Deszcz nadal nie odpuszczał, ale w taką pogodę ryby brały najlepiej. Gdyby ktoś spytał go, dlaczego tak się działo, pewnie powiedziałby, że krople deszczu spadające na tafle jeziora zmywały z drzew drobne owady, które wpadały do wody, zachęcając ryby do żerowania. Dałby głowę, że nie dostrzegały wtedy wędkarza, a on mógł wyciągać całkiem spore sztuki.

To wszystko nie miało jednak tego dnia znaczenia. Jego myśli bez ustanku zajmowały kartony z czaszkami.

To właśnie dlatego przełamał swoją niechęć i zszedł na działkę sąsiada, gdzie trzymał przymocowaną do pomostu łódkę. Nie umknęło mu, że policja interesowała się Schuttem. Małecki nie chciał o tym gadać, ale Waldemar nie był przecież głupi. Pod dom sąsiada podjechało zbyt wiele radiowozów, aby uznać to za błąhostkę. Może więc się mylili? Może morderstwa Magdy i Pauliny, zaginięcie Oli nie było z nimi związane... Może to wszystko było tylko głupim zbiegiem okoliczności?

Obejrzał się na budynek postawiony na wzniesieniu. Nie dostrzegł świateł w oknach, które były szczelnie pozamykane. Może zabrali go na posterunek? Mieli na niego jakieś haki? Znaleźli jakieś dowody, o których nie mógł mówić Małecki? Tylko dlaczego w takim razie pozwalał, aby zamartwiali się na darmo?

Pokręcił głową i wrzucił wędkę do łódki. Nie ma co skupiać się na sprawach, które od niego nie zależały. Lepiej skierować uwagę na ryby. Jeżeli mu się dzisiaj poszczęści, poprosi Jadwigę, aby usmażyła mu dwie sztuki na kolację. Najlepiej w tej swojej panierce, na którą przepisu nikomu nie chciała zdradzić. W nosie miał zrządzenie Małeckiego, który nagle nabrał wstrętu dla jeziornych przysmaków. Gadał coś o rybach żerujących na padlinie, ale Waldemar dobrze wiedział, że nie ten robak straszny, co się go zje, ale ten, który czeka w cmentarnej glebie...

Przełożył jedną nogę do łódki i zapał się rękami o pomost, gdy usłyszał, że ktoś biegnie ścieżką prowadzącą wzdłuż jeziora. Ze złością spojrzął w kierunku, z którego dochodziły dźwięki. Jeżeli to sąsiad, będzie musiał zamienić z nim przynajmniej parę słów, chociaż trzeba było przyznać Schuttowi, że był powściągliwy w rozmowach.

Hałas narastał i Kobuz w końcu dostrzegł postawnego chłopaka, który biegł, jakby go sam czort gonił. Cóż to się działo ostatnio w okolicy, że ludzie tracili rozum...

– Po...po...policja! – wyjąkał chłopak, gdy w końcu dopadł do łódki. – Pod zamkiem...

Obrócił się przez ramię i wpatrzył w zarośla. Waldemar powiódł wzrokiem w tym samym kierunku.

– Co znowu? Gadajże tak, żeby zrozumiał.

– Ona żyje...



Zdrojewska wpatrywała się w monitor pikający przy łóżku Aleksandry Zawady. Respirator unosił jej płuca w jednostajnym rytmie, dając szansę na poznanie sprawcy, gdy tylko dziewczyna dojdzie do siebie. To był cud, że zdołała utrzymać się przy życiu do momentu, w którym została odnaleziona. Drugim cudem był fakt, że przetrwała transport łodzią WOPR-u po wzburzonym zalewie. Na trzeci Anna ciągle czekała, licząc, że będzie mogła niedługo przesłuchać pacjentkę.

Oparła się o ścianę przy drzwiach i obserwowała drgające powieki Zawady. Nie miała pojęcia, czy osoby wprowadzone w stan śpiączki farmakologicznej miewają sny. Mając jednak na względzie dobro Aleksandry, miała nadzieję, że jest inaczej. Że dziewczyna przebywała obecnie w miejscu, które napawało jej serce nadzieją, pozwalając zapomnieć o przeżytym koszmarze.

Obrażenia Zawady różniły się od tych zadanych poprzednim ofiarom. Właściwie nie tyle się różniły, co zdawały się niedokończone. To wyglądało tak, jakby ktoś spłoszył sprawcę.

Zdrojewska widziała wypaloną pod żebrami dziewczyny literę „P”, ale rana zadana w miejscu, gdzie wcześniej zabójca rozpruwał dziewczyny, była płytka.

Wzdrygnęła się, wyobrażając sobie nóż zagłębiający się w ciele tylko tyle, aby przeciąć skórę i dotrzeć do kryjących się pod nią mięśni. Może dlatego rany były tak poszarpane? Sprawca nie wykonywał jednego precyzyjnego cięcia. On ciął raz za razem, przebijając się przez kolejne warstwy, aż nie było już czego rozplatać.

– Ona potrzebuje teraz spokoju. Zadzwonimy do państwa, gdy tylko się ocknie.

– Pielęgniarka podeszła do łóżka Zawady i w wyćwiczonym przez lata geście poprawiła jej poduszkę, po czym sprawdziła kroplówkę.

– Jaka jest szansa, że to się zdarzy dzisiaj?

Anna nie miała zamiaru opuszczać szpitala. Na miejscu znalezienia Aleksandry pracowali teraz technicy, zabezpieczając ślady, które częściowo zdeptał chłopak. Trudno było z nim cokolwiek ustalić. Był w szoku i ratownicy podali mu coś na uspokojenie, żeby w ogóle zaczął mówić.

Interesujący wydał się jej fakt, że grota, w której odkrył porzucone ciało, łączyła się z działką należącą do Schutta. Może Małecki miał jednak rację, a ona dała się ponieść swojej fascynacji? Może pisarz w jakiś sposób był powiązany z tymi morderstwami? Przełknęła ślinę na wspomnienie jego precyzyjnego wyводу dotyczącego seryjnych. Mogłaby słuchać go godzinami. Hipnotyzował ją swoim głosem. Jego wiedza była tak rozległa, jakby poświęcił zwyrodniałcom każdą minutę swojego życia. Z chęcią wróciłaby do ich rozmowy, ale szef jasno się wyraził, co jej robi, jeżeli opuści wartę przy łóżku Zawady.

Zdziwiło ją, że to właśnie jej powierzył pilnowanie dziewczyny, ale w końcu doszła do wniosku, że prawdopodobnie nie ufał nikomu innemu.

– Dzisiaj? Przy tych obrażeniach głowy modliłabym się, aby dała znak życia w tym miesiącu...

Anna wymknęła się na korytarz. W holu stał automat z przekąskami i napojami, a ona desperacko potrzebowała cukru. Oparła czoło o chłodny metal i czekała, aż kubek napełni się gorącą kawą. Syk maszyny zagłuszał zwyczajne odgłosy szpitala. Odcinał ją od pikania urządzeń monitorujących pacjentów umieszczonych na OIOM-ie. Zagłuszał brzęk wózków, na których pielęgniarki przewoziły ludzi na inne oddziały. Mieszał się z szuraniem mopa, którym salowa omiatała podłogę wokół rzędu krzeseł ustawionych pod ścianą.

Gdy Anna zamknęła oczy, było tak, jakby przeniosła się do innego miejsca, nienaznaczonego dotykami śmierci. Gdyby mogła jeszcze odciąć się od ostrych zapachów środków dezynfekujących, byłoby idealnie.

Naszła ją pokusa, aby zadzwonić do Piotra. Powstrzymywała ją tylko myśl, że jeżeli to zrobi, Kurpiel uzna, że zdobył nad nią przewagę. A przecież to nie była prawda. Musiała powtórzyć to sobie kilka razy, aż w końcu uwierzyła, że rzeczywiście tak było. Chciała ufać, że pokona wszelkie przeszkody, które piętrzyły się na drodze do awansu zawodowego. Fakt, że była kobietą i pochodziła z okolic, w których odbywała służbę, nie pomagał. Miała świadomość, że musi się rozpychać łokciami bardziej niż Kurpiel. Jemu wystarczyło, że rzucił jednym dobrym pomysłem, a Małecki zdawał się zapominać o jego wcześniejszych

niedociągnięciach. Tymczasem gdy jej przytrafiło się choćby niewielkie potknięcie, musiała zapłacić za to wysoką cenę. Na przykład pilnować Aleksandry Zawady, mimo że w najbliższych dniach nie była tu potrzebna.

– Złapiecie go, tak? – Matka Zawady stanęła przed Anną i obrzuciła ją ostrym spojrzeniem. Fakt, że odnaleźli Olę, dodał jej sił. Już nie była tą samą kobietą, z którą Zdrojewska rozmawiała wcześniej.

– Robimy wszystko, co w naszej mocy.

Obserwowała plecy Zawady, gdy ta wchodziła do pokoju, zastanawiając się, czy rzeczywiście jest tak, jak jej powiedziała. Annie coś nie pasowało w tym śledztwie od samego początku. Teraz żałowała, że nie podzieliła się swoimi przemyśleniami z Paluszkiewiczem.

Sięgnęła pod fartuch i wyciągnęła z niego telefon. Nie miała nic do stracenia. Wybrała numer Piotra i czekała na połączenie.

– Nie mogę teraz gadać. – Zareagował tak, jak przewidywała. Postanowiła to zignorować.

– Znaleźliście coś?

– Całkiem sporo, a technicy jeszcze nie skończyli.

Anna przygryzła zęby, przeklinając Kurpiela w duchu. Mimo to przełamała się ostatni raz.

– Zostawił wiadomość?

– Pytasz o zapalniczkę?

– Nie, o pamiętnik w różowej okładce... Oczywiście, kurwa, że o zapalniczkę.

– Dobra już, dobra, wyluzuj. – Jego głos zniknął na chwilę. Anna wyobraziła sobie, że policjant przycisnął telefon do ramienia. – Nie przeszukaliśmy jeszcze całej groty, ale na razie nic nie znaleźliśmy.

Zdrojewska rozłączyła się, nie komentując. Czy to oznaczało, że mieli dwóch sprawców? Nie... te zbrodnie pasowały do siebie, poza tym na boku Zawady widniała wypalona litera. Schutt miał rację. Rozwiązanie gdzieś tam było. Coraz bliżej. Musiała tylko poszukać punktu, który łączył ofiary...

Rozdział 19



Życiowym celem Maryny Kurpiel był sukces zawodowy jej dzieci. Nie istniała taka rzecz, której nie poświęciłaby, żeby zapewnić im osiągnięcie celu. Nie miała zamiaru pozwolić, aby popełniały te same błędy co ona.

Gdy była w wieku Ani, w głowie był jej tylko Zenek. I jak skończyła? Jakby o tym pomyśleć uczciwie, wcale nie tak źle. Nie została może lekarką, jak Poklekowska, ani nauczycielką w tutejszej szkole podstawowej, jednak miała porządną rodzinę i zdołała wychować dzieci tak, aby wyrosły na przyzwoitych ludzi.

Serce rosło jej z dumy, gdy myślała o Piotrku. Jeszcze niedawno dawała mu wymyślne kary, gdy otwierał zagrody sąsiadów i płoszył im stada owiec, a teraz? Teraz nadymała się jak balon, gdy sąsiadki chwaliły go za pracę śledczą. Oczywiście Maryna nie pozostawiała niczego przypadkowi, na robienie zakupów wybierała takie pory dnia, gdy do sklepu zaglądało najwięcej sąsiadek. Zawsze znalazła wtedy pretekst, żeby zagadnąć którąś z nich i szepnąć słówko o swoim synu.

Nie zaszkodziło też nadstawiać uszu, gdy we wsi działo się coś podejrzanego. Zenek mógł się z niej śmiać, ale nie mógł zaprzeczyć, że w każdej plotce było ziarno prawdy. Trzeba było je tylko posiać na podatny grunt.

Z tych właśnie powodów Kurpielowa zapukała dzisiaj do drzwi Frasów. Idąc do kościoła, zobaczyła, że do ich domu wchodził Magiera, i od razu wyczuła pismo nosem. Przeżegnała się, w myślach przepraszając Boga za ten wyjątek od udziału w codziennej mszy świętej, i weszła na zadbane podwórko. Musiała niechętnie przyznać, że sąsiadka zostawiła ją daleko w tyle z porządkami wiosennymi

w obejściu. Szyby w oknach błyszcząły w południowym słońcu, a przy wejściu pyszniły się donice z wielobarwnymi bratkami.

Maryna obiecała sobie, że gdy tylko wróci do domu, zagoni Zenka do pracy. Należała przecież do lokalnego koła gospodyń wiejskich, a to ją do czegoś zobowiązywało.

– Maryna! Wejdz, zapraszam! – Frasowa uśmiechnęła się, przepuszczając ją w drzwiach. – Przepraszam za ten bałagan. Nie zdążyłam jeszcze ogarnąć domu.

Kurpielowa rozejrzała się po kuchni i z satysfakcją stwierdziła, że przynajmniej tutaj nic nie było idealne.

– Napij się ze mną kawy? Mam jeszcze kawałek ciasta, którego nie zjedli wczoraj chłopcy.

Chłopcy Frasowej byli dorosłymi mężczyznami i Marynę śmieszyło, że sąsiadka określała ich tym czułym słowem, ale w końcu ona również traktowała swoje dzieci, jakby miały po kilka lat.

– Właściwie czemu nie? – Maryna zerknęła w stronę pokoju, w którym mąż sąsiadki zamknął się z Magierą. – Słyszałaś, że w Kluszkowcach ma być nowy proboszcz? Podobno ten od nich przechodzi na emeryturę. Pewnie przyślą im jakiegoś młodzika, od razu po seminarium.

– A bo to źle by było? – Frasowa wzruszyła ramionami. – Młody to i więcej młodych do kościoła przyciągnie.

– Może i masz rację. W Nowym Targu marsz w obronie świętego Jana Pawła zorganizowali. Podobno mnóstwo ludzi przyszło. A u nas cisza. Nawet z ambony ksiądz nic nie powiedział... Może trzeba iść do niego z jaką petycją? – Maryna zastanawiała się na głos, zapominając o celu swojej wizyty.

– Na naszego księdza to lepiej niż petycja szarlotka z renklody podziąła. – Sąsiadka roześmiała się, stawiając przed Maryną filiżankę z kawą.

Kurpielowa zanotowała w pamięci ten pomysł, próbując wychwycić sens słów, które dobiegały zza zamkniętych drzwi, jednak nic nie słyszała. Musiała pozbyć się Frasowej chociaż na chwilę.

– Wiesz co? Masz rację. Upiekę ciasto jeszcze dzisiaj. – Udała, że zagląda do koszyka, który postawiła przy swoich nogach. – Tylko zapomniałam o jajkach.

– Poczekał, zaraz ci przyniosę. Kury niosą się nam ostatnio jak szalone. To pewnie ta nowa mieszanka, którą je karmimy. A żółtka jakie po niej

pomarańczowe!

Maryna odczekała, aż sąsiadka wyjdzie z domu, i podeszła do przymkniętych drzwi. Mężczyźni kłócili się, a ich podniesione głosy brzmiały niewyraźnie, jednak Maryna była w stanie wychwycić pojedyncze zdania.

– Ta dziewczyna musi zniknąć!

Wzdrygnęła się, słysząc słowa wypowiedziane przez Magierę.

– Zwariowałeś! Chcesz powtarzać stare błędy?

Chłód wkradający się do ciała Kurpielowej mieszał się z podekscytowaniem.

– Błędem było mówić to, co kazał...

Drzwi wejściowe zaskrzypiały i sąsiadka zatupała, otrzepując piach z butów, przez co Maryna nie usłyszała kolejnych słów Magiery. Jednak miała już wystarczająco wiele. Opowie wszystko Piotrkowi, a on na pewno będzie wiedział, co dalej zrobić.



Igor zmierzał do białego budynku, który przechylał się na jedną stronę. Zdawał się wrośnięty w otaczającą go naturę, zupełnie jak mieszkająca w nim dziewczyna.

Uznałby chatę za opuszczoną, gdyby nie kontrastowało z nią zadbane obejście. Po słonecznej stronie ktoś wyznaczył grządki, na których kiełkowały wiosenne rośliny. Z miejsca, w którym stał, dostrzegał obszar przeznaczony na kompostownik. O ścianę domu stały oparte narzędzia ogrodowe.

Długo rozważał, czy powinien tu przychodzić, jednak potrzebował więcej informacji. Teraz nie chodziło już tylko o ratowanie Dobrochny i Janka. Musiał zadbać o siebie. Być o krok bliżej do poznania zagadki, zanim otrzyma kolejną wskazówkę. Nie miał wątpliwości, że taka będzie. Przypomniał sobie tamto uczucie, które towarzyszyło mu w osadzie. Ktoś go obserwował. Obrał go sobie za cel. Schutt nie miał pojęcia, jakie motywy mogły kierować tym człowiekiem, ale jeżeli pozna przeszłość, być może uda mu się rozszyfrować tamtego...

Pchnął zardzewiałą furtkę i zapukał do drzwi, jednak nikt nie zareagował. Szmer dobiegający z wnętrza utwierdził go jednak w przekonaniu, że ktoś przebywał w domu.

– Dobrochna? To ja... Igor. – Nie odpowiedziała, więc dodał: – Możemy porozmawiać?

Rozumiał jej strach. Wtedy na zamku zdawała się żałować, że powiedziała mu tak wiele. Chciał ją zapewnić, że nie zdradzi jej tajemnic. Nigdy nie zamierzał robić niczego przeciwko niej. Chociaż teraz nie był już tego taki pewien. Czy gdyby musiał wybierać między nimi a sobą, wybrałby sprawiedliwie?

Zajrzał przez okno, osłaniając szybę, aby dostrzec cokolwiek w ciemnym wnętrzu chaty. Wyposażona była w najprostsze umeblowanie. Stół dla czterech osób zajmował najwięcej miejsca. Ustawiono go tuż przy piecu, od którego odpadło kilka kafli. Do tego szafki kuchenne, metalowy zlew i to właściwie wszystko. Nieco przytulności dodawały pomieszczeniu poustawiane na parapecie rośliny.

Czyjaś sylwetka mignęła w mroku, ale nie potrafił ocenić, które z rodzeństwa próbowało ukryć się przed jego wzrokiem.

– Janek! – zaryzykował, obstawiając, że chłopak w swojej naiwności nie dojrzy w nim zagrożenia. – Otworzysz mi? Chciałem pokazać ci coś fajnego.

– Obcy? – Zamek w drzwiach szczerknął, gdy chłopak odblokował skobel, a kiedy słońce padło mu na twarz, zmrużył oczy, jakby nie wychodził na zewnątrz od wielu dni.

– Cześć. – Igor uśmiechnął się do niego, nie chcąc go przestraszyć. – Jesteś sam?

– Sam, sam, sam! – Pokiwał głową tak gwałtownie, że ciemna grzywka opadła mu na oczy.

– Mogę wejść?

– Nie, nie, nie! – Janek zrobił krok do przodu, blokując Igorowi przejście.

Schutt zmarszczył brwi. Nie spodziewał się tego. Do tej pory chłopak reagował na niego pozytywnie.

– Gdzie jest Dobrochna?

– Ciiiiicho! – Janek przyłożył palec do ust, a potem jego wzrok uciekł w bok. – Taaaajemnica...

Najwyraźniej chciał podzielić się z nim swoim sekretem, jednak ograniczenia umysłu mu w tym przeszkadzały. Co takiego mógł zobaczyć ten młody mężczyzna, który zatrzymał się w rozwoju wiele lat temu? A może to, co ukrywał, to były tylko

wytwory jego wyobraźni? Schutt miał nadzieję, że Bóg był na tyle łaskawy, że nie pozbawił Janka chociaż tego...

– Zdradzisz mi tajemnicę?

– Taaaaak!

Obserwował, jak Janek sięgnął do kieszeni spodni, które ledwo trzymały się na jego chudych biodrach. Znowu odniósł wrażenie, że zniknęły wszystkie tiki, które rządziły ciałem chłopaka. Dłonie nie trzepotały bezmyślnie. Twarz wygładziła się na krótką chwilę. Oddech się wyrównał, a plecy wyprostowały.

Igor zamrugął, świadomy, że to wyobraźnia płata mu figle, i rzeczywiście – zauważył, jak dłoń Janka drgnęła, gdy wyciągnął przed siebie rękę. Zbliżył się do niego, żeby obejrzeć srebrny przedmiot, który trzymał chłopak. Zerknął szybko, żeby upewnić się, czy może podnieść zapalniczkę – i odczytał napis wygrawerowany drobnym drukiem.

– Skąd to masz, Janek?

Hilderbrandt uśmiechnął się bez słowa, zamykając mu drzwi przed nosem. Zdradzał tylko tyle, ile uznał za słuszne. Z jednej strony ledwo sklecał zdania, z drugiej dokonywał przemyślanych wyborów. Igor dostrzegał tę sprzeczność wyraźnie.

– Nic nie jest takie, jak się wydaje – mruknął, przypominając sobie słowa zakreślone na kartach jego powieści.

Rozdział 20



Stanowiska do przeglądania akt oddzielono od siebie plastikowymi przegrodami, a nad każdym z nich przymocowano niewielką lampkę rozświetlającą panujący w czytelnicy akt sądu okręgowego półmrok. Teczka, którą położyła przed Igorem pracownica sądu, była zaskakująco cienka, co tylko utwierdziło go w przekonaniu, że Małecki miał coś do ukrycia.

Igor liczył jednak, że strzępki informacji zawarte w aktach pozwolą mu na poskładanie historii w całość. Wiedza była niezbędna, aby mógł przetrwać.

Otworzył akta i przesunął wzrokiem po wyroku wydanym w sprawie zabójstwa rodziców tego dziwnego rodzeństwa, z którym splótł go los.

...uznaje oskarżonego Sławomira Sromowca za winnego tego, że w nocy z siedemnastego na osiemnastego czerwca dwa tysiące siódmego roku w restauracji „U Szperlinga” na półwyspie Stylchyn, działając z zamiarem bezpośrednim pozbawienia życia, skrępował pokrzywdzonych sznurem, a następnie dokonał podpalenia budynku, czego następstwem była śmierć w wyniku rozległych poparzeń Marii Hilderbrandt oraz Piotra Hilderbrandta...

Schutt poczuł, że żołądek zacisnął mu się gwałtownie. Zamknął oczy i nabrał do płuc powietrza, żeby zapanować nad reakcjami organizmu.

Dzielił celę z prawdziwymi zwyrodnialcami. Jeden z nich ugodził przypadkowego człowieka nożem w głowę ponad osiemdziesiąt razy tylko po to, żeby zabrać mu z portfela niecałe pięćdziesiąt złotych, a potem delectował się tym, opisując kruchość pękających pod jego naciskiem kości.

Wtedy było mu wszystko jedno. Opowieści skazanych były dla niego pożywką do tworzenia coraz gorszych potworów. Opisywanie ich w powieściach sprawiało, że potrafił utrzymać myśl o przemocy w ryzach. Prawda zamieniała się w fikcję, od której potrafił się odciąć.

Ale wizja skrepowanego małżeństwa napawała Schutta grozą. Potarł kark, aby choć trochę rozluźnić napięte mięśnie. Paliły go żywym ogniem, jak tamtego wieczora, gdy strażacy wyciągnęli go z kamienicy. Był wtedy odurzony narkotykami i ledwo kontaktował. Ból przejmował kontrolę nad jego ciałem, ale nie mógł dosięgnąć umysłu. A Hilderbrandtowie? Leżeli, nie mogąc się ruszyć, ze świadomością, że nikt nie jest w stanie ich uratować. Ryk płomieni wdzierał się do ich uszu. Smród spalenizny dusił ich, aż w końcu stracili przytomność.

Zastanowił się, czy będzie w stanie przebrnąć przez te kilkadziesiąt stron akt, które udało się uratować.

Dłoń jeszcze mu drżała, gdy przewrócił kartkę i skupił się na zeznaniach pierwszego świadka.

Staje Bogdan Magiera, lat 43, niekarany, dla oskarżonego obcy, i zeznaje:

Tamtego wieczora szedłem w stronę zamku, bo umówiłem się na nocny połów z Waldemarem Kobuzem. Ja szedłem od strony Mizernej, gdzie jest mój dom. Mogę dojść do Czorsztyna drogą asfaltową, ale czasem wybieram drogę przy jeziorze i wtedy przechodzę przez półwysep Stylchyn, na który kilka lat temu przeniesione zostały budynki ze Starych Maniów. Ja często tam chodziłem, bo w restauracji „U Szperlinga” można się było napić dobrego piwa. Nie pamiętam, czy widziałem, żeby światła w restauracji były zapalone, bo nie planowałem tam wchodzić. Obiecałem mojej ślubnej, że wezmę się za siebie i dotrzymywałem obietnicy, bo zagroziła, że zabierze dzieciaki i wyprowadzi się do matki w Krościenku.

Nie wiem, dlaczego wybrałem wtedy tamtą drogę. Gdy przechodziłem obok osady, zobaczyłem oskarżonego, jak szedł w moją stronę z kanistrem pełnym paliwa. Pamiętam, że się zdziwiłem, bo przecież Sromowiec nie miał samochodu, ale nie znaliśmy się za dobrze, więc nie zapytałem go, po co mu tyle benzyny. Wiem, że to było paliwo, bo poczułem jego zapach.

Ja wtedy zauważyłem jeszcze, że oskarżony był zdenerwowany, mamrotał coś pod nosem, ale nie dosłyszałem co, bo znajdowałem się zbyt daleko od niego...

Igor zmarszczył brwi, zastanawiając się nad zeznaniami Magiery, które wydały mu się naciągane. Od razu zauważył sprzeczność, którą powinien wyłapać przynajmniej jeden z zasiadających w składzie sędziów. Jak to możliwe, że był za daleko, aby usłyszeć Sromowca, a jednak wyczuł zapach benzyny?

Nie pamiętam, jak długo siedzieliśmy w łódce. Łowiliśmy przy zamku, który stoi nieco dalej niż osada, bo Waldemar Kobuz mieszka niedaleko i tam trzyma łódkę. Nie miałem zegarka, a czasu na rybach się nie liczy, ale gdy tylko zobaczyliśmy ogień, od razu podpłynęliśmy do brzegu. Mogło nam to zająć najwyżej dziesięć minut...

Znowu ta sama fałszywa nuta wkradła się w wypowiedź Magiery. Schutt łowił z Kobuzem i dobrze wiedział, jak dużo czasu zajęło im dopłynięcie do trupa tej dziewczyny. Co prawda zdarzenia opisywane przez Magierę miały miejsce ponad dziesięć lat temu, jednak już wtedy Kobuz był po siedemdziesiątce. Schutt nie potrafił sobie wyobrazić, że starzec przepłynął taki odcinek w niecałe dziesięć minut.

Przerzucił kilka stron, aby odnaleźć zeznanie Kobuza. Odruchowo sięgnął po papierosy, ale gdy tylko paczka wysunęła mu się z kieszeni, pracownica sądu posłała mu karcące spojrzenie.

Westchnął, pocierając czoło, niepewny, czy chce czytać dalej. Sąsiedzi potraktowali go dobrze. Być może pierwsze spotkanie z Kobuzem nie przebiegło idealnie, ale potem starał się zatrzeć złe wrażenie. Mimo to Igor nie potrafił zapomnieć o pięści sąsiada uderzającej w stół, gdy jego żona napomknęła o śmierci Hilderbrandtów.

Staje Waldemar Kobuz, lat 75, niekarany, dla oskarżonego obcy, i zeznaje:

Ja w noc zdarzenia nie wychodziłem z domu do godziny dwudziestej drugiej, kiedy to spotkałem się z Bogdanem Magierą. Moja żona Jadwiga poprosiła mnie, abym zostałem z naszym wnukiem Romanem, bo wcześniej tego dnia nastąpił w jeziorze na stłuczoną butelkę i rozciął sobie nogę.

Tego wieczora Jadwiga musiała udać się do Kluszkowców na spotkanie koła gospodyń wiejskich, do którego należała. Za miesiąc miał się odbywać redyk w Szczawnicy. Kobiety przygotowywały pamiątki na stragan koła

i jakieś występy. Ale akurat gdy wróciła z zebrania, przyszedł Bogdan Magiera i poszliśmy odcumować łódkę. Myślę, że mogliśmy łowić godzinę, kiedy spostrzeżliśmy, że restauracja w osadzie płonie. Gdy podpłynęliśmy do brzegu, cały budynek stał już w ogniu i nie mogliśmy nic zrobić. Sławomira Sromowca dojrzelśmy tuż przy brzegu. On powtarzał w kółko, że się zemścił. Że zabił Piotra i Marię i teraz będzie miał spokój...

Bogdan pobiegł do Kluszkowców zaalarmować ludzi, ale straż pożarna była już w drodze. My nie mogliśmy nic zrobić. Trzymaliśmy tylko Sromowca, aż do przyjazdu policji. Potem Bogdan mówił mi, że widział go, jak szedł do restauracji z kanistrem benzyny, która śmierdziała na kilometr, ale nie wiedział, że oskarżony miał złe zamiary.

Igor mocno odchylił głowę, aż poczuł, że coś strzeliło mu w karku. Nie było powodów, żeby przyczepić się do zeznań Kobuza. Miał świadomość, jak szybko drewno zajmuje się ogniem. Wtedy w Krakowie płomienie przeskakiwały po drewnianych elementach klatki schodowej w okamgnieniu. Stara osada paliła się pewnie jeszcze szybciej... Skupił się na ostatnim fragmencie zeznań. Nawiązanie do wersji Magiery było zbyt idealne. Odniósł wrażenie, że Kobuz celowo napomknął o zapachu benzyny, a to rodziło pytania, których najwyraźniej nikt mu nie zadał, chociażby takie, jaki miał w tym cel.

Zerknął na zegarek. Dochodziła szesnasta i powoli cichły wszystkie odgłosy, które dobiegały do niego z sądownego korytarza. Nie miał pojęcia, jak długo będzie mógł jeszcze czytać akta, ale czuł na plecach palący wzrok pilnującej go kobiety. Z chęcią odwróciłby się twarzą w jej stronę, jednak czuł, że wtedy wzbudziłby jej podejrzania i szybciej wygoniłaby go z pokoju.

Przekartkował kolejne strony, na których zachowały się zeznania mieszkańców wsi. Wszyscy zgodnie twierdzili, że Sławomir Sromowiec niejednokrotnie odgrażał się, że robi krzywdę Hilderbrandtom, jednak nie potrafili skonkretyzować przyczyn takiego zachowania. Facet podobno chodził po wsi, wykrzykując obraźliwe teksty pod adresem swoich ofiar. Chciał się na nich zemścić, chociaż nikt nie potrafił wskazać, co takiego zaszło pomiędzy Hilderbrandtami a Sromowcem.

Dlaczego w takim razie nikt nie zawiadomił policji? Dlaczego nie znalazła się choćby jedna osoba, która zainterweniowałaby, zanim będzie za późno? A przecież Sromowiec nie był odludkiem. Z akt wynikało, że miał żonę i synów. Musieli mieć jakichś znajomych. Kogoś, kogo obchodziłby ich los.

Skupił się na zeznaniach Henryki Gończarz.

Mój syn przyjaźnił się z oskarżonym. Ja wychowywałam Mietka sama, bo mój mąż nie żyje już dwadzieścia lat. Zmarł na raka trzustki, gdy syn uczęszczał jeszcze do podstawówki. Jakoś tak wyszło, że do tej pory się nie ożenił, więc mieszkamy razem i Sławek, znaczy oskarżony, często odwiedzał nas wieczorami. To był dobry chłopak, ale od jakiegoś czasu coś mu się w głowie poprzestawiało. Ciągłe tylko gadał o tym, że Maria nie powinna ludzi leczyć, a to przecież taka dobra kobieta była. Jej zioła nieraz postawiły mnie na nogi. Lepiej leczyć się naturą, a nie jakąś chemię przyjmować. A Sławek, znaczy oskarżony, to ich nie lubił. Nie wiem dlaczego. O to trzeba by już jego zapytać. Może się jej bał? Zna wysoki sąd legendę o topielcu, co sobie za żonę akuszerkę wziął? Ludzie gadają, że utopce, baniory w Dunajcu zamieszkują. Tak naprawdę to okropnie odrażające są, ale potrafią zamieniać się w pięknego młodzieńca, a przecież taki właśnie był Piotr. No i Sławek, znaczy oskarżony, wierzył, że Piotr takim utopcem właśnie był. Jak się napił, to gadał nawet, że widział, jak się Piotr owijał długim flakiem, który dodawał mu więcej sił...

Zgodnie z zapisem w protokole rozprawy, zeznania Henryki Gończarz zostały przerwane i strażnicy musieli wyprowadzić z sali Mieczysława Gończarza, który zapewne był synem, o którym wspominała w zeznaniach. Dlaczego tak bardzo oburzyły go bajania matki? Mówiła nieprawdę?

Igor cofnął się kilka stron, a potem dokładnie przewertował akta, ale jeżeli Gończarz zeznawał podczas procesu, ten protokół zaginął, gdy Małecki dorwał teczkę w swoje ręce.

– Proszę już kończyć, za chwilę zamykamy – usłyszał nagle.

– Oczywiście... – Igor zamknął akta, mając świadomość, że utknął w martwym punkcie. Nie znalazł wiadomości o tym, gdzie odbywał karę Sromowiec. Być może mężczyzna już nie żył, a historia zakończyła się wraz z jego śmiercią...

Czuł jednak, że nie powinien odpuszczać.

Może to była intuicja albo doświadczenie. Cokolwiek nim kierowało, podpowiadało mu, że wersja przedstawiona w toku procesu została ułożona tylko na potrzeby sędziów.

A to oznaczało, że musiał porozmawiać z Mieczysławem Gończarzem...

Rozdział 21



– Wie szef, jaka jest moja matka. To dobra kobieta, choć czasem za dużo gada. Ale tym razem zarzeka się, że to prawda. Szkoda by było nie sprawdzić tych informacji.

– Szkoda to jest, jak krowa do studni narobi, Kurpiel. Ani wody, ani nawozu.

Małecki wiedział, że będzie musiał podjąć czynności, jednak najpierw musiał się zastanowić nad wiadomościami, które przekazał mu Kurpiel. Magiera się buntował. Miał siedzieć cicho, a łąził po wsi i podburzał innych.

A może Kurpielowa jednak się nie przesłyszała? Co, jeżeli po latach Magiera w końcu nie wytrzymał i to on zrobił krzywdę tym dziewczynom?

– To co? Ściągamy Magierę na posterunek? – Aspirant aż rwał się do tego, aby działać.

– Magierę zostawcie mi. Jakbyśmy sadzali wszystkich za gadanie głupot, byłbyś sierotą już dawno temu, Kurpiel. A teraz powiedz mi lepiej, czy ustaliliście już coś z tymi zapalniczkami...

– Nie. – Z aspiranta uszło powietrze. – To jak szukanie igły w stogu siana.

– Kto chce, znajdzie sposób, Kurpiel, kto nie chce, znajdzie powód. – Podwładny dobrze wiedział, kiedy ustąpić i wyszedł z pokoju bez słowa, a komisarz mógł wrócić myślami do przeszłości.

Od razu pomyślał o Danusi. Zabrała ją choroba, gdy on, tak jak teraz, próbował zapanować nad wydarzeniami. Powinien być wtedy w hospicjum i trzymać ją za rękę, a tymczasem użerał się z niezadowolonymi mieszkańcami okolicznych wsi, mających po dziurki w nosie rozgłosu, który przyniosła budowa zapory na Dunajcu. Być może do niektórych z nich zaczynało wtedy docierać, że utracili coś cenniejszego niż piękne widoki.

Małecki pamiętał dzień, gdy Hilderbrandt przyjechał po raz pierwszy do Czorsztyna. Kobiety latały jak z pieprzem, przekazując sobie plotki o narzeczonym Marii. Przystojny, wykształcony, a do tego sympatyczny. Nawet Danusia nie mogła się go nachwalić. Takich mężczyzn było w okolicy jak na lekarstwo. Wydawało się, że Maria złapała Pana Boga za nogi... A potem? Ledwo wiązali koniec z końcem, a ludzie opowiadali o Hilderbrandtach dziwne historie.

Komisarz kilkakrotnie słyszał, jak Piotra nazywano „utopcem”, i doskonale zdawał sobie sprawę, że kwestie związane z religią były punktem zapalnym. Oskarżenia o herezje trafiły na podatny grunt i pleniły się jak chwasty. A od kiedy rozpoczęto budowę tamy, legenda o topielcu zamieszkującym rzeczne głębiny była szczególnie żywa. Niewiele czasu zajęło ludziom utożsamienie Piotra z demonem, który wybrał na żonę miejscową akuszerkę, a plotki podsycane przez tych, którym Małecki nakazał działać, robiły swoje.

Komisarz początkowo podchodził do atmosfery, która narosła wokół mężczyzny, z rezerwą. Miał nadzieję, że gdy przekona Piotra, aby odpuścił, także ludzie przestaną opowiadać sobie głupoty i wszystko się wyciszy, jednak sprawy szybko wymknęły się spod kontroli.

Żałował, że Danusia zachorowała. Ona zawsze umiała poradzić mu, jak uspokoić nastroje we wsiach. Ale teraz musiał radzić sobie sam. Miał ucisk w piersi, gdy myślał o żonie. O tym, że już nigdy nie poczuje na policzkach podmuchu wiatru dmącego od strony Tatr. Nie usiadzie nad brzegiem rzeki, żeby wsłuchać się w jej szum.

– Komisarzu? – Sekretarka wetknęła głowę przez drzwi, nadal urażona, że opieprzył ją za niedopilnowanie protokołu sekcji zwłok Magdy Zachary. – Dzwonili ze szpitala. Zawada odzyskała przytomność.



Anna przyglądała się pielęgniarcom krzątającym się wokół Aleksandry Zawady. Dziewczyna wybudziła się niespełna godzinę temu i od tamtej pory policjantka czekała niecierpliwie, aż będzie mogła zadać jej pytanie, na które odpowiedź była rozwiązaniem całego śledztwa. Nie opuściła pokoju pacjentki, nawet gdy lekarze wyciągali jej z gardła rurkę, za pomocą której oddychała. Wsłuchiwała się w spokojny głos lekarza, który nakazywał Zawadzie ścisnąć jego dłonie

i odpowiadać na podstawowe pytania. Wydawało się, że dziewczyna była gotowa na spotkanie z policją.

– Proszę dać jej trochę czasu. To nie są wyścigi. – Lekarz stanął obok Anny i czekał, aż pielęgniarki przygotują dziewczynę, żeby mógł ją ponownie zbadać. Jego cera była szara po całonocnym dyżurze i Zdrojewska wyobraziła sobie, że pewnie wyglądała całkiem podobnie. On przynajmniej miał swój gabinet, w którym mógł się przespaciać w godzinach, gdy nikt nie wzywał go do pacjentów, a jej pozostało tylko twarde krzesło w korytarzu.

– A jednak... – skomentowała jego wypowiedź.

– Słucham? – Uśmiechnął się do niej uprzejmie, chociaż z całą pewnością nie był zainteresowany tym, co miała do powiedzenia. Pewnie odliczał już czas, kiedy będzie mógł w końcu opuścić mury szpitala.

– Wydaje się panu doktorowi, że nie ścigamy się z czasem, a jednak ona może uratować kolejne potencjalne ofiary. – Anna skinęła głową w kierunku Zawady. – Sprawca to seryjny morderca. Kiedy my stoimy tutaj, cackając się z tą dziewczyną, on zapewne poluje już na kolejną.

Tym razem mężczyzna spojrzał na nią z niechęcią. Siwizna na jego skroniach świadczyła o tym, że widział już niejedno. Być może kiedyś miał do czynienia z policjantką równie namolną jak Anna. Może musiał chronić swoich pacjentów przed przedstawicielami prawa, a i tak nie potrafił zrozumieć, jak ważna była każda chwila. Każda pieprzona minuta, która przelatowała im między palcami była teraz na wagę złota.

– Zdrojewska! – Szeffel szedł korytarzem szpitalnym ciężkim krokiem, ignorując pielęgniarkę, która próbowała zarzucić na niego ochronne ubranie. Anna od razu zwróciła uwagę na jego krótki oddech i poluzowany krawat. Mógł być największym postrachem wśród młodych funkcjonariuszy, ale w takich chwilach jak ta, widać było, że życie dało mu w kość. – Co udało ci się ustalić?

– Nadal czekamy, szefie.

– Co za bzdury?! – Przepchnął się obok niej, nie poświęcając najmniejszej uwagi lekarzowi, który tylko westchnął z rezygnacją. Stary doktor potrafił utrzymywać na dystans nieopierzone policjantki takie jak Anna, ale niewątpliwie znał Małeckiego i wiedział, że nie było sensu się z nim kłócić.

Komisarza nie interesowało, czy Zawada była gotowa, czy nie. Pochylił się nad nią tak, aby nie musiała przekręcać głowy. Zapach opatrunków podrażnił mu nozdrza, przywołując wspomnienie hospicjum, w którym umarła Danusia. W ostatnich dniach swojego życia miała tak samo przezroczystą cerę jak leżąca przed nim dziewczyna. Odgonił natrętne wspomnienia i skupił się na terażniejszości.

– Kto ci to zrobił? – zapytał.

Zamrugła leniwie kilka razy. Spozrzegł, że jej źrenice zwężyły się, gdy próbowała skupić na nim wzrok. Policzył w myślach do dziesięciu, żeby na nią nie krzyknąć. Dwa trupy i ledwo żywa poszkodowana sprawiły, że jego cierpliwość była na wykończeniu. Już nie dbał o konsekwencje. Po prostu chciał wiedzieć, kto odważył się podnieść rękę na te kobiety. Kto miał tyle śmiałości, by złamać pakt, który zawarli wiele lat temu...

– Co się stało? – Gardło miała nadal podrażnione od rurki intubacyjnej i musiał przysunąć się bliżej, aby słyszeć jej ochryply szept.

– Zostałaś porwana. Ktoś zrobił ci krzywdę – tłumaczył jej powoli, cedząc każde słowo. – Czy to był Magiera? – podsunął, chociaż wiedział, że nie powinien sugerować jej odpowiedzi.

Dostrzegł, jak przez jej twarz przebiegł jakiś cień. Usta napięły się i wystarczyło przycisnąć ją jeszcze trochę, aby rozwiązać cholerną zagadkę. Jednak gdy czekał w napięciu, czując, że Zdrojewska przybliżyła się i teraz stała za jego plecami, urządzenie, do którego podłączona była Zawada, zaczęło wariować. Jej powieki zadrżały, a oczy uciekły w głąb czaszki. Nie miał pojęcia, czy to jego pytania sprawiły, że ciało dziewczyny dygotało, jakby ktoś podpiął ją do paralizatora, czy coś ostatecznie zepsuło się w jej głowie.

Lekarz gwałtownym szarpnięciem odsunął komisarza na bok, wydając szybkie polecenia pielęgniarce. Jego spojrzenie skrzyżowało się ze spojrzeniem Zdrojewskiej. Ponownie kręcili się jak w kołowrotku. Sprawca zostawił im mnóstwo podpowiedzi, których nie potrafili złożyć do kupy.

Małeckiemu po raz pierwszy przemknęła myśl, że gdyby wyjawiał prawdę o przeszłości, być może wspólnie doszliby do właściwych wniosków.



Mieczysław Gończarz przebywał dokładnie w tym miejscu, które wskazała Igorowi sąsiadka. Wpatrywał się tępo w brudną ławę, ściskając w dłoniach kufel z piwem, z którego zdążył ulecieć już cały gaz. Igor nie miał pojęcia, dlaczego mężczyzna siedział samotnie, mimo że knajpa była wypełniona po brzegi i nietrudno zgadnąć, że właśnie tu zbierali się miejscowi.

– Mogę się dosiąść? – Mężczyzna uniósł głowę i spojrzał na Schutta nieprzytomnym wzrokiem, a potem mruknął pod nosem niezrozumiale, co Igor uznał za zgodę.

Sięgnął po paczkę papierosów, które w takich sytuacjach były najlepszym pretekstem do rozpoczęcia rozmowy. Tak jak przewidział, Gończarz skorzystał z okazji, gdy tylko wyciągnął do niego rękę z papierosami. Igor zwrócił uwagę na bliznę na nadgarstku, gdy rękaw brudnego swetra podwinął się nieco do góry. Nie miał wątpliwości, że była śladem po żyłce lub innym ostrzu, którym Gończarz próbował podciąć sobie żyły.

– Fatalna pogoda, prawda? – Zaciągnął się głęboko, spalając prawie połowę papierosa za jednym wdechem.

– Zwyczajna. – Mężczyzna wzruszył ramionami. – O tej porze roku nigdy nie wiadomo, czy zaraz śnieg dróg nie zasypie.

– Śnieg? Przecież to już druga połowa kwietnia.

– Pan to chyba rzadko w górach bywa, co? – Tym razem Gończarz spojrzał na niego nieco przychylniej. – Czasem i na majówkę wyciąg narciarski w Kluszkowcach uruchamiają.

– Opłaca się to?

– A co się ma nie opłacać. Turyści walą do nas drzwiami i oknami. Od kiedy pobudowali trasę rowerową, nie możemy się od nich opędzić.

W słowach Gończarza wychwycił odrobinę goryczy. Na pierwszy rzut oka widać było, że mężczyzna nie był jednym z tych, którzy wzbogacili się na odwiedzających zalew turystach. Być może udawało mu się od czasu do czasu sprzedać im pędzony nielegalnie trunek, a przynajmniej tak twierdziła Jadwiga Kobuz, jednak ten handel nie zapewniał mu godziwych pieniędzy.

– Myśli pan, że w tym roku się nie zniechęcą? W końcu kto chciałby odpoczywać w miejscu, gdzie grasuje seryjny morderca...

Obserwował w napięciu reakcję Gończarza. Zwrócił uwagę, że kąciki ust mu opadły, a skóra na policzkach napięła się, gdy zacisnął szczękę. Zastanawiał się, czy to dobry moment, żeby przycisnąć go jeszcze bardziej.

– Z drugiej strony, to już nie pierwszy raz, jak spotyka was tragedia. Czytałem o tym podpalaczu sprzed lat. Kiedy to było?

– Dawno temu. Nie ma o czym gadać. – Gończarz uniósł kufel z ciepłym piwem i gdy już zdecydował się wziąć łyk, opróżnił jednym haustem pół naczynia.

– Ustalili, czemu Sromowiec to zrobił?

Oczy Gończarza zamglily się, gdy pytanie Schutta przywołało przeszłość. Wydawało się, że mężczyzna odpłynął zupełnie, niepomny na otaczających go ludzi i siedzącego przed nim Igora. Po kilku minutach jego usta poruszyły się, jednak nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Jeżeli w głowie Gończarza sformułowała się jakaś myśl, nie była przeznaczona dla Igora.

– Przecież wiem, że się przyjaźniliście.

– Nie potrzebujemy tu dziennikarskiego śledztwa. Policja radzi sobie doskonale.

– W głosie mężczyzny zabrzmiała wściekłość. Odstawił kufel z hukiem na ławę, ściągając na nich spojrzenia pozostałych.

– Nie jestem dziennikarzem.

– To po cholere drążysz ten temat, człowieku? Przeszłość powinna pozostać przeszłością.

– Kłamstwa twojej matki pomogły posadzić Sromowca. Będzie gnął zamknięty przez całe życie. Nie lepiej było powiedzieć prawdę?

– Widocznie na to zasłużył. – Gończarz podniósł się i spojrzał na niego z góry.

Mierzyli się przez chwilę spojrzeniami, a Schutt miał świadomość, że tą rozmową odkrył swoje zamiary. Od teraz przestanie być anonimowy. Ludzie będą się mieli na baczności, gdy tylko pojawi się w ich pobliżu. Jednak ostatnie pytanie nie dawało mu spokoju. Sromowiec w trakcie procesu przyjął podobną taktykę do tej, którą Igor miał podczas własnej rozprawy. Odmówił składania zeznań. Milczał, zachowując prawdę dla siebie. Igor chciał się w ten sposób ukarać za to, że nie uratował Kamili. Teraz chciał wiedzieć, co kierowało Sromowcem.

– Dlaczego się nie bronił?

– A to już jego trzeba by zapytać. Głupi był, to teraz musi odpokutować za grzechy...

Rozdział 22



Mężczyzna naciągnął na czoło czapkę z daszkiem i cień padł na jego twarz. Wiedział, że kaptur stanowił dodatkowy kamuflaż i w razie komplikacji ciężko będzie go rozpoznać, jednak na wszelki wypadek pilnował się, aby odwrócić twarz od kamery zamontowanej przy wejściu.

Wyciągnął z kieszeni klucz i rozejrzał się ostrożnie. O tej porze na zaporze pracowało tylko kilka osób, ale chciał mieć pewność, że nikt nie pokrzyżuje mu planów. Gdy tylko zamknął za sobą ciężkie drzwi, nad jego głową automatycznie rozświeciły się białe jarzeniówki. Ciągnęły się wzdłuż długiego korytarza prowadzącego do miejsca, w którym stworzył swoje centrum dowodzenia. Przekradanie się tutaj wymagało od niego sporo wysiłku, jednak nie mógł ryzykować przechowywania potrzebnych mu rzeczy w Czorsztynie. I tak zostawił tam już zbyt wiele wskazówek, których nie miał okazji przenieść w nowe miejsce.

W pomieszczeniu unosiła się wilgoć, a jego kroki odbijały się echem od betonowych ścian. Wybrał to miejsce z uwagi na grube mury, które skutecznie wygłuszały wszelkie odgłosy. Gdyby któraś z jego ofiar postanowiła krzyczeć, nikt nie zorientowałby się, że potrzebowała pomocy.

Podniósł szmatę, na której ciągle widniały plamy zaschniętej krwi pierwszej dziewczyny. Nie sądził, że zabicie Puliny Chryc będzie tak proste. Nie musiał nawet podawać jej czarciego ziała... Nóż wszedł w jej ciało z dziwną łatwością. Jakby nie było w niej nic twardego. Była jak gąbka. Chłoneła każdy jego ruch, a potem wchłoneła wodę z jeziora.

Otrząsnął się ze wspomnień. Nie powinien tracić na nie czasu, skoro do przygotowania pozostawał kolejny akt jego dzieła.

Podszedł do roboczego stołu i wybrał pręt zakończony masywną literą „T”. Teraz wystarczyło tylko zwabić kolejną ofiarę, ale to będzie proste. Nigdy nie brała pod uwagę, że może być zagrożeniem...



Budynek, w którym mieściła się salka mityngów AA, był niepozorny. Jedyną wskazówką, że Igor trafił na miejsce, była niebieska tabliczka przyczepiona do muru tuż przy drzwiach.

My, uczestnicy AA, jesteśmy ludźmi, którzy przekonali się i przyznali, że nie panują nad alkoholem. Dowiedzieliśmy się, że musimy żyć bez niego, jeżeli chcemy uniknąć katastrofy w życiu naszym i naszych najbliższych.

Dla niego było już zdecydowanie za późno na takie deklaracje. Pozwolił, aby katastrofa zniszczyła jego życie. Być może za dużo pił i eksperymentował z narkotykami, ale koniec końców i tak nic nie zależało od niego. Mimo to otworzył drzwi i wszedł do środka. Z każdym dniem coraz gorzej radził sobie z nałogiem. Zagrożenie wiszące nad nim i atmosfera panująca nad zalewem zdawały się wyzwalać w nim najgorsze instynkty. Dlatego przyszedł na to spotkanie. Czuł, że już dłużej nie zdoła sam powstrzymać się przed złamaniem obietnic danych sobie i innym.

Sala, w której zbierali się ludzie oczekujący na rozpoczęcie spotkania, przywodziła na myśl te, które często widywał w filmach. Tak samo panowały w niej mrok i przygnębiająca atmosfera. Powietrze przesycił smutek emanujący od zebranych dookoła niego osób. Na razie było ich niewiele. Igor miał nadzieję, że w ciągu kolejnych kilku minut sala wypełni się po brzegi i ukryje się wśród tłumu. Jednak czas mijał i większość miejsc nadal pozostawała pusta.

– Dzień dobry. Myślę, że możemy zaczynać nasze spotkanie. – Bardzo szczupła brunetka zajęła miejsce na jednym z krzeseł. – Boże, użyż mi pogody ducha, abym akceptował tych, których nie mogę zmienić, odwagi, abym zmieniał tego, kogo mogę zmienić, i mądrości, abym zrozumiał, że tym kimś jestem ja.

Schutt przysłuchiwał się recytowanemu na głos słowom. Znał je już ze spotkań, na które uczęszczał w więzieniu, jednak wtedy szybko doszedł do wniosku, że woli

terapię indywidualną.

– No dobrze. – Kobieta ułożyła notatki na kolanach i skupiła się na uczestnikach.
– W drugiej części spotkania przypomnimy sobie dwanaście kroków, a teraz... Czy ktoś chciałby podzielić się z nami, jak minął mu ten tydzień?

Igor spróbował rozluźnić mięśnie, gdy jej wzrok padł prosto na niego. Uśmiechnęła się zachęcająco, ale chyba nie znalazła w nim tego, czego szukała, bo jej wzrok prześlizgnął się po kolejnych twarzach. W końcu jedna z kobiet uniosła dłoń.

– Mario? – Prowadząca skinęła głową, dając kobiecie czas.

– Byłam w środę na grobie Mateuszka...

Wyłączył się instynktownie. Nie chciał wiedzieć, jak zginął syn tej kobiety ani czy była winna. Domyślał się, że tak. Wszystko w niej krzyczało, że nie chciała już dłużej żyć. Rozumiał ją aż za dobrze, chociaż nie sądził, aby stratę dziecka można było porównać do czegokolwiek innego. Kochał Kamilę. Chciał spędzić z nią resztę życia. A jednak potrafił wyobrazić sobie swoją przyszłość bez niej... W przypadku utraty dziecka nie było to tak proste.

Podziwiał tę kobietę. Jej odwagę, żeby przyznać się do swojego cierpienia. Powiedzieć na głos o wszystkim, co spalało ją od środka.

Zatrzymał wzrok na jej dłoniach, w których zwijała pomietą chusteczkę higieniczną. Strzępki papieru upadały na podłogę, ale ona zdawała się nie zwracać na to uwagi. Miała szklisty wzrok, jakby jej umysł odpłynął w zupełnie inne miejsce. Jednak Igor dostrzegł, że im dłużej mówiła, tym bardziej ulatywało z niej napięcie. Ramiona opadały. Oddech zdawał się bardziej wyrównany. Od czasu do czasu po jej ustach błąkał się uśmiech. Rozdzielenie emocji pomiędzy innych uczestników spotkania zabierało jej smutek...

Może mógłby rzucić się na głęboką wodę, jak ona? Spróbować pozbyć się choć niewielkiej części ciężaru, który zbyt długo nosił na swoich barkach?

Do tej pory nie przemawiał do niego slogan „prawda cię wyzwoli”. Z drugiej strony chyba nigdy jeszcze tego nie spróbował. W trakcie procesu milczał. Tak samo na grupowych sesjach terapeutycznych w więzieniu. Nie miał przyjaciół w celi, którym zwierzałyby się z powodów, dla których w ogóle został skazany, a Paweł od początku bagatelizował jego winę.

Chował się więc za bohaterami swoich powieści. Za wizerunkiem wymyślonym przez wydawnictwo. Może to był moment, by to zmienić?

Przełknął ślinę i wyprostował plecy, zastanawiając się, co mógłby im dać, a gdy podjął decyzję, nieoczekiwanie dla niego samego, słowa popłynęły same.

– Cześć, jestem Igor. Jestem alkohikiem i narkomanem... – Odchrząknął, aby rozluźnić zaciśnięte gardło. – Trzy tygodnie temu wyszedłem z więzienia. Moja dziewczyna zginęła dlatego, że byłem naćpany i nie potrafiłem jej uratować...

– Witamy cię, Igor...

Kobieta mówiła coś jeszcze, ale tak bardzo dzwoniło mu w uszach, że nie potrafił skoncentrować się na jej słowach.

Minęło sporo czasu, zanim ułożył sobie wszystko w głowie. Tamtej nocy na nic nie miał wpływu. Wyszedł z klubu półprzytomny. Nie pamiętał, w jakim stanie była Kamila. Wszystko wydawało się zamazane. Jakby otaczała go gęsta mgła. A jednak pamięć przechowywała dziwne wspomnienia. Kojarzył, że całował ją w szyję, a ona jak zwykle wiła się pod jego ustami, nie potrafiąc wytrzymać dotyku w tym wrażliwym miejscu. Tej nocy temperatura spadła poniżej zera, a Kamila miała na sobie szpilki i cienkie rajstopy. Chciał ją tylko ogrzać. To dlatego wślizgnęli się na klatkę schodową w tamtej opuszczonej kamienicy. Pamiętał, że bezdomni palili tam czasem ogniska, zanim policja przepędziła ich na dobre. Chciał ją tylko ogrzać...

Dłonie zwilgotniały mu na wspomnienie zapalniczki wyszarpiętej z kieszeni. Ułożony pośrodku klatki schodowej stos śmieci zajął się tak łatwo ogniem. Dym gryzł ich w oczy, ale po ciele rozchodziło się przyjemne ciepło. Wyczuł, że Kamila przestała drzeć w jego ramionach. Coś do niej mówił, ale wszystko wydawało się coraz bardziej nierealne. Coraz trudniej było mu układać słowa w kolejne zdania. W uszach dzwoniło mu i nie potrafił już ocenić, czy naprawdę usłyszał wtedy huk zatraskiwanych drzwi. A potem wszystko wymknęło się spod kontroli...

Igor podszedł do długiego stołu, na którym przygotowano słodczyce i kawę w termosach. Była w tym jakaś ironia, jeżeli wzięło się pod uwagę fakt, że cukier był bardziej uzależniający od heroiny, a gdyby się nad tym zastanowić, pewnie to samo można by powiedzieć o kofeinie. Niemniej nalał kawy do plastikowego kubka, ignorując drżenie dłoni. Najgorsze miał już za sobą. Wypowiedzenie na głos prawdy nie zabiło go, chociaż nie odczuł ulgi, której się spodziewał.

– Cześć, jestem Krzysiek. – Chłopak podszedł do niego i wyciągnął dłoń, na której między kciukiem a palcem wskazującym miał wytatuowany krzyż.

– Igor.

– Wiem... siedziałeś w Nowej Hucie. – Igor drgnął, zaskoczony. – Pamiętam cię.

Nie miał pojęcia, co niby miał odpowiedzieć. Istniała jakaś więzienna etykieta, do której należało się zastosować? I czy w ogóle powinien zaprzętać sobie tym głowę? Nawet nie miał ochoty na tę rozmowę. Odstawił kubek na stół, rozchlapując kawę po blacie, gotowy opuścić spotkanie.

– Super...

– Nie wiedziałem, że jesteś stąd. – Chłopak przekrzywił głowę, przyglądając mu się intensywnie. – A wydawało mi się, że znam tam wszystkich z naszych okolic.

– Nie przejmuj się, nie jestem stąd. – Igor odwrócił się i zrobił kilka kroków w stronę drzwi, ale nagle coś przyszło mu do głowy. – Kojarzysz Sławomira Sromowca?

– Ogniomistrza z Czorsztyna? – Twarz Bogdana rozciągnęła się w szerokim uśmiechu. – A kto by nie kojarzył tego psychola.



– Panie prokuratorze, dzisiejsza korespondencja. – Ładna aplikantka weszła do gabinetu Paluszkiewicza. Wciąż zaskakiwała go jej pewność siebie, której jemu brakowało, gdy przydzielono go na praktyki do starego prokuratora codziennie szukającego pretekstu, aby udowodnić mu, że jeszcze niczego nie potrafi.

Maurycy uśmiechnął się do dziewczyny łagodnie, nie zamierzając powiełać zachowania swojego dawnego patrona. On taki nie był. Wolał, żeby zachowała otwarty umysł, a nie kuliła się po kątach, unikając go jak zarazy.

– Dziękuję, pani Moniko. – Wziął od niej kopertę z logo krakowskiego zakładu medycyny sądowej i rozdarł niecierpliwie papier, nie poświęcając jej więcej uwagi.

Był ciekaw, co udało się ustalić sądowym antropologom w sprawie znalezionych w osadzie czaszek. Stare kości stanowiły niepotrzebną komplikację. Miał nadzieję, że tylko chwilową i opinia antropologów upewni go, że sprawę można odłożyć do archiwum.

Przesuwał wzrokiem po kolejnych akapitach, a im bardziej zagłębiał się w wyniki analizy, której poddano szczątki, tym bardziej docierało do niego, że jego założenia o umorzeniu postępowania pozostaną tylko pobożnymi życzeniami.

– Pani Moniko... – Uniósł wzrok, sprawdzając, czy nadal czekała, aż przydzielili jej jakieś zadanie. – Mam nadzieję, że nie miała pani żadnych planów na to popołudnie. Wygląda na to, że mamy nową sprawę.

– Oczywiście. – Dziewczyna wyprostowała się, a materiał bluzki opiął się na jej drobnych piersiach.

– Proszę poszukać w archiwalnych sprawach, czy ktoś zgłaszał zaginięcie większej liczby osób. Być może dużej rodziny albo nawet kilku rodzin...

– Do którego roku mam się cofnąć?

– Myślę, że trzeba przejrzeć dwadzieścia lat wstecz. – Potarł brew, zastanawiając się, czy przyjął dobry przedział czasowy.

Z ekspertyzy wynikało, że kości nie były tak stare, jak początkowo zakładał. Ci ludzie stracili życie około dwudziestu lat temu. Uszkodzenia w strukturze kości świadczyły o tym, że zginęli w pożarze. Jeżeli dziewczyna przyłoży się do wyznaczonego jej zadania, szybko rozwiążą zagadkę ich tożsamości. Był pewien, że w starych sprawach znajdował się po nich ślad. Szóstka dorosłych i kilkanaścioro dzieci nie mogło zniknąć od tak. Ktoś musiał zgłosić ich zaginięcie. Zainteresować się tym, że nagle przestali istnieć...

Rozdział 23



– Sorry... – Radiowóz podskoczył, gdy koło wpadło w dziurę w drodze, a Piotr spojrzał na Zdrojewską skruszony.

– Po prostu się pospiesz. – Wzruszyła ramionami, wbijając wzrok w ciągnący się przed nimi sznur samochodów.

Dochodziła piętnasta i Kraków był zakorkowany na każdym możliwym dojeździe do centrum, a Anna coraz bardziej się niecierpliwiła.

Droga upłynęła im w posępnym milczeniu. Od czasu do czasu zamienili ze sobą kilka słów, ale tak naprawdę żadne z nich nie chciało zdradzić drugiemu swoich hipotez dotyczących śledztwa.

Kiedy jednak utknęli przed węzłem łagiewnickim, w końcu postanowiła go wybadać.

– Myślisz, że to ktoś od nas?

– Cały czas obstawiasz, że to Gończarz? – Uniósł brwi, zdziwiony, że zapytała wprost. – Daj spokój, facet ma alibi na noc zaginięcia Zawady.

– Wiem... – mruknęła, odwracając twarz do okna.

Odnosiła wrażenie, że im bardziej zbliżali się do centrum, tym powietrze było cięższe. Spaliny wisiały nad miastem, tworząc smog nawet o tej porze roku. Kiedyś chciała tutaj zamieszkać. Wyobrażała sobie, że będzie prowadziła życie pełne ekscytujących śledstw, a wieczorami bawiła się w krakowskich klubach. Jednak po kilku tygodniach pomieszkiwania u znajomej, która skończyła akademię rok przed nią, zdecydowała, że wróci do rodzinnego Czorsztyna. Kochała góry i brakowało jej codziennego widoku zalewu, nad którym dorastała. Nie wyobrażała sobie porannego biegu w maseczce antysmogowej na twarzy. Woląca, gdy mgła unosząca się znad jeziora osiadała jej na skórze.

– Zaraz będziemy na miejscu. – Piotr skręcił w Podgóorską i zerknął na zegarek. – Posłuchaj... to może być dla nas szansa. Jeżeli połączymy siły, być może uda nam się pchnąć śledztwo do przodu. Może zawiesimy broń chociaż na jedno popołudnie, co ty na to?

Odwróciła głowę, żeby się mu przyjrzeć. Zaskoczyła ją ta otwartość, zwłaszcza że żadne z nich nigdy nie zdobyło się na szczerą rozmowę.

– O czym gadałeś z Małeckim we wtorek? – zapytała wprost, przypominając sobie spojrzenie, którym ją obrzucił, gdy opuszczał gabinet naczelnika.

Milczał przez chwilę, a potem wzruszył ramionami.

– Obiecuj, że nie będziesz się śmiała...

– W porządku, obiecuję.

– Moja matka podsłuchiwała, jak Magiera rozmawiał z Bernardem Frasem. – Zabębnił palcami po kierownicy i zerknął na Annę, sprawdzając, czy nie oceniła go przez pryzmat plotkarstwa jego matki, a gdy upewnił się, że tak nie było, dokończył: – Twierdzi, że Magiera mówił o tym, że jakaś dziewczyna musi zniknąć.

Anna uniosła brwi. Dlaczego nie przesłuchali w takim razie Magiery? Dlaczego na ostatniej odprawie szef nie zająknął się ani słowem na temat tych rewelacji?

– Olał mnie.

– Nie naciskałeś? – Annę zdziwiło, że Piotr odpuścił. Nie spodziewała się tego po nim... A może właśnie taki był? Niepewny siebie chłopak, który działał z determinacją tylko wtedy, gdy miał zagwarantowany sukces?

– Daj spokój. Zagroził, że odsunie mnie od śledztwa, a i tak balansuję już na cienkiej linii, od kiedy wtopiłem z tą zapalniczką z szafki Zachary...

Coś było bardzo nie tak w całej tej sprawie. Małecki zachowywał się, jakby nie zależało mu na dorwaniu tego skurwiela, który masakrował dziewczyny.

– O co w tym wszystkim chodzi? – zastanawiała się głośno, a gdy spojrzał na nią pytająco, wyjaśniła: – Tak samo zareagował, gdy przyszedłem do niego z informacją o bieluniu, który Gończarz hoduje na grobie matki... W ciele Zachary były wszystkie substancje, które są w nasionach bielunia, a on uznał, że to zbieg okoliczności...

Piotr skręcił na parking przed galerią handlową, w której mieścił się zakład grawerski, i krążył przez chwilę, aby znaleźć miejsce.

– Słuchaj... a może powinniśmy przestać informować go o każdym pomysle?

– Chcesz prowadzić własne śledztwo? – Spojrzała na niego z zainteresowaniem. Być może Piotr Kurpiel nie był takim frajerem, za jakiego go uważała. – Jeżeli ktoś się o tym dowie...

Wzruszył ramionami, a ona nadal nie potrafiła odczytać jego intencji.

– Wiesz co? – Wysiadła i spojrzała na niego nad dachem samochodu. – To nie jest głupi pomysł.

Galeria była wypełniona po brzegi, jednak szybko przedostali się do części, w której mieścił się zegarmistrz, świadczący także usługi grawerskie. Piotrowi po wielu dniach w końcu udało się ustalić, gdzie wykonano napisy na zapalniczkach.

– Dzień dobry, aspirant Piotr Kurpiel. Rozmawialiśmy rano.

– Oczywiście, zapraszam. – Starszy mężczyzna odsunął na czoło szkła powiększające i zamknął pracownię, odwracając tabliczkę wiszącą na drzwiach. – W czym mogę państwu pomóc?

Anna przesunęła powiększone zdjęcia zapalniczek w stronę mężczyzny.

– Mówił pan, że kojarzy te napisy.

– Tak. Wykonywałem je ze dwa miesiące temu.

– Ma pan jakieś dokumenty dotyczące tego zamówienia? – Piotr oparł dłoń o blat, skupiając się na rozmówcy.

– Tylko wydruk z kasy fiskalnej, ale tam nie będzie danych klienta.

– A pamięta pan, kto złożył zamówienie?

Facet podrapał się po łysiejącej głowie. Anna zwróciła uwagę, że jego czoło i dłonie pokrywały plamy wątrobowe, a gdy przejechał paznokciami po suchej skórze na marynarce poleciały białe drobiny. Miała nadzieję, że wiek nie pogorszył jego pamięci i w końcu uda im się zrobić krok do przodu.

– Tę akurat pamiętam, chociaż zwykle nie przywiązuję wagi, kto zleca. To była taka młoda dziewczyna. Mogła mieć ze trzydzieści lat.

– Potrafiłby ją pan opisać? – Anna zerknęła na Piotra, który już wyciągał telefon, żeby ściągnąć magika od portretów pamięciowych.

– Sam nie wiem. Nie mam szczególnej pamięci do twarzy. – Skrzywił się. – Pamiętam, że miała krótką fryzurę, jak ta aktorka, która grała w filmie *Pulp*

Fiction. Wnuk zabrał mnie na to do kina. Pewnie chodziło mu o to, żebym kupił mu bilet, ale film był całkiem niezły – dodał, widząc zdziwienie na ich twarzach.

– Chodzi panu o Umę Thurman? Czarne włosy do brody z grzywką?

– No właśnie mówię. Dokładnie taka sama...

– Dlaczego akurat ją zachował pan w pamięci, skoro nie zapamiętuje pan swoich klientów? – Piotr wrócił do nich i zaplótł ramiona. – Trochę to dziwne, prawda?

– To przez te napisy. Podobały mi się zamówione cytaty i chwilę rozmawialiśmy. Rozpoznałem te pochodzące z Biblii. Wiecie państwo, moja żona ma bzik na punkcie Boga. Nic tylko powtarzałyby te dyrdymały, więc chcąc nie chcąc trochę tego zostało mi w głowie. Ale nie kojarzyłem pozostałych. Wstyd, bo okazuje się, że to klasyka literatury. Ale wiecie, jak człowiek się starzeje, to robi się wygodnicki i woli pogapić się w telewizor, zamiast złapać dobrą lekturę. Na swoją obronę mogę powiedzieć tylko, że oczy szwankują mi już od tego ciągłego ślęczenia nad zegarkami...

– Pamięta pan, o czym jeszcze rozmawialiście? – Anna przerwała jego przydługi wywód.

– Mówiła, że to dla męża.

– Zamówiła tylko te dwie zapalniczki?

– A gdzie tam... – Spojrzeli na niego zaniepokojeni. – Cały tydzień nad tym siedziałem. Chyba ze sześć tych zapalniczek było.

Anna się wzdrygnęła. Sześć zapalniczek dla sześciu ofiar... A to oznaczało, że ich seryjny był w połowie drogi. Przypomniała sobie litery wypalone na żebrach kobiet. „K”, „O” i „P”. Musieli odgadnąć przesłanie, zanim pojawi się kolejna.

– Jest tutaj monitoring? – Uniosła wzrok, szukając kamery, ale pod sufitem dostrzegła jedynie kilka pajęczyn.

– Tylko ten w galerii.

– W porządku. Na razie panu dziękujemy. Proszę nie wychodzić, dopóki nie przyjedzie do pana ktoś od sporządzania portretów pamięciowych, dobrze? – upewniła się, że grawer nie zniknie, zanim dokończą czynności. Wezwą go jeszcze na oficjalne przesłuchanie, ale na razie musieli sprawdzić zapisy z kamer.



Aleksandra Zawada nie zamierzała tak łatwo się poddać. Jej organizm był przyzwyczajony do walki. Od dziecka trenowała karate w lokalnym klubie. Wspiniała się po drzewach, zamiast bawić lalkami. Pomagała ojcu rąbać drewno w ramach codziennych ćwiczeń. Miała siłę, aby zaleczyć wszystkie rany, i właśnie to postanowiła zrobić, gdy po raz pierwszy wybudziła się w szpitalu.

Potem wracała i odpływała w nieskończoność. Nad jej twarzą pojawiały się kolejne obrazy. Najpierw sufit rozmazany światłem jarzeniówek. Potem telewizor umieszczony w rogu pokoju. W końcu zaczęła rozpoznawać pielęgniarki i tylko to pozwoliło jej mierzyć upływ czasu. Gdy przychodziła ta młodsza, pokój tonął w ciemnościach rozświetlonych jedynie blaskiem padającym z monitorów urządzeń, do których ją podłączono. Starsza z kobiet kojarzyła się Aleksandrze z brzaskiem poranka.

Wiedziała, że ma im do przekazania coś istotnego. Coś od niej zależało, ale gdy tylko próbowała się skupić na myśli, która kołatała jej w głowie, czaszkę rozsadał tępy ból.

Gdy wybudziła się pół godziny temu, przyjęła inną taktykę. Pamiętała lekcje medytacji, które zasponsorował jej klub. Rozluźniła się, aby oczyścić umysł. Rana na brzuchu zapiekła, gdy wzięła głębszy oddech. Starła się nie myśleć o bliźnie, która miała ją oszpecać już do końca życia. Uniosła dłoń do obandażowanej głowy. Lekarze wygolili sporo włosów, żeby zszyć ranę. Skąd ją miała? Jakiś przebłysk znowu pojawił się w ciemności, ale od razu zniknął.

Zamknęła oczy, nie walcząc dłużej z sennością. Lekarz mówił, że minie dużo czasu, zanim dojdzie do siebie. Wołała przespać kolejne godziny, niż wgapić się beczynnym w sufit. Liczyła piknięcia mierzące rytm jej serca, gdy pochwyciła jakiś szelest.

Nie zdążyła zareagować na widok mężczyzny, który stał przy drzwiach, przyglądając się jej, jakby była owadem przyszpilonym do kartki papieru, bo pokonał dzielącą ich odległość w dwóch krokach, uśmiechając się do niej w sposób, od którego przeszły ją dreszcze.

– Dlaczego nie chcesz umrzeć, co? – Pochylił się nad nią, dociskając dłoń do jej ust. Zapach lateksowej rękawiczki mieszał się z naturalną wonią skóry, mydła i mocnego alkoholu. – Tak bardzo się staram, żeby było bezboleśnie, a ty nie chcesz się poddać.

Odnosiła wrażenie, że jej mózg zaraz eksploduje od krwi, która napływała do głowy, i braku powietrza, gdy drugą dłoń zacisnął na jej szyi. Palce Aleksandry ślizgały się po jego rękach, gdy próbowała wyrwać się z uścisku, w którym ją trzymał, ale udało jej się tylko wyszarpnąć wenflon tkwiący w zgięciu ręki.

Miała nadzieję, że ktoś usłyszy, jak kopała stopami w materac łóżka. Narobiła wystarczająco dużo hałasu, aby zaalarmować kogoś z personelu. Coś musiał zrobić z urządzeniami, do których była podłączona. Jej organizm wariował i aparatura powinna zareagować, jednak oprócz zduszonego krzyku i odgłosów uderzania w pokoju panowała cisza.

Obraz zamazywał się coraz bardziej. Nie mogła już skupić wzroku na jego twarzy. Nigdy nie pomyślałaby, że stanowił zagrożenie. Nigdy nie wskazałaby go jako zabójcy. Ostatnie, o czym pomyślała, to że nie będzie już miała trzeciej szansy. Zaraz wszystko się skończy. Potrafiła walczyć, ale dobrze wiedziała, kiedy nadchodziła przegrana...

Rozdział 24



– Przestań to powtarzać! – Dobrochna potrząsnęła bratem tak mocno, że jego głowa odskoczyła do tyłu, a srebrna zapalniczka, którą trzymał w ręku, upadła na podłogę. Nie zwróciła na nią uwagi. Janek pewnie znalazł ją, wędrując całymi dniami po okolicy, albo podkradł jakiemuś nieuważnemu turyście.

Była rozgoryczona i zła. Rzadko pozwalała sobie na chwile słabości, ale teraz miała ochotę zostać sama. A właściwie chciała być z Igorem, którego nie spotkała tamtego dnia, gdy pojechała do niego z osady. Gdziekolwiek był, nie pojawił się w domu, mimo że czekała nad brzegiem jeziora kilka godzin. I z każdą mijającą chwilą była coraz mniej przekonana o słuszności swojej decyzji. Nie mogła pozwolić, aby serce dyktowało jej, co powinna robić.

I gdy w końcu wrócił do domu, jej nie było już w pobliżu. Zmusiła się, aby zwykły chłód znowu opanował jej ciało. Racjonalne decyzje były lepsze niż porywy serca, którym pozwalała dochodzić do głosu w chwilach słabości.

– Ola, Hania zła... ogień... następna... kara...

Janek znowu wpadł w jeden z tych swoich nastrojów. Bełkotał coś nieskładnie pod nosem, a jego ciało zdawały się przejmować demony. Nie umiała wyłuskać sensu ze słów, powtarzanych przez brata już którąś godzinę z rzędu.

Złapała go za dłonie, aby choć na chwilę przestały trzepotać. Kochała Janka całym sercem, ale czasami równie mocno go nienawidziła. Gdyby nie on, mogłaby rozpocząć nowe życie. Wynieść się z dala od przeklętej osady. Z dala od wspomnień, które łamały jej serce.

Były dni, gdy nachodziły ją dziwne myśli. Gdyby nie Janek, być może wszystko potoczyłoby się inaczej? Może jej rodzice by żyli? Łatwiej opuścić rodzinny dom, gdy ma się zdrowe dzieci. Mogliby zamieszkać w Krakowie, ale matka chciała, aby

Janek wychowywał się wśród gór. Kontakt z przyrodą go uspokajał. Sprawiał, że znikwały uciążliwe tiki, a chłopiec oddychał swobodniej.

Dobrochna zostawiła go na krześle, na którym na wpół leżał, i wyciągnęła z szafki zioła. Wsypała do dzbanka przygotowaną wcześniej mieszankę, którą ulepszała przez lata. Już dawno temu zauważyła, że kozłek lekarski, którego korzeń ścierała na pył, pomagał mu zwalczyć skurcze dłoni, które tak bardzo go denerwowały. Zagięte w szpony palce sprawiały, że chodził w kółko po izbie, mamrocząc pod nosem. Czasami opędał się od duchów, które widział tylko on. To znów wyszczerzał do niej zęby, jak dzikie zwierzę złapane w pułapkę.

Żyjąc z nim pod jednym dachem, doskonaliła sztukę uważności. Umiała w porę wychwycić drobne zwiastuny nadciągającego nieszczęścia. Ale czasami się spóźniała, tak jak dzisiaj. Dlatego na wszelki wypadek dołożyła do mieszanki również męczennicę i dziurawiec. Ryzykowała tym, że Janek zwymiotuje napar, ale jeżeli będzie miała szczęście, brat zaśnie, dając jej chwilę wytchnienia.

Nigdy nie powiedziała nikomu, że leczyła Janka samodzielnie. Gdyby ta wiadomość dotarła do kuratorki, mogłaby stracić status opiekunki brata.

– Pij! – Postawiła przed nim kubek, jednak on odsunął go od siebie, urażony jej ostrym tonem.

– Ola, Hania zła... ogień... następna... kara... – mruknął i poklepał się po skroni, a gdy machnął dłonią, kubek spadł na podłogę. – Janek tajemnica...

Zacisnęła zęby i schyliła się, aby posprzątać bałagan, który zrobił. Gdyby tylko go zrozumiała. Gdyby rozszyfrowała powtarzane z uporem słowa, być może potrafiłaby go ukoić.

Schyliła się, żeby podnieść kubek, w którym obtłukło się ucho, i jej wzrok przyciągnęła srebrna zapalniczka. Przyjrzała się enigmatycznemu przesłaniu.

– „Krwawa nauka, którą dajem, spada na własną naszą głowę”^[2] – Uniosła wzrok i skupiła spojrzenie na Janku.

Nie potrafił czytać, a jednak zdawał się rozumieć, że w tych słowach chodziło o karę... Może więc Janek próbował jej coś powiedzieć i frustrował się, że go nie słuchała?

– Co takiego chcesz mi powiedzieć?

– Ola... Hania... zła...

Janek rzadko zwracał się do kogoś imieniem. Nadawał ludziom przezwiska, bo tak łatwiej mu było ich zapamiętać. Dlaczego więc upodobał sobie akurat te dwa? Być może kojarzył imię Zawady. Musiał je słyszeć nieraz w ostatnich dniach. A Hania? Czy chodziło o wnuczkę Kobuzów, która często przechodziła obok ich chaty, żeby odwiedzić dziadków?

Dobrochna wzdrygnęła się, gdy przypomniała sobie opis obrażeń Aleksandry. Być może śledztwo prowadzone przez policję objęte było tajemnicą, jednak ludzie gadali, przekazując sobie plotki. Na bokach dziewczyn ktoś wypalał litery. W miejscu znalezienia Zawady tliło się ognisko...

– Coś ty widział? – Spojrzała na brata, nagle zdając sobie sprawę, że mógł być świadkiem przestępstwa.

Wahała się długą chwilę. Wiedziała, że Janek nie poradziłby sobie w trakcie policyjnego przesłuchania. W końcu podniosła się i pogładziła go po głowie.

– Wszystko będzie dobrze. Nie martw się. – Uśmiech, który jej posłał, utwierdził ją w przekonaniu, że musi coś zrobić. – Pójdę wszystko naprawić, dobrze? A ty zamknij drzwi i nikogo nie wpuszczaj do środka.

Zanim wyszła, ukucnęła przy luźnej klepce, gdzie czekała na nią przeszłość. Wyjęła pogniecioną kopertę i obracała ją w dłoniach, dając sobie czas na ostateczne podjęcie decyzji. W końcu rozerwała papier. Pismo ojca było drobne i schludne. Odczytując kolejne zdania, cofała się do przeszłości i nagle wszystko stało się jasne.



Zapis z monitoringu nie obejmował korytarza, w którym mieścił się zakład grawerski, więc skupili się na kamerach umieszczonych przy wejściach do galerii. Anna przeglądała zapis z tej przy głównym wejściu, a Piotrowi przypadły te przy wejściu od strony mniejszego parkingu.

Wpatrywał się od pół godziny w zapis przewijany w przyspieszonym tempie, zerkając od czasu do czasu na Zdrojewską. Zdziwiło go, gdy tak szybko podchwyciła jego sugestię, aby nie zdradzać wszystkich ustaleń szefowi. Był wściekły na Małeckiego i wymusnęło mu się w rozmowie z Anną zbyt wiele, ale teraz mógł obrócić to na własną korzyść. Jeżeli policjantka faktycznie zacznie ukrywać przed komisarzem swoje ustalenia, być może Piotr mógłby go o tym

poinformować. Ale w tym celu musiał zdobyć jej zaufanie, a to nie będzie łatwe. Dobrze wiedział, co o nim myślała. Trzymała z tamtymi dziewczynami w Szczytnie, które nie rozumiały, co znaczy dobra zabawa... Ledwo wywinął się od oskarżeń tamtej blondynki, której imienia już nawet nie pamiętał. Dobrze, że kumple z pokoju zapewnili mu alibi, bo inaczej... Wzdrygnął się na samo wspomnienie szorstkiego głosu komendanta, który go wtedy przesłuchiwał.

– Dobrze się czujesz? – Zdrojewską charakteryzowała spostrzegawczość. Nawet nie odrywając wzroku od monitora, potrafiła wyczuć, że coś było nie tak.

– Jasne. – Kaszlnął w zwiniętą pięść, żeby zamaskować skrępowanie. – Wydawało mi się, że coś zobaczyłem.

Przytaknęła, nadal na niego nie patrząc. Błękitna poświata padała na jej twarz, upodabniając ją do Pauliny Chryc. Jeżeli udałoby mu się poprowadzić sprawę zgodnie ze swoim zamysłem, ona również będzie trupem. Zawodowym, ale to zawsze coś...

– Proszę zatrzymać! – W końcu się do niego odwróciła. – To chyba ona...

Pochylili się nad monitorem i zapis ruszył ponownie. Kamera uchwyciła sylwetkę kobiety ostrzyżonej na pazia. Czarna grzywka wpadała jej do oczu, gdy szła z pochyloną głową. Piotr nie potrafił oderwać od niej wzroku. Była hipnotyzująca. Lawirowała swobodnie w tłumie, nie okazując żadnego zdenerwowania. Granatowe dżinsy opinały szczupłe nogi, a motocyklowa kurtka dodawała jej uroku. Była zabójcą? Starzec mówił coś o prezencie dla męża, ale być może źle zakładali. Być może to ona wypatroszyła te dziewczyny. Pomysł, że mógłby ją ścigać, sprawił, że po kręgosłupie przesunął mu się przyjemny dreszcz.

– Macie kamery na zewnątrz? – Zdrojewska zwróciła się do ochroniarza.

– Jest jedna skierowana na wejście, ale nie obejmuje zbyt dużego terenu.

– Proszę znaleźć zapis z tej godziny. Być może to nam wystarczy...

Po chwili przyglądali się, jak kobieta wsiadała do taksówki, która czekała na nią w zasięgu kamery.

– iTaxi Kraków... Może mi pan przesłać zapis ze wszystkich kamer z tego dnia na ten adres? – Zdrojewska podała facetowi służbowego e-maila, a potem skinęła głową na Piotra.

Podążył za nią do wyjścia, uznając, że ich robota w tym miejscu była już zakończona.

– Mają siedzibę na Walerego Sławka. – Anna zerknęła do telefonu, sprawdzając na mapie ulicę, na którą musieli się dostać. – To po drugiej stronie miasta, ale...

Zanim dokończyła, komórka rozdzwoniła się w jej dłoni. Odebrała i zmarszczyła brwi, słuchając tego, co miał do powiedzenia rozmówca. Kiedy skończył, spojrzała na Piotra, a w jej oczach coś niebezpiecznie błyszczało.

– Musimy wracać. Aleksandra Zawada nie żyje...

Rozdział 25



– Trzeba ustalić, kto miał dostęp do osady...

– Dostęp? – Komisarz Małecki parsknął, słysząc słowa prokuratora Paluszkiewicza. – Łatwiej ustalić, kto tam nie włąził przez te wszystkie lata.

– To dużo kości. Niemożliwe, że ktoś schował je na tym strychu niezauważony – upierał się Paluszkiewicz, a Małecki zdał sobie sprawę, że młodość napędzała prokuratora do działania.

– A jednak tak się stało – odpowiedział spokojnie, uderzając fajką w blat stolika. Pokój prokuratora był bez wyrazu. Żadnych pamiątek, dyplomów czy innych przedmiotów, które przez lata zalegały w pokoju komisarza. Pomieszczenie, w którym siedzieli, zdradzało nastawienie mężczyzny do tego miejsca. Nie chciał zostawać tu na dłużej, więc może Małecki powinien pociągnąć za parę sznurków i załatwić mu wcześniejsze przeniesienie. Z prokuratorem Krysiem, który był przełożonym siedzącego naprzeciwko niego mężczyzny, znali się jak łyse konie. Może gdyby załatwił mu przeniesienie, miałyby w końcu spokój? – Poza tym mamy ważniejsze sprawy niż te stare kości.

– Nie wiem... – Paluszkiewicz potarł rzadki zarost. – Ta sprawa nie daje mi spokoju. Przeszukaliśmy akta z ostatnich dwudziestu kilku lat i nic nie znaleźliśmy. Jak to możliwe, że kilkanaście osób zniknęło bez śladu?

Małecki zacisnął szczękę. To było możliwe. Zdarzyło się niejedyn raz...

Wrócił pamięcią do dnia, gdy Magiera zaatakował Piotra Hilderbrandta.

Dawniej...

– Co tu się do cholery dzieje? – warknął komisarz, gdy młodszy rangą funkcjonariusze zdejmowali Magierę z przeciwnika.

Dzień był upalny, a silny wiatr podrywał piasek z rozjeżdżonych przez ciężarówki dróg, rzucając go w twarze ludzi przyglądających się walczącym mężczyznom.

– Ten gnój rozkrada wykopaliska! – Magiera szarpał się pomiędzy policjantami. Najwyraźniej w końcu pękł i był teraz jak odbezpieczony pistolet.

Komisarz nie miał pojęcia, co powinien zrobić. Chciał, aby sprawy, które znali tylko nieliczni, pozostały nieodkryte. Odwrócił się do Piotra Hilderbrandta, który podniósł się z ziemi i z niewzruszonym wyrazem twarzy przyglądał się Magierze.

Tłum nie był jego sprzymierzeńcem. Piotr był przyjezdny, a Magiera miejscowy. Ludzie temu drugiemu kibicowali instynktownie. Potakiwali, gdy oskarżał Piotra. Nie zamierzali reagować, nawet jeżeli Magiera miałby zatłuc go na śmierć.

– Chyba coś ci się pomyliło... – Hilderbrandt przetarł ramieniem rozciętą wargę, a gdy odsłonił usta, na jego twarzy rozciągał się kpiący uśmiech.

– Widziałem cię, gnoju... Widziałem kartony, które wynosiłeś. Były pełne kości... – Spojrzał na komisarza wymownie, wiedząc, że tamten zdawał sobie sprawę, że nie chodziło o ekshumowany cmentarz...

– Magiera, uspokój się, do cholery – warknął Małecki. Musiał interweniować, zanim Bogdanowi wymsknie się zbyt wiele.

– Też mi nie wierzysz? – Magiera zacisnęła pięści i splunęła komisarzowi pod nogi. To była wyraźna zniewaga. Jeżeli ją zignoruje, straci posłuch wśród mieszkańców, nad którymi miał czuwać.

– Jeszcze słowo, a posadzę cię na dołku. – Stanął z nim twarzą w twarz tak blisko, że poczuł jego nieświeży oddech. – Dobrze wiem, co czeka cię w domu, gdy Dorota dowie się, że znowu cię zamknąłem.

– Mam to w dupie. – Magiera zdawał się zbyt wściekły, aby przejąć się groźbą. – Skoro jesteś tu po to, aby pilnować porządku, może sprawdzimy szopę Hilderbrandta?

Małecki poczuł na sobie spojrzenia ludzi, które zdawały się wypalać mu skórę. Gdyby nie zależało mu tak bardzo na pozorach, z chęcią poluzowałby teraz kołnierzyk koszuli. Czy Magiera ostatecznie zwariował? Kusił los w obecności tylu świadków...

Zerknął na Piotra stojącego spokojnie kilka metrów od nich. Wiatr rozwiewał jego jasne włosy. Mrużył oczy przed słońcem, jednak zdawał się niewzruszony. Może więc Małecki powinien zaryzykować? Ulec żądaniom Magiery i modlić się, aby nie mylił się co do Hilderbrandta?

– W porządku... – mruknął i skinął na policjantów, żeby puścili Magierę. – Załatwmy to raz na zawsze...

Szli drogą ciągnącą się wzdłuż Dunajca. Niedługo na tym odcinku miało powstać jezioro. Wartki prąd rzeki zastąpią leniwe wody wielkiego zbiornika. Małecki poczuł żal za miejscem, w którym dorastał. Wcześniej wydawało mu się, że wybudowanie zapory było świetnym pomysłem, jednak od kiedy rozpoczęły się prace w starej osadzie, nabierał coraz większych wątpliwości.

Obejrzał się przez ramię. Tłum maszerował drogą za jego plecami. Ludzie po przesiedleniu ich w nowe miejsca stracili swoje pola. Nie uprawiali już zbóż na taką skalę jak dawniej i nuda wkradała się do ich życia. Musieli zająć czymś głowy, zastąpić ponure myśli innymi. Dlatego szli zakurzoną drogą, zdeterminowani, że gdy będzie trzeba, dokonają samosądu...

Zagroda Hilderbrandtów była stara, a deski w ścianach połamane. Piotr był naukowcem. Nie mieli z Marią zwierząt hodowlanych ani nie uprawiali zboża, które gdzieś trzeba było przechowywać, więc budynek niszczał, coraz bardziej zapadając się w piaszczystym gruncie.

– Otwórz. – Małecki zwrócił się do Piotra, wskazując na krzywe wrota, po czym odwrócił się do ludzi gromadzących się na niezagospodarowanym podwórzu. – Nikt się stąd nie ruszy, rozumiecie?

Począł czekać, a gdy przez tłum przetoczył się pomruk aprobaty, przekroczył duszne wnętrza stodoły.

W powietrzu unosił się kurz, którego drobinki mieniły się w promieniach słońca wpadających przez szczeliny między deskami. Dookoła panował nieporządek. W tyle stodoły ułożono jedne na drugich połamane meble. Po prawej stronie piętrzyła się sterta pociętego drewna, przy której leżała zardzewiała siekiera. Małecki przesunął się tak, aby stanąć pomiędzy ewentualnym narzędziem zbrodni a Magierą.

Nie wierzył w jego głupie gadanie. Zresztą nawet jeżeli Bogdan mówił prawdę, to o niczym nie świadczyło. Kości nie potrafiły mówić. Nie mogły opowiedzieć

historii, którą chcieli ukryć...

– No więc? – Piotr spojrział na nich wyczekująco. – Możecie przeszukać każdy kąt. Nie mam nic przeciwko temu.

Skierowali się do kartonów, które stały wciśnięte w róg pomieszczenia. Było ich całkiem sporo. Ułożone w chwiejny stos, zdawały się być ostrzeżeniem. Serce zabiło mu szybciej, gdy Magiera sięgnął po ten, który leżał najbliżej i szarpnięciem rozdarł gruby papier...

– Niech pan wyśle ludzi, żeby popytali w okolicy. Na pewno ktoś znał tych zmarłych. Do cholery... kilkanaście osób zginęło w ogniu i nikt by o tym nie wiedział?

– Czasami tak bywa... – Małecki spojrział na Paluszkiewicza nieprzytomnym wzrokiem. – Czasami kości nie chcą wyjawić swoich tajemnic.

– Nic z tego. – Prokurator zaplótł ramiona na piersi. – Mogę się z panem komisarzem założyć, że dotrzemy do prawdy.



Bogdan Magiera zważył w dłoni zardzewiałą siekierę i przełknął ślinę.

Był zły, że o wszystko trzeba było zadbać samemu.

Tęsknił za dawnymi czasami, kiedy nie musiał uciekać się do przemocy. Dawno temu jego bronią był intelekt. Uwielbiał chłonać wiedzę. Godzinami przesiadywał w bibliotekach, szukając informacji w archiwalnych rocznikach. Ale nic nie fascynowało go tak bardzo jak stare kości. To dlatego zaraz po studiach rozpoczął pracę na Uniwersytecie Jagiellońskim w instytucie archeologii. Jego badania wykopaliskowe na zamku pienińskim przyniosły mu spory rozgłos. Zamek w Czorszynie miał być kolejnym w jego dorobku.

Ale wtedy rozpoczęła się budowa tej cholernej tamy, która pokrzyżowała wszystkie jego plany. Musiał zatrudnić się przy wykopaliskach w Maniowach. Dopilnować, żeby przeniesiono wieś bez zbędnego zagłębiania się w przeszłość. I prawie mu się udało. Gdyby nie Piotr Hilderbrandt, który ukradł mu stanowisko kierownika wykopalisk, Bogdan byłby teraz w zupełnie innym miejscu...

Ale w tym momencie najbardziej tęsknił za jednością, którą wtedy stanowili mieszkańcy wsi. Przypomnił sobie dumę rozsadzającą mu klatkę piersiową, gdy stanęli w jednym szeregu. Minęło już tyle lat, a on nadal to czuł.

A teraz? Czasy się zmieniły. Ludziom żyło się lepiej i ta wygoda ich rozleniwiała. Nie byli gotowi walczyć o siebie jak dawniej. Myśleli, że życie samo się poukłada. Że ktoś załatwi za nich wszystko.

Choćby Małecki... Był przeciwny radykalnym rozwiązaniom. Najwyraźniej zmiękł przez minione lata albo zapomniał, że dawne sprawy mogą pociągnąć go na dno, tak jak wszystkich pozostałych.

Bogdan mógłby spróbować przekonać Kobuza. Jeżeli ktoś miał wpływ na komisarza, to na pewno on. Ale gdy widzieli się ostatni raz, Kobuz zdawał się trzymać stronę Małeckiego. A to nie był czas na rozważne działania.

Gończarz nie nadawał się ostatnio do niczego. Śmierć matki zmieniła go nie do poznania. Bogdan pomyślał z obrzydzeniem o kobiecie, której kości rozpadały się już na cmentarzu. Wtedy przewidywał, że będzie utrudniała sprawy, stanie w obronie tych, którym tak wiele zawdzięczała. Ale gdy przyszło co do czego, nie namyślała się długo. Właściwie to ona wbiła ostatni gwóźdź do trumny, pomagając zamknąć stare sprawy.

Ale teraz nie było już Gończarzowej, a na pozostałych nie mógł liczyć. Dlatego zacisnął palce na drewnianym trzonku i zrobił krok do drzwi. Ta dziewczyna musiała zniknąć. Kolejna ofiara tamtej historii. Ale być może już ostatnia. Być może, gdy ona odejdzie, już nikt nie będzie musiał zginąć.



Rower podskakiwał na nierównej drodze, którą wybrała, a koła ślizgały się co chwilę w głębokim piasku. Dobrochna rozejrzała się po łąkach. Na rudej trawie kładła się jeszcze mgła, ale słońce świeciło coraz mocniej, przenikając powietrze ciężkim zapachem ziemi. Czysta woń wilgoci unosiła się wokół niej, jeszcze nienasycona aromatem kwitnących ziół i wypasających się na halach zwierząt.

Mogła dostać się do Nowego Targu szybszą trasą, jednak wolała trzymać się z daleka od ludzi. Poza tym musiała przemyśleć kilka kwestii, a otaczająca ją przyroda ją uspokajała.

Zabrana bratu zapalniczka wypalała dziurę w kieszeni jej długiej sukienki, a słowa wygrawerowane na srebrnej obudowie wracały do niej bez przerwy. Tak jak słowa ojca zapisane na poźółkłej przez lata kartce.

Nazwiska ofiar łączyły się ze sobą. Nie miała już wątpliwości, że sprawca miał plan. I była zdumiona, że Małecki nie wpadł jeszcze na rozwiązanie. A może doskonale zdawał sobie sprawę z tego, co zamierzał zabójca, ale nie chciał zdradzać się z tą wiedzą? Być może gdyby wyprzedził kolejny ruch przestępcy, ludzie domyśliliby się prawdy? A komisarz miał wiele do stracenia. Może nie tak wiele jak ona, ale niewątpliwie powinien się bać. Przeszłość podnosiła głowę. Ktoś złamał łączy ich od dawna pakt.

Gardło się jej ścisnęło, gdy jeszcze raz rozważyła swoją decyzję. Ale czy miała wybór? W jednej sprawie zgadzała się z Małeckim. Przeszłość powinna pozostać przeszłością. Żadna zemsta nie naprawi tego, co kiedyś uczynili. Żadna śmierć nie wynagrodzi tamtego zła. Dlatego musiała rozmówić się z mężczyzną, o którym ojciec wspominał w liście. Ochronić Hannę Fras, której imię, jak się domyśliła, powtarzał bez ustanku Janek. Musiała zmienić jej przeznaczenie.

Kurz na drodze uniósł się wraz z podmuchem wiatru, zasłaniając na moment widoczność. Dobrochna oderwała dłoń od kierownicy, żeby osłonić oczy przed drobinkami piasku kłującymi ją w skórę. Las był już w zasięgu wzroku. Tam znajdzie schronienie, jak zwykle.

Za jej plecami zawarczał silnik zbliżającego się z dużą prędkością samochodu. Skreśliła w prawo, zatrzymując się przy na wpół uschniętej jabłoni. Teren rozciągający się przed nią był ogrodzony elektrycznym pastuchem.

Miała nadzieję, że drzewo osłoni ją przed wzrokiem innych, jednak samochód zahamował gwałtownie tuż przy niej, podrywając jeszcze większe tumany kurzu.

– Wsiadaj! – Ostry ton sprawił, że jej ciało się spięło. Instynktownie cofnęła się, opierając plecy o jabłoń.

Mężczyzna obszedł samochód i zatrzymał się zbyt blisko niej. Odległość, która ich dzieliła, nie zapewniała jej komfortu. Kwaśny zapach potu spowodował, że wstrzymała oddech. Przesunęła wzrok po jego tłustych włosach. Po ciemnych sińcach, które znaczyły skórę pod jego oczami. Wbrew sobie poczuła strach.

Nie chciała, żeby zorientował się, w jakim była stanie. Nauczyła się tego tamtej nocy, gdy spłonęli jej rodzice. Zawsze trzymała emocje na wodzy. Nawet

najdrobniejszy ruch mógł zdradzić zbyt wiele. Potrafiła czytać ludzi, wylapywać informacje, które plątały się między wypowiedzianymi przez nich słowami, ale sama była mistrzynią stwarzania pozorów.

– Włóż do samochodu albo zaciągnę cię tam siłą.

Spojrzała na terenowy wóz, który widziała już wcześniej. Myśli plątały się jej bez końca. Nigdy nie obawiała się człowieka, który chwycił ją za ramię i ścisnął mocno, ale teraz zrozumiała, że to był błąd. W jego oczach dostrzegła szaleństwo. Błyszczały niebezpiecznie. Taki sam wzrok widywała u Janka, gdy wpadał w trans.

– Gdzie się wybierasz? – Zerknął przez ramię na drogę, która prowadziła do Nowego Targu.

Nie zamierzała mu odpowiadać. Wyrwała się z jego uścisku i wsunęła dłonie do kieszeni, zaciskając palce na zapalnicze. Dotyk zimnego metalu sprawił, że pomyślała o Janku.

– Musimy porozmawiać...

– Nie. – Drgnął, jakby go spoliczkowała, a usta wykrzywiły mu się w nieprzyjemnym uśmiechu.

– Zawsze lubiłaś sprawiać problemy... – Jego wzrok stał się mglisty. Odniosła wrażenie, że zwracał się bardziej do siebie niż do niej. – Mogłem się domyślić tego już tamtej nocy na wykopaliskach.

Ciszę pomiędzy nimi rozdarł wrzask czarnego bociana, który poderwał się z ptasiej wyspy utworzonej kilka lat wcześniej na jeziorze. Skupiła wzrok na jego rozpostartych skrzydłach, byle tylko nie patrzeć w oczy mężczyzny.

– W porządku – westchnął. – Nie pozostawiasz mi wyboru.

Wydawało się jej, że była przygotowana. Że miała siłę, żeby z nim walczyć. Jednak gdy przyciągnął ją do siebie, jej ciało okazało się zbyt słabe. Ścisnął ją mocno, wypychając powietrze z jej płuc.

Zaparła się stopami w piaszczystym podłożu, a gdy to nie pomogło, próbowała kopać. Podniósł ją z łatwością i wrzucił na tył samochodu jak śmieć. Poderwała się w chwili, gdy jej plecy uderzyły o brudną tapicerkę, ale chwycił ją za warkocz i szarpnął z całej siły. Mogłaby przysiąc, że usłyszała dźwięk wyrywanych włosów. Wyrzuciła rękę przed siebie i udało jej się dosięgnąć twarzy napastnika. Poczwała, jak paznokcie rozorały mu skórę na policzku. Roześmiał się gardłowo, nie zwracając uwagi na krew spływającą do kącika ust.

Dobrochna przestała walczyć w chwili, gdy zrozumiała, że szarpanie się z nią sprawiało mu przyjemność. Delektował się tym, że stawiała opór. Że postanowiła się bronić, zamiast wypełniać jego polecenia.

– Grzeczna dziewczynka. – Zapalniczka wysunęła się z kieszeni sukienki i upadła z cichym brzękiem na podłogę. Podniósł ją powoli i obrócił w palcach. – A może jednak nie tak grzeczna, jak bym chciał...

Płomień migotał przed jej twarzą tak długo, aż zapalniczka rozgrzała się, parząc mu skórę.

– Nie tak to miało wyglądać. – Pokręcił głową z rezygnacją. – Wszystko popsukaś...

Zauważyła siekierę dopiero, gdy uniósł ją nad głowę. Nie wierzyła, że mógłby ją zabić, a jednak lodowaty dreszcz przesunął się po jej kręgosłupie. Próbowwała odczołgać się poza zasięg jego rąk, ale bagażnik ograniczał jej ruchy. Pomyślała o Janku. O matce, której grobu nie odwiedzała już zbyt długo. O drodze na Trzy Korony, którą tak często przemierzała z ojcem...

Rozdział 26



Burza zmyła z drzew pył, który przyniósł ze sobą porywisty wiatr. Liście mieniły się soczystą zielenią, a promienie słońca odbijały w mokrych chodnikach i elewacjach starych budynków. Schutt skręcił w ulicę prowadzącą w dół wsi, gdzie świeżo zaorana ziemia pachniała intensywnie wilgocią. Ciężkie buty rozchlapywały kałuże z charakterystycznym plaskaniem. Gdy mijał częściowo obalony parkan, duży owczarek szarpnął się na łańcuchu. Igor zwrócił uwagę na jego zmechaconą sierść i zaropiałe ślepia. Stary pies od dawna nie powinien pilnować obejścia. Lepiej by mu było w ciepłym wnętrzu domu, jednak jak każdy miał do odegrania swoją rolę. Ten pies strzegł kur stroszących mokre pióra, gdy Igor zmierzał do gospodarstwa Sromowców.

Nie otrzymał kolejnej wiadomości, jednak to nie miało znaczenia. Miał już dosyć bierności. Za dobrze pamiętał dni w celi, gdy każda godzina ciągnęła się w nieskończoność. Nadmierna ilość wolnego czasu, za którą dałby wszystko, gdy jeszcze studiował w Krakowie, w zamknięciu stawała się przekleństwem. Do tego ograniczona przestrzeń i swoboda poruszania się, a także brak celu... Przyspieszył, odpychając od siebie nieproszone myśli. Musiał porozmawiać z rodziną Sławomira Sromowca. Osobom postronnym niechętnie udzielano pozwolenia na widzenia, więc miał małe szanse na spotkanie z nim samym, ale Sromowiec miał synów. Jeżeli zgodzą się mu pomóc, być może będzie mógł rozwikłać przeszłość związaną z rodzeństwem Hilderbrandtów i uratować kolejną ofiarę.

Dom wyglądał zaskakująco zwyczajnie. Murowana chałupa, przy której postawiono pobielone pomieszczenia gospodarcze. Wszędzie panował porządek i nic nie wskazywało na to, aby skazanie Sławomira odcisnęło na tym miejscu

piętno. Obejście mogłoby stanowić pocztówkę regionu, z ośnieżonymi szczytami Tatr majaczącymi w oddali i srebrzącą się w słońcu taflą jeziora.

Furtka zaskrzypiała cicho, gdy pchnął ją i wszedł na podwórko.

– Mogę w czymś pomóc? – Szczupły mężczyzna ściągnął czapkę z głowy i otarł pot z czoła. Jego wyjściu ze stodoły towarzyszyło głośne beczenie owiec.

– Dzień dobry. Szukam rodziny Sławomira Sromowca.

Mężczyzna wyprostował ramiona i uniósł głowę, zapewne przyzwyczajony, że przeszłość rodziny budziła zainteresowanie. Igor obserwował go, gdy zrobił krok w jego stronę.

– Nie ma pan tu czego szukać. Proszę odejść.

Schutt doskonale go rozumiał. Tę niechęć do dotykania tego, co było przeszłością. Ale to nie miało żadnego znaczenia. To, czego pragnął ten mężczyzna, nie mogło stanąć na drodze do uratowania innych.

– Jest pan synem Sławomira? Chciałem jedynie porozmawiać o...

– Jeszcze wam nie wystarczy? – facet wszedł mu w słowo, nie zaprzeczając, że ze skazanym łączyły go więzy krwi. – Po tylu latach nadal nie macie dość?

– Nie przyszedłem tu w imieniu innych. – Igor pomylił się wcześniej. Wydarzenia z przeszłości nadal kładły się cieniem na życiu tej rodziny. Musiał zrobić coś, aby zdobyć zaufanie tego mężczyzny.

– I dobrze. – Wyjął z kieszeni brudną chustkę i ponownie otarł pot z czoła. – Lepiej dla pana, że trzyma się od nich z daleka. Powiadają, że ta wieś jest przeklęta. Ale to ludzie ją taką uczynili.

– Dobrzy ludzie również mogą się mylić...

Mężczyzna przyglądał mu się długą chwilę, oceniając, czy warto prowadzić dalszą rozmowę. W końcu wypuścił powietrze z głośnym sapnięciem.

– Dobrzy ludzie uczą się na błędach, nie powtarzają ich...

– Co ma pan na myśli?

– To już nie jest ważne. – W jego słowach czaiła się pretensja.

– Niech mnie pan posłucha... Być może te zabite dziewczyny mają coś wspólnego ze sprawami z przeszłości. Może gdyby pomógł mi pan rozwikłać tę sprawę, ludzie inaczej spojrzeliby na to, co zdarzyło się wtedy.

– Nie potrzebuję ludzkiego wybaczenia. Ani ja, ani nikt z mojej rodziny. Proszę tu więcej nie przychodzić. – Mężczyzna odwrócił się do niego plecami. – Nie ma pan tu z kim rozmawiać...

– Może mógłbym spotkać się z pana bratem? – Igor chwycił się ostatniej szansy, jaka mu pozostała, jednak Sromowiec nie chciał powiedzieć mu już nic więcej.

Obserwował, jak mężczyzna oddalał się wolnym krokiem w stronę domu. Sprawiał wrażenie, jakby toczyła go jakaś choroba. Jego ciało było zbyt szczupłe, a oddech za ciężki. W końcu odwrócił się do niego po raz ostatni.

– Nie pomogę panu w tej sprawie, a mój brat... – Zawiesił głos, Igor zaś dostrzegł na jego twarzy żal. – Nie mam już brata.



Janek nie potrafił policzyć, ile czasu minęło, od kiedy ostatni raz widział siostrę. Słońce wstawało po lewej stronie domu, a potem wspinało się powoli na niebo, aby na koniec skryć się za lasem.

Był głodny. Brzuch bolał go już tak bardzo, że złamał obietnicę daną Dobrochnie i zszedł do niewielkiej piwnicy wykopanej w ziemi na tyłach podwórka. Nie lubiła, gdy tutaj zaglądał, ale on nie znalazł w domu nic do jedzenia, a przecież zabroniła mu wychodzić za płot przed swoim powrotem. Poza tym był na nią zły. Zabrała zapalniczkę, którą znalazł w grocie. Gdy tylko myślał o tamtym miejscu, jego ciało znowu przestawało go słuchać. Obrazy sprawiały, że mięśnie się spinały i nie dawał rady zapanować nad swoimi nieposłusznymi dłońmi. Dobrze rozumiał, co się tam wydarzyło. Ludzie uważali, że nic nie pojmował. Ale on rozumiał wszystko. Jedyne, czego nie potrafił, to przekazanie dalej informacji gromadzących się w zakamarkach jego umysłu. Próbował. W nieskończoność zmagał się ze swoim ciałem, ale jeszcze nie odkrył, jak dotrzeć do innych. Może jednak tym razem mu się udało? Może zapalniczka powiedziała Dobrochnie to, czego on nie potrafił?

Zacisnął pięść na bulwie, wahając się jeszcze przez chwilę, a potem zatopił w niej zęby. Ziemisty posmak wypełnił mu usta, ale to nie powstrzymało go przed zjedzeniem całego korzenia. Zapomniał na chwilę o dręczących go sprawach. Najważniejsze było, aby brzuch w końcu przestał go męczyć. Ale im bliżej czubków drzew znajdowało się słońce, tym bardziej wracała do niego myśl, że znalazł sposób, aby zdradzić kolejną tajemnicę...



Już zmierzchało, gdy Schutt wszedł na podwórko rodzeństwa Hilderbrandtów. Musiał dowiedzieć się, gdzie szukać drugiego z braci Sromowców, a do tego potrzebował Dobrochny. Tak przynajmniej próbował sobie wmówić. Że jego wizyta nie miała nic wspólnego z tym, co wydarzyło się na czorsztyńskim zamku...

Drzwi do chaty były otwarte na oścież, mimo panującego na zewnątrz chłodu. Ćmy ciągnęły do nagiej żarówki zawieszanej nad kuchennym stołem i gdy Igor przekroczył próg, usłyszał trzepot ich skrzydeł, gdy obijały się bezwładnie o rozgrzane szkło.

– Hej! – Rozejrzał się po niewielkim wnętrzu, rejestrując drzwi prowadzące do innych pomieszczeń. – Jesteście w domu?

Zajrzał do pokoju, który okazał się mikroskopijną sypialnią. Ogarnął jednym spojrzeniem całe pomieszczenie. Podwójne łóżko zajmowało praktycznie całą przestrzeń. Wymięta pościel dawno powinna zostać zmieniona. Igor dostrzegł okruchy jedzenia i ciemne smugi na prześcieradle. Brudne ubranie walało się po podłodze i Igor na pierwszy rzut oka stwierdził, że należało do Janka. Gdziekolwiek był chłopak, najwyraźniej jego mózg nie skupiał się na takich kwestiach, jak zachowanie porządku.

Ten bałagan nie pasował do słoików poustawianych w równych rzędach na półkach. Wyciągnął rękę po pierwszy z brzegu i gdy go otworzył wokół rozszedł się słodki zapach. Dlaczego ktoś tak uporządkowany pozwalał, aby sypialnia przedstawiała pobojuwisko?

Przypomniawszy sobie ciepło bijące od ciała Dobrochny, gdy przysunęła się do niego tak blisko, że wystarczyło się pochylić, aby ją pocałować. Stawała mu się bliska i ten fakt przerażał go bardziej niż powinien. Nie wierzył, że ktoś mógł zastąpić mu Kamilę. Wypełnić tę dziurę w jego wnętrzu, którą po sobie zostawiła. Zdawało mu się, że tamten pożar wypalił wszystkie uczucia, do których był wcześniej zdolny. Ale teraz ta dziwna dziewczyna o białych włosach zdawała się rozpalać iskrę, która na razie tliła się w jego duszy.

Opuścił dom i odkrył piwnicę wykopaną na tyłach ogrodu. Zbutwiałe stopnie trzeszczały pod naciskiem jego butów, ale zignorował to, gdy tylko usłyszał cichy jęk dobywający się spod ziemi. Pochylił głowę, żeby dostać się do środka i czekał,

aż wzrok przyzwyczai się do panujących dookoła ciemności. W końcu dostrzegł zarys sylwetki Janka, wciśniętej pomiędzy skrzynie, do których powrzucono warzywa.

– Dlaczego siedzisz po ciemku?



Wpatrywał się w nieprzytomną dziewczynę. Krew zaschła jej na spierzchniętych ustach, a policzek napuchł, zmieniając kształt twarzy. Pokonał ją jej własną bronią. Doskonale pamiętał, że dziewczyny wiedza o ziołach była imponująca. To dzięki jej matce poznał działanie czarciego zioła. Pewnie nigdy nie przypuszczała, że jej własne lekcje obrócą się przeciwko niej. A teraz trucizna krążyła w żyłach Dobrochny, a on miał czas, aby zastanowić się nad kolejnym krokiem.

Pochylił się nad listem Piotra Hilderbrandta, który znalazł w kieszeni jej sukienki. Dobrochna nie miała pojęcia o tym, że mężczyzna, z którym powinna się skontaktować, umarł kilka lat temu. Zresztą... plan Piotra był dziurawy i z całą pewnością nie zadośćuczyniłby krzywdom, które wyrządzili tamci.

Wstał i pogłaskał ją po siniejącym policzku. Nie musiała zaprzętać sobie tym głowy. On się wszystkim zajmie. Pomści śmierć jej rodziców. Śmierć jej ojca i złamane życie swojego...



Igor przeszukał kuchenne szafki, ale nie znalazł niczego, co mógłby dać do jedzenia Jankowi. Resztę zeschniętego chleba pokrywała już warstwa pleśni, a jeżeli wcześniej lodówka była pełna, wszystko zostało dawno zjedzone. Otworzył butelkę mleka, ale wylał je do zlewu, gdy stwierdził, że nabrało gorzkiego smaku.

To tylko spotęgowało jego niepokój, który odczuwał, gdy myślał o Dobrochnie. Wyglądało na to, że Janek od długiego czasu przebywał sam. Być może nawet od kilku dni...

Pytał go o siostrę już kilka razy, ale chłopak tylko wycierał nos w rękaw, zostawiając na nim mokrą smugę kataru i śliny. Wzrok miał rozbiegany i Janek sprawiał wrażenie, jakby nie do końca wiedział, co się wokół niego działo. Był inny niż zazwyczaj. Jakby jego umysł wycofał się do zupełnie nowego miejsca.

Schutt skupił wzrok na jego paznokciach, pod którymi zaschła czerwona ciecz. Zorientował się, że chłopak żywił się burakami znalezionymi w piwniczce za domem, a przynajmniej taką miał nadzieję.

– Posłuchaj mnie, musisz się trochę wysilić... – Stał naprzeciwko Janka i poczekał, aż ten się nim zainteresuje. – Poszukamy Dobrochny, okej?

Szukał jakiegokolwiek znaku. Drgnięcia powieki, grymasu ust, drżenia mięśnia na policzku, jednak Janek trwał nieruchomo, wyczerpując resztki jego cierpliwości. W końcu nie wytrzymał i złapał go za ramię.

– Chodź... Pójdziemy po samochód. Będziemy jeździć tak długo, aż ją znajdziemy.

Rozdział 27



– Mam adres. – Zdrojewska uśmiechnęła się triumfalnie, wsuwając telefon do kieszeni. – Dziewczyna zamówiła kurs na Bieńczyce. Kojarzycie najdłuższy blok w Krakowie?

– Psiamać! – Małecki poluzował kołnierzyk. – Podali jakieś konkrety?

– Kobieta z centrali próbuje skontaktować się z kierowcą, ale facet na razie nie odbiera telefonu.

Komisarz podniósł się zza biurka i zaczął krążyć po ciasnym pokoju, przez co Annę ogarnęło uczucie klaustrofobii.

Zerknęła na Kurpiela, ale zdążył już przywołać na twarz wcześniejszą maskę i po ich porozumieniu nie pozostał żaden ślad. Poczuła, jak fala gorąca pnie się od jej piersi do szyi, gdy uświadomiła sobie, jak łatwo mógł nagrać jej słowa o pomijaniu w śledztwie Małeckiego.

– Dobra... – Komisarz ponownie przykuł jej uwagę. – Trzeba powiadomić Kraków, żeby wysłali tam patrole. Przefaksujcie im portret pamięciowy. Mają przeszukać każdy pieprzony pokój w tym bloku.

– Okej.

Gdy tylko znalazła się na korytarzu, ruszyła szybkim krokiem w stronę, skąd dochodziły odgłosy szamotaniny, i po chwili ujrzała parę, która wprowadziła ją w osłupienie.

Igor Schutt szedł w jej kierunku, ciągnąc za sobą Janka Hilderbrandta. Chociaż być może to chłopak próbował odciągać mężczyznę od komisariatu policji.

– Wszystko w porządku? – W oczach Schutta zamigotała ulga.

– Chcieliśmy zgłosić zaginięcie – odparł, próbując uwolnić się od Janka, który zerkał na nią nerwowo.

– Zaginięcie? – Przełknęła ślinę, wyobrażając sobie kolejne zwłoki, z którymi będą mieli do czynienia.

– Nie możemy znaleźć Dobrochny. Wygląda na to, że od kilku dni nie było jej w domu.

Zdrojewska odczuła ulgę. Dobrochna bez przerwy znikła, nie informując nikogo o swoich planach. Zawsze taka była, a niepokój Schutta wynikał z faktu, że nie znał ludzi, obok których zamieszkał.

– Na pewno wróci. – Wzruszyła ramionami, ignorując ostatnie ukłucie niepokoju, a gdy zobaczyła, że na twarzy mężczyzny odmalował się upór, dodała: – Pewnie wybrała się po zioła. Często tak robi, a Janek wbrew pozorom dobrze radzi sobie sam.

– Nie. – Schutt zacisnął zęby. – Znalazłem go w piwniczce za domem. Wyglądał jak siedem nieszczęść. W domu nie ma niczego do jedzenia, panuje tam bałagan, a on... – Wskazał na Janka, który w końcu trochę się uspokoił. – On zachowuje się inaczej niż zwykle.

– To znaczy? – Anna zerknęła przelotnie na zegarek. Miała lepsze rzeczy do roboty niż zajmowanie się wymyślonymi problemami Hilderbrandtów. Gdyby Dobrochna dała sobie pomoc, nie mieliby tak ciężko w życiu. Ale ona uparcie oddalała się od wszystkich, którzy wyciągali do niej pomocną dłoń. Chociaż, prawdę mówiąc, Anna nie potrafiła przypomnieć sobie, kiedy ostatnio coś takiego miało miejsce, a to sprawiło, że poczuła wyrzuty sumienia.

– Nie wiem. – Schutt się zawahał. – Nie umiem tego wyjaśnić. Po prostu...

– Gdzie jej szukaliście? – Przerwała mu.

– Wszędzie. – Rozłożył ręce. – Nie znam tych okolic. Jeździłem w kółko i nigdzie jej nie ma.

Anna zmrużyła oczy. W głosie Schutta pobrzmiwała desperacja, o którą go nie podejrzewała. Gdy spotkała go wcześniej, wydawał się chłodny i opanowany, mimo że w jego domu właśnie trwało przeszukanie. A teraz... teraz mu zależało.

Skarciła się w duchu za uczucie zazdrości, które zrodziło się, gdy doszła do tego wniosku. Nie została policjantką, aby bagatelizować czyjeś problemy. Kiedy po raz pierwszy ścisnęła w dłoniach dyplom ukończenia akademii policyjnej, obiecała

sobie, że zrobi wszystko, aby mieszkańcom Czorsztyna i okolicznych wsi żyło się lepiej. Nie miała zamiaru dopuścić do tego, że zwątpią w to, że mogła im pomóc.

– W porządku... Muszę zająć się pewną sprawą, ale jeżeli poczekać, spróbuję wam pomóc.



Dobrochna odczekała, aż kroki na korytarzu umilkną, i dopiero wtedy pozwoliła sobie na zmianę pozycji. Nie miała wiele czasu. Wiedziała, że on za chwilę wróci. Na stole po przeciwległej stronie pomieszczenia zostawił pręty zakończone metalowymi literami. Widywała je już wcześniej. Dawniej służyły do znakowania zwierząt. Te, na które patrzyła, przypominały bardziej narzędzia chirurgiczne. Były czyste i lśniły stalowym błyskiem w jasnym świetle jarzeniówki. Tylko jeden z nich był ubrudzony krwią, a z krawędzi litery „K” zwisał zaschnięty pasek, który mógł być kawałkiem ludzkiej skóry.

Obserwowała mężczyznę, gdy metodycznie przygotowywał się do wyjścia. Jego działania były przemyślane w każdym calu, chociaż czuła, że jej pojawienie się w tym miejscu wytrąciło go z równowagi. To dawało jej szansę. Niewielką nadzieję, że uda się jej go przechytrzyć.

Od momentu, gdy stracił nią zainteresowanie, pracowała bez wytchnienia, aby uwolnić dłonie, na których zacisnął sznur. Poruszała nadgarstkami miarowo, nie dając sobie czasu na myślenie o bólu, który promieniował od otarc w górę ramion. W końcu poczuła, że lina poluzowała się i gdy szarpnęła mocniej, uwolniła prawą rękę.

Zamarła, przestraszona, że w jakiś sposób zgadł, co zrobiła, ale wokół nadal panowała cisza. Wychwytywała jedynie jednostajny szum jakichś urządzeń i dźwięk, z jakim pojedyncze krople wody spadały na posadzkę.

Zrzuciła linę z kostek, zastanawiając się, dlaczego związał ją tak niedbale. Może wydawało mu się, że nie stanowiła zagrożenia? Zawsze był arogancki, i teraz miał ponieść tego konsekwencje...

Rzuciła się do telefonu, który zostawił na stole. Ręce drżały jej tak bardzo, że urządzenie upadło dwa razy. W końcu zdała sobie sprawę, że nie był aż tak bez troski. Telefon rozładował się i był bezużyteczny.

Zamarła, gdy usłyszała cichy trzask. Piętnaście, dwadzieścia, trzydzieści...
Sto trzynaście kroków. Tyle dokładnie musiał przejść, aby dotrzeć do drzwi.
Czterdzieści osiem...

Sięgnęła po pręt.

Sześćdziesiąt pięć...

Do jej uszu dobiegła nucona przez niego melodia. Zacisnęła pięści na gładkiej
stali.

Sto trzynaście...



Piotr jeszcze nigdy się tak nie czuł. Jak pies spuszczonego z łańcucha, który złapał
trop i zamierzał podążyć jego śladem.

Blok na Bieńczykach, który krakowianie określali osiedlową anakondą, to ponad
czteryście siedemdziesiąt mieszkań. Daleko mu było do gdańskiego falowca, ale
i tak jego rozmiary robiły wrażenie, a sprawdzenie wszystkich mieszkań miało im
zająć cały dzień.

Dobrze, że nie powiedział Małeckiemu o swojej rozmowie ze Zdrojewską.
Chciał to zrobić, ale widział, jak na niego zerknęła tymi swoimi wielkimi oczami.
W końcu zrezygnował i okazało się, że komisarz i bez tego skierował go na akcję.
Potencjalną zdradę Zdrojewskiej mógł wykorzystać więc w bardziej dogodnym
czasie.

– Czego?! – Burknięcie mężczyzny dotarło do niego, jeszcze zanim tamten
otworzył drzwi. Na żonobijce naciągniętej na wystający brzuch rysowały się żółte
plamy potu. Jedną ręką ścisnął puszkę z piwem i na wpół wypalonego papierosa.

Kurpiel miał ochotę wbić mu do głowy nieco szacunku dla policji, ale
w ostatniej chwili się powstrzymał. Nie znał chłopaka, którego przydzielono mu do
pary, więc nie miał pojęcia, jak zareagowałby na odrobinę przemocy.

– Szukamy tej kobiety. – Podsunął grubasowi przed twarz wydrukowany na
kartce wizerunek i obserwował jego reakcję.

– Nie znam.

– Jest pan pewien? – Piotr zrobił krok i jego stopa wylądowała pomiędzy
drzwiami a futryną. Gość nie podobał mu się ani trochę.

– Jestem. – Facet podrapał się po pasku bladego ciała pomiędzy koszulką a gumką dresów. – Niezła z niej dupa, na pewno wiedziałbym, gdyby mieszkała gdzieś niedaleko...

Kurpiel trwał przez chwilę bez ruchu, aż w końcu cofnął stopę. Mężczyzna był obleśny i należało nauczyć go, jak zwracać się do lepszych od niego, ale był szczerzy.

Zanim zapukali do następnych drzwi, Piotr otworzył okno i wyjrzał na podwórko okalające blok. Znajdowali się na czwartym piętrze, ale wyraźnie widział grupkę policjantów palących papierosy na skraju placu zabaw. Jeden z nich rzucił niedopałek w świeżo nawieziony piasek i zakopał go czubkiem buta.

– Palant... – mruknął Piotr, mimo że gest mężczyzny niewiele go obchodził.

– Coś mówiłeś? – Jego towarzysz był mniej więcej w tym samym wieku co on. Nie pamiętał go ze Szczytna, więc może skończył którąś z czterech pozostałych uczelni. Najpewniej Katowice, które znajdowały się najbliżej.

– Że powinniśmy się pospieszyć. Tym bardziej że twoi koledzy mają w dupie tę sprawę.

– Nie sądzę, żeby tak było...

– Nie? – Dupek sprawiał, że Piotr szukał zaczepki. Był podminowany. Jego ciało naprężyło się jak struna, gdy pomyślał, że przez lenistwo innych dziewczyna może się im wymknąć. Poza tym był już zmęczony ciągłym pukaniem do kolejnych drzwi, co dodatkowo podnosiło mu ciśnienie. Nie miał pojęcia, ile razy witał się tego dnia z mieszkańcami bloku, którzy w większości traktowali policjantów jak wrogów.

Na szczęście dla nich obu drzwi do windy się otworzyły, rozpraszając ich uwagę. Metalowe kółka balkonika, na którym opierała się starsza kobieta, poruszały się powoli, piszcząc przy każdym obrocie. Gdy w końcu dotarła do miejsca, gdzie stali, winda już dawno zdążyła wjechać na inne piętro. Piotr wyraźnie usłyszał, jak gdzieś pod nimi wsiadła do niej grupa ludzi, a po chwili drzwi zamknęły się z charakterystycznym szczęknięciem.

– Tutaj nie wolno palić. – Staruszka obrzuciła ich podejrzliwym spojrzeniem.

– Nie palimy, proszę pani. – Kurpiel uśmiechnął się do kobiety swoim firmowym uśmiechem. – Szukamy tej dziewczyny.

– Pokaż no. – Przywołała go gestem dłoni, a kartka zaszeleściła, gdy przybliżyła ją do twarzy, mrużąc oczy.

– Tu jej nie znajdziecie. – Oddała portret pamięciowy i ponownie wsparła się o balkonik. – Mieszka trzy klatki dalej.

– Skąd pani wie? – Piotr poczuł jak świerzbią go stopy, ale musiał upewnić się, że kobieta nie wygadywała głupot. Mieli do przejścia jeszcze kilka mieszkań w tej klatce.

– Widuję ją czasami, jak chodzi na zakupy.

Powietrze z niego uleciało. Nie było szans, żeby w tym wieku dostrzegła wyraźnie kogokolwiek. Sam miałby trudności, aby wskazać policjanta, który zgasił peta w piaskownicy.

– Mam lornetkę – dodała, domyślając się, że naszły go wątpliwości.

– Lornetkę?

– Jak będziesz w moim wieku, zrozumiesz, że okno zastępuje mi życie, które teraz jest twoim udziałem. Wychodzę z domu tylko, gdy skończy mi się jedzenie. Na nic więcej nie pozwalają mi już nogi. – Westchnęła ciężko. – Ale to nie znaczy, że zrezygnowałam ze wszystkiego. Lubię obserwować sąsiadów i wspominać, jak było dawniej.

Nie czekał, co miała jeszcze do dodania. Ruszył przed siebie, pokonując po trzy schody naraz.



Pręt przeciął powietrze ze świstem, a Dobrochna poczuła wibrowanie w ramieniu, gdy wylądował na jego plecach. Nie czekała, aż zdąży zareagować i zamachnęła się po raz drugi.

Zduszony jęk wymknął się z jego ust. Wynikał bardziej z zaskoczenia jej atakiem, niż bólu, który zdołała mu zadać. Zanim się odwrócił, uderzyła po raz trzeci.

– Kurwa! – Upadł na kolana, warcząc jak dzikie zwierzę.

Nie była przygotowana na to, że napastnik zdoła pozbierać się tak szybko, więc gdy złapał ją za kostkę i pociągnął, upadła, uderzając głową w kłamkę. Ból zamroczył ją na sekundę. Zacisnęła palce na zimnej stali, nie pozwalając, aby broń

wypadła jej z dłoni i próbowała zwalczyć nudności. Poczła powiew świeżego powietrza, które napływało z korytarza. Wierzgnęła i jej stopa wbiła mu się w brzuch. To dało jej potrzebny czas. Kilka sekund, aby wydostać się na pusty korytarz. Zdołała przesunąć się, aż poczuła pod brzuchem nierówność progu, a serce zabiło jej z nową nadzieją.

Krzyknęła, gdy w oddali usłyszała jakieś odgłosy, ale wtedy wzmościł uścisk, a jego dłoń powędrowała wyżej, do jej łydki. Panika zatkała jej gardło, gdy chłodne palce dotknęły miejsca pod kolanem. Musiał wyczuć jej strach, bo zaśmiał się krótko. Nie rozumiała, jak udało mu się przekręcić tak, że nagle znalazła się pod nim. Obrzydzenie sparaliżowało ją na chwilę, której potrzebował, aby ją unieruchomić. Otworzyła usta, by krzyknąć ponownie, ale był szybszy i po chwili poczuła słony smak potu na języku, gdy mokra dłoń skutecznie odcięła jej dopływ powietrza.

Przypomniała sobie tamten wieczór na zamku, gdy po raz pierwszy w dorosłym życiu była blisko jakiegoś mężczyzny. Wtedy nie mogła powstrzymać naturalnego odruchu i przysunęła się do Schutta bliżej. Teraz zrobiłaby wszystko, żeby być jak najdalej od mężczyzny, który oplatał czułym gestem jej szyję.

– Cierpliwości... – mruknął niemal czule. – Tak bardzo spieszy ci się, żeby umrzeć?

Drgnęła, gdy poruszył się, ocierając o nią. Chciała przemówić mu do rozsądku. Przekonać, że istniało inne wyjście.

– Nie zrobisz tego sama... Muszę znaleźć ci towarzystwo. Będiesz słuchała jego krzyków, gdy obleję was benzyną i rzucę zapalniczkę...

Rozdział 28



Annę irytowało zdenerwowanie Schutta. Kiedy zdążył tak bardzo zaangażować się w życie Hilderbrandtów? Coś łączyło go z Dobrochną. Na tę myśl ponownie poczuła ukłucie zazdrości, które postanowiła zignorować.

Po raz pierwszy od długiego czasu zastanawiała się, czy była w stanie zrobić wrażenie na mężczyźnie. Mundur zapewne odbierał jej uroku. To, co zwykle traktowała jako tarczę ochronną w kontaktach z ludźmi, teraz ją uwierało. Żałowała, że nie może zmienić granatowej bluzy i spodni na kwiecistą sukienkę, którą miała w szafie, a ust pociągnąć czerwoną szminką. Niemniej poprawiła dyskretnie włosy, które po całym dniu w terenie oklapły i straciły blask.

Zerknęła we wsteczne lustro. Janek wyglądał przez okno, kołysząc się w jednostajnym rytmie. Wydawało się, że nucił coś pod nosem, ale szum silnika i chrzęst żwiru pod kołami samochodu skutecznie uniemożliwiały jej stwierdzenie tego z całą pewnością.

– Może powinniśmy sprawdzić jeszcze raz dom? – Schutt wypatrywał na poboczu śladów Dobrochny, a jego pięść zaciskała się i rozwierała mechanicznie. – Jeżeli ją dorwał, nie mamy za wiele czasu.

Skinęła głową, chociaż nie wierzyła, że dziewczyna była kolejną ofiarą w toczącym się śledztwie. Coś nie pasowało jej do schematu. Dobrochna była w podobnym wieku do poprzednich ofiar, jednak poza tym różniła się od nich wszystkim. Jeżeli dobrze interpretowali napisy na zapalniczkach i te zbrodnie były jakiegoś rodzaju karą, nie potrafiła wymyślić, za co sprawca chciałby wymierzyć sprawiedliwość Dobrochnie.

– Obcyyyy, obcyyy! – Janek rzucił się tak gwałtownie, że poczuli, jak samochód zakołysał się pod wpływem szarpnięcia.

– Zatrzymaj się! – Schutt pochylił się w jej stronę, wpatrując się w miejsce, które wskazywał chłopak.

Zjechała powoli na pobocze, a Janek od razu wyskoczył na zewnątrz. Jego ruchy były teraz mniej niezdarne, jakby pchała go naprzód determinacja, żeby odnaleźć siostrę.

Anna wysiadła z samochodu i podeszła do miejsca, gdzie stali.

– Dobroooooochna! – Janek wodził spojrzeniem od Schutta do niej, wskazując na porzucony w rowie rower. – Dobroooooochna...

– Teraz mi wierzysz? – Igor nawet na nią nie spojrział. Nie odrywał wzroku od odrapanego roweru.

Przełknęła ślinę, uświadamiając sobie, że jednak się pomyliła, i spojrzała na drogę prowadzącą w kierunku Nowego Targu. Przeszła kilka kroków, szukając jakichkolwiek śladów. Jeżeli ktoś zrobił dziewczynie krzywdę, na pewno zostawił po sobie coś, czego policja mogłaby się uchwycić. Rozglądała się za pogniecioną trawą, naruszoną ziemią, przedmiotami, których nie powinno być w tym miejscu, jednak oprócz porzuconego roweru nic nie wskazywało na to, aby wydarzyło się tutaj coś złego. Po plecach przebiegł jej dreszcz, gdy uświadomiła sobie, co łączyło ofiary. Dopiero teraz wydało jej się to oczywiste. Musiały znać sprawcę. Każda z nich dała się zaskoczyć, bo ufała osobie, która zabijała je bez sentymentów.

Wyciągnęła komórkę, która rozdzwoniła się w jej kieszeni.

– Tak...

– Zdrojewska! Przywlecz tyłek na komendę, mamy naszą podejrzaną!

Teraz spojrzała ze złością na rower i pochylających się nad nim mężczyzn. Gdyby nie oni, nie umknęłaby jej ani jedna minuta przesłuchania, a tak Małecki z całą pewnością zacznie bez niej.

– Nic nie ruszajcie. – Wskazała na rower i odciągnęła Janka. – Muszę jechać na komendę. Poradzicie sobie z powrotem do domu? Przyślę tutaj techników. Obiecuję, że zajmę się tą sprawą.

– Pojedziemy z tobą. Janek, chodź do samochodu...

Musiała przyznać, że na jego miejscu zrobiłaby to samo. Dopilnowałaby, żeby ktoś zajął się sprawą Dobrochny.

– W porządku. Tylko się pospieszcie.

Zdziwiła się, gdy Janek go posłuchał. Zdawali się połączeni jakąś więzią, która pozwoliła chłopakowi choć trochę zaufać Igorowi. Wcisnęła pedał gazu, po raz kolejny odsuwając od siebie uczucie zazdrości.



Przeniósł Dobrochnę do samochodu w ostatniej chwili. Po zaporze kręciło się coraz więcej ludzi i nawet nieużywane wejście, z którego korzystał, nie dawało gwarancji, że pozostanie niezauważony.

Znowu musiał ją uśpić. Zużył na to ostatnią dawkę czarnego zieleńca i teraz zastanawiał się, czy nie zrobił błędu, zostawiając w jej chacie zapasy.

Była mu potrzebna, aby pogrzebać Małeckiego. Na samą myśl o tym, co z policjantem zrobią współwięźniowie, przeszedł go dreszcz.

Musiał się więc pośpieszyć, aby dokończyć dzieło. Hania Fras nie stanowiła dla niego wyzwania. Jej ufność wręcz mu uwłaczała. Zastanawiał się, jak to możliwe, że nigdy nie dostrzegła w nim zła. Ale w końcu nikomu się to nie udało, więc może był po prostu stworzony do tego zadania?

Zatrzymał samochód na wzniesieniu i obserwował dom Kobuzów. Wiedział, że minie jeszcze chwila, zanim Hania przyjdzie do dziadków, jak robiła to każdego dnia. Wolał być jednak przygotowany, jeżeli coś znowu miałyby pójść nie tak...

Zacisnął dłonie na kierownicy. Cholerna Dobrochna wszystko zepsuła, ale z drugiej strony pozwoliła mu dostrzec, że jednak się mylił. Śmierć dziewczyn była karą dla tamtych, ale śmierć Dobrochny przyniesie sprawiedliwość jego rodzinie. Gdy dziewczyna wyda z siebie ostatnie tchnienie, równowaga zostanie przywrócona. Być może wtedy ojciec w końcu doceni jego wysiłki. Być może przyzna, że jest wart więcej, niż uważał...

Wysiadł z samochodu, gdy Hania minęła ostatni zakręt. Uśmiechnęła się na jego widok, a on uniósł dłoń, żeby się z nią przywitać. Była taka niewinna. Najmłodsza z nich wszystkich. Gdy tamci popełniali zbrodnię, jej nie było jeszcze na świecie.

– Dzień dobry! – krzyknęła do niego, zanim podeszła. Wyraźnie ucieszyła się na jego widok.

– Witaj... – Zmienił głos, pozbywając się z tonu wszelkiej twardości. – Twoich dziadków nie ma w domu.

– Naprawdę? – Zerknęła ponad jego ramieniem na dom. Wiedział, że dostrzegła smugę dymu unoszącą się z komina.

– Odwiozłem ich właśnie do szpitala. Dziadek źle się poczuł. Chyba coś z sercem. – Obserwował, jak chwyciła się za brzuch, dokładnie w miejscu, które zamierzał rozplatać. – Wsiadaj do samochodu. Zawiozę cię do nich, jeśli chcesz.

– Ja... – zawahała się. – Powinnam zawiadomić mamę.

– Mogę zawieźć cię do domu.

– Pobiegnę sama. To przecież niedaleko.

Zacisnął pięści, widząc, jak się od niego odwracała.

Puściła się biegiem, zanim zdążył zareagować. Przeklął pod nosem, ruszając do samochodu. Tak będzie szybciej. Poza tym ciągnięcie jej po drodze byłoby zbyt dużym ryzykiem.

Adrenalina zalała mu ciało, gdy nie dostrzegł jej we wstecznym lusterku. Koła uniosły kurz na zwirowej drodze, kiedy nacisnął gaz. Ten moment przynosił mu najwięcej satysfakcji. Polowanie właśnie się rozpoczynało. Pod koniec dnia czekała ją tylko śmierć.

Wjechał na asfalt, którym biegła. Do najbliższych domów miała jeszcze około pół kilometra. Przyspieszył jednak, aby nie stracić jej z oczu. Mógł się z nią jeszcze chwilę pobawić, ale nie chciał podejmować niepotrzebnego ryzyka.

Był już prawie przy niej, gdy zza zakrętu wyłonił się terenowy samochód. Dobrze wiedział, że to jeep jednego z jej braci. Mógł tylko patrzeć, jak zatrzymuje się przy dziewczynie, a ona otwiera drzwi. Gdy ich mijął, uniósł dłoń i uśmiechnął się przyjaźnie. Tomek Fras odpowiedział na ten gest, jednak Hania nie odwróciła głowy w jego stronę. Wpatrywała się tępo w drogę, a on musiał zmienić swoje plany.



– Wytrzymaj jeszcze trochę, okej? – Igor podtrzymał Janka i podążył wzrokiem za Zdrojewską, która pobiegła do budynku policji, nie oglądając się na nich.

Była dla niego zagadką. Nie mówiła zbyt wiele, ale tak było lepiej, bo mógł skupić się na własnych problemach, które nie dawały mu spokoju przez całe

popołudnie. Na przykład na tym, jak poinformować policję, że Dobrochna obawiała się Małeckiego.

Nie sądził, aby komisarz skrzywdził ją osobiście, ale nie dałby uciąć sobie ręki, że nie stał za jej zniknięciem. Małecki miał najwyraźniej dobry powód, żeby zmusić ją do milczenia.

Janek powłóczył nogami, a Igor odnosił wrażenie, że nigdy nie dotrą do budynku. Tymczasem liczyła się każda minuta. Musiał wierzyć, że Dobrochna żyje. Że uda mu się ją uratować.

Janek uspokoił się trochę, gdy Igor wcisnął mu do ręki kupioną w automacie puszkę coli, więc uznał, że może zostawić go w korytarzu i zgłosić oficjalnie zaginięcie Dobrochny.

– Hej, co ty tu robisz? – Znajomy głos wyrwał go z zamyślenia.

Paweł Biernacki stał przy oknie, a ślady na metalowym parapecie świadczyły o tym, że przed chwilą spetował tam papierosa.

– Pomagam Hilderbrandtom... Wszystko wskazuje na to, że Dobrochna zniknęła jakiś czas temu. – Przyjrzał się Pawłowi, który podrapał się po policzku zarosniętym kilkudniowym zarostem. – A ty?

– Umówiłem się na piwo z kolegą z dawnych lat. Czekam, aż skończy robotę. – Zamilkli na chwilę, a Paweł ponownie sięgnął po papierosy. – Skąd przyszło ci do głowy, że Dobrochna zaginęła?

– Znaleźliśmy jej rower na poboczu drogi.

– My? – Paweł uniósł brwi i obrzucił go zaciekawionym spojrzeniem.

– Ja, Janek i ta młoda policjantka. – Poszukał w myślach jej nazwiska. – Zdrojewska?

– Osobliwa grup poszukiwawcza. – Biernacki roześmiał się, strzelając zapalniczką, przez co zmusił Igora do odsunięcia się. To był odruch, który towarzyszył Pawłowi, odkąd się znali, ale od śmierci Kamili Schutta drażniła nawet pojedyncza iskra, która mogła stać się zarzewiem ognia.

– Wybacz, muszę już iść. – Zrobił krok w tył, zerkając na drzwi, do których zmierzał.

– Ta dziewczyna zawsze chodzi własnymi ścieżkami...

– Tak. Wszyscy mi to powtarzają, a jednak nikt nie potrafi mnie przekonać, że nic się nie stało. Szczególnie teraz...

Schutt uniósł dłoń i ruszył w głąb korytarza.

– Czeka! Musimy pogadać.

Zanim zdążył odpowiedzieć, od strony wejścia dobiegł ich skowyt. Dźwięk, który wydobywał się z gardła Janka, przyprowadził Schutta o ciarki. Kątem oka dostrzegł, że Paweł również drgnął.

Dłonie Janka trzepotały jak zwykle i wydawało się, że na chwilę zapomniał o kłopotach, które go dopadły.

– Tajeeemnica! – Złapał Pawła za poły marynarki, jakby ten był jego liną ratunkową. – Tajeeemnica!

– No już już, przestań. – Paweł oderwał zaciśnięte dłonie chłopaka od swojego ubrania i objął go ramieniem, a następnie zwrócił się do Igora. – Idź zgłosić to zaginięcie. Ja się nim zajmę...

Igor zatrzymał wzrok na chłopaku, oceniając, czy może zostawić go z Biernackim.

– Zabiorę go do knajpy i nakarmię. Nie pociągnie długo na samym cukrze. – Paweł wskazał ruchem głowy pustą puszkę, którą Janek zdążył pognieść, gdy zaciskał na niej kurczowo palce.

Igor rozważał jeszcze przez chwilę tę propozycję. Ale prawdę mówiąc, na samą myśl o tym, że Paweł zabierze ze sobą Janka, odczuł ulgę. Chłopak go spowalniał. Był dodatkowym obciążeniem, którego teraz nie potrzebował...

– Pójdiesz z Pawłem?

– Tajeeeeeemnica!

– To chyba oznacza: tak. – Biernacki roześmiał się i pchnął chłopaka w kierunku wyjścia.

– A co z twoim kolegą?

– Będzie musiał poczekać. – Paweł rozłożył ręce.

– Okej. Jak tylko skończę, zadzwonię.

– Wiesz, że nie jesteś za niego odpowiedzialny, co?

Schutt wzruszył ramionami. Oczywiście, że wiedział.

Paweł roześmiał się, kręcąc głową.

– Widzisz? Może być jak dawniej. Ty ratujesz przybłądy, ale to na mnie spada brudna robota. – Mrugnął do niego i odszedł, a Igor odniósł wrażenie, że faktycznie było tak, jakby cofnęli się o kilka lat, chociaż wiedział, że to było niemożliwe. Za bardzo się zmienił. Obaj zmienili się za bardzo...



– Magdalena Zachara, Paulina Chryc, Aleksandra Zawada...

Anna zwalczyła potrzebę, aby zmienić pozycję i skupiła się na Małeckim. Właśnie dlatego go podziwiała. Kомуś, kto go nie znał, mógł wydać się nieszkodliwy, ale w trakcie przesłuchań przechodził całkowitą metamorfozę. Zdawało się, że dominuje nad kobietą siedzącą naprzeciwko nich. Jego pulchne ciało miało w sobie pewien rodzaj majestatyczności, jakby w istocie było uformowane z samych mięśni.

Anna przeniosła wzrok na Matyldę Krupińską. Grawer miał rację. Przypominała Umę Thurman z roli w filmie *Pulp Fiction*. Ciemna grzywka wpadała jej do jasnych oczu, a pociągnięte szminką usta zacisnęła, jakby chciała powstrzymać cisnący się na nie uśmiech. Poniekąd zaimponowała Annie tym, że komisarz nie zrobił na niej wrażenia. Ale być może tylko grała i za chwilę pęknie. Za szybą, po drugiej stronie korytarza, przesłuchaniu przyglądał się Rafał Rybicki. Jeżeli ktoś miał znaleźć szczelinę w masce, którą nałożyła podejrzana, to właśnie ten doświadczony profiler.

– Co robiłaś w piątek dwudziestego siódmego marca?

– Byłam w Pradze. – Matylda w końcu postanowiła się odezwać. – Hotel „Pałac U Kočků” na starym mieście.

Anna poruszyła kolanem i pochyliła się do przodu. Jeżeli do tej pory miała tylko podejrzenie, że kobieta jest w jakimś stopniu zamieszana w tę sprawę, ta szybka odpowiedź ją w tym upewniła.

– A trzydziestego?

– Również... – Krupińska odchyliła się na oparcie krzesła i rozejrzała po niewielkim pomieszczeniu, w którym ją trzymali. Zdawała się zupełnie nieprzejęta tym faktem. Zdrojewska uznałaby nawet, że jest znudzona, chociaż dostrzegła, że

Matylda skubała nitkę wyciągniętą z rękawa swetra, zapewne chcąc powstrzymać emocje.

Małecki uśmiechnął się pod nosem, jakby podzielał stan ducha kobiety.

– Pewnie w połowie marca również podróżowałaś do Czech? Cóż za wygodny zbieg okoliczności...

– Nie mam pojęcia, o czym pan mówi, więc trudno mi to ocenić.

Szef wyjął z kieszeni fajkę i postukał nią o blat stołu. Głuchy dźwięk poniósł się po pomieszczeniu. Nikt się nie odzywał. Zarówno on, jak i Anna czekali, aż kobieta w końcu da się sprowokować i powie coś, czego będą się mogli chwycić, jednak jej krótkie odpowiedzi były wszystkim, na co mogli na razie liczyć.

Krupińska miała zadbane dłonie, z nienagannym manicure'em w krwistym kolorze. Anna nie potrafiła wyobrazić sobie, że takie dłonie mogłyby rozszarpać brzuchy dziewczyn...

– Ile zapalniczek kazałaś wygrawerować? – Na stole wylądowały torebki z zapalniczkami, które umieszczono przy ofiarach. Kobieta na sekundę przeniosła spojrzenie z twarzy Małeckiego na dowody.

– Sześć.

– Po co?

– To było zamówienie, które miałam dostarczyć. – Wzruszyła ramionami.

– Komu?

– Nie podał swoich danych. Miałam zostawić paczkę w centrum Krakowa, to wszystko.

– Gdzie konkretnie? – Małecki mierzył ją wzrokiem, a dym z fajki unosił się wokół jego twarzy.

– W skrytce pocztowej na Mogilskiej. – Dziewczyna westchnęła i oparła łokcie o blat dzielącego ich stolika. Jej twarz znalazła się teraz na tyle blisko komisarza, że słodki dym drażnił jej nozdrza. Nie odsunęła się, gdy policjant wydmuchał w jej stronę dym. Chmura otoczyła jej twarz, a ona nawet nie mrugnęła okiem.

– Jaki numer?

– Nie pamiętam...

– Nie pierdol mi tutaj! – Małecki trzasnął ręką w stół, aż długopis, który na nim leżał, poturlał się na sam jego brzeg. – Numer skrytki, ale już!

– Chyba dziewiętnaście... – Krupińska uniosła dłonie w obronnym geście.

– Jak się z nim kontaktowałaś?

Zdrojewska spięła się w oczekiwaniu na odpowiedź, jednak milczenie przedłużało się w nieskończoność. Do tej pory kobieta wydawała się nieporuszona konsekwencjami swoich działań, ale teraz Anna odnosiła wrażenie, że tamta zaczyna się sypać.

W końcu podciągnęła się na krześle, zaplatając ramiona na piersiach.

– Znalazłam kopertę z instrukcjami i pieniędzmi w skrzynce pocztowej, która wisi na klatce schodowej w bloku, gdzie mieszkam. – Wszystko wyrzuciłam, uprzedzając pana kolejne pytanie.

– Dlaczego wybrał właśnie ciebie? – Pytanie Małeckiego wydawało się trafione. Anna nie spuszczała wzroku z Krupińskiej, której drgnęła ledwo zauważalnie powieka.

– Nie mam pojęcia.

– Nie wydawało ci się to dziwne? – Małecki odłożył fajkę na blat i odpiął guziki służbowej koszuli. Czając na odpowiedź zatrzymanej, zwijał powoli rękawy, aż odsłonił całkiem pulchne przedramiona. – Jak sama twierdzisz, nie masz przecież żadnych specjalnych umiejętności. Wybrałaś zakład grawerski zupełnie przypadkowo. Nie znasz człowieka, który się z tobą kontaktował... – Komisarz zawiesił głos, dając jej czas na podjęcie decyzji. – Chcesz mi powiedzieć, że nawet przez chwilę się nad tym nie zastanawiałaś?

– Oczywiście, że tak, ale to było dużo kasy, a ja nie mam stałej pracy. Dał mi dziesięć tysięcy i obiecał, że gdy dostarczę zapalniczki, dostanę drugie tyle...

– Obiecał? Skąd wiesz, że to był mężczyzna? – Anna odezwała się po raz pierwszy, bo określenie, którego użyła dziewczyna, wydało się zdradzać, że jednak coś wiedziała.

– Obiecał... obiecała... – Krupińska wzruszyła ramionami. – Co za różnica? Zapłacono mi dziesięć koła za drobną przysługę. Nic innego mnie nie interesowało.

Maglowali ją jeszcze przez kilka minut, ale nic sensownego nie udało im się z niej wydusić. Historia, którą im sprzedała, była jednak zbyt idealna.

– Ona kłamie, a my mamy coraz mniej czasu. – Małecki przyglądał się przez szybę podejrzanej, wydając jednocześnie polecenia Zdrojewskiej i Kurpielowi. – Wrzucie ją na bęben. Musimy coś na nią znaleźć. Sprawdźcie jej znajomych

i rodzinę. Miejsca pracy, uczelnię, szkołę średnią, w której się uczyła. Gdzieś na pewno jest jakieś zaczepienie. Aha! I ustalcie, na kogo wynajęta została ta skrzynka. Właściwie ustalcie nazwiska wszystkich wynajmujących. Mogła podać nam zły numer.

– Mogła wymyślić tę historyjkę od początku do końca... – Anna mruknęła do siebie, nie licząc, że ktoś jej posłucha. Matylda Krupińska była w tym momencie wszystkim, co mieli.

– Może jednak mówi prawdę? – Kurpiel również nie odrywał wzroku od Krupińskiej. Zdrojewska dobrze знаła ten rodzaj spojrzenia. Pamiętała go z czasów Szczytna aż za dobrze.

– Nie bądź głupi, Kurpiel. Nie zaczniesz odnosić sukcesów, jeżeli pozwolisz, by zbyt krótka spódnica mieszała ci w głowie. – Małecki się zachnął. – Nie pójdę do sądu z wnioskiem o tymczasowe aresztowanie, który sędzia odwali po przeczytaniu pierwszego akapitu, więc weźcie się do roboty. Macie ustalić mi wszystko, choćby skały srały...

– Sprawdzę, gdzie logował się jej telefon przez ostatnie tygodnie. – Kurpiel oddalił się szybkim krokiem, jednak Anna nadal nie ruszyła się z miejsca.

Coś nie dawało jej spokoju. Zdawało się nie pasować do tropów, które podjęli do tej pory.

– Ona nie jest stąd...

– Całe szczęście, Zdrojewska. Nie potrzeba nam, żeby taki element zatruwał nasze okolice. – Małecki wrócił do zwyczajowego tonu, do którego przyzwyczał ją przez ostatnie miesiące.

– Nie o to mi chodziło... – Anna próbowała uchwycić myśl, która bez przerwy jej uciekała. – Po co miałyby to robić? Dlaczego miałyby podkładać zapalniczki z cytatami nawiązującymi do zemsty, skoro nie ma nic wspólnego z tymi dziewczynami?

– To się dopiero okaże, Zdrojewska. – Małecki spojrzał na nią z zainteresowaniem. – Trzymaj się tego tropu. Od kiedy ją zatrzymaliśmy, nie zginął nikt więcej, co tylko utwierdza mnie w przekonaniu, że ta dziewczyna jest kluczowa dla sprawy.

– Właściwie... – Anna zawahała się. – Dobrochna Hilderbrandt od kilku dni nie pokazała się w domu, a dzisiaj na poboczu drogi znalazłam z Schuttem jej rower.

Małecki uniósł gwałtownie głowę.

– A co ty, do diaska, robiłaś z Schuttem, Zdrojewska?

– To długa historia. – Anna skurczyła się pod wpływem jego spojrzenia, ale szybko wyprostowała ramiona, naśladując postawę podejrzaną. – W każdym razie wyślę techników na miejsce. Zobaczymy, czy coś uda im się znaleźć.

– W porządku. Informuj mnie o postępach i nie kombinuj za dużo. Wszystko wskazuje na to, że ta kobieta jest naszym sprawcą.

Rozdział 29



– Pan jeszcze tutaj? – Zdrojewska weszła do pokoju, w którym dyżurny spisywał zeznania Schutta, i przetarła twarz dłonią.

Nic nie szło tak jak powinno. Mieli Krupińską, ale instynkt podpowiadał jej, że coś im umykało.

– Igor. – Wyciągnął do niej rękę.

– Anna. – Uśmiechnęła się słabo. – Dobrochna się znajdzie. Zrobimy wszystko, żeby tak się stało.

Pokiwał głową i zerknął na korytarz, po którym kręcili się inni policjanci.

– Jak przesłuchanie?

Anna obrzuciła spojrzeniem funkcjonariusza siedzącego za biurkiem i wzruszyła ramionami.

– Niestety, nie mogę podzielić się taką informacją.

– Okej... – Nadal się jej przyglądał. Chyba nawet nie zauważył, że wciąż ścisnął jej dłoń. – Sprawdziłem to, o czym rozmawialiśmy wtedy u mnie w domu. O tym, że wszystko sprowadza się do przeszłości...

Właśnie o tym mówiła Małeckiemu. O motywie, którego brakowało w działaniach Matyldy Krupińskiej.

– Kojarzysz sprawę Hilderbrandtów?

– Chodzi ci o pożar w osadzie?

– Przejrzałem akta sprawy. – Wyszli na korytarz i ruszyli do drzwi, oddalając się od rwetesu panującego na komendzie. – Nawiasem mówiąc, niewiele z nich zostało, po tym jak zgubiły się u Małeckiego.

Nie spodobała jej się sugestia zawoalowana w jego słowach. Podsycała podejrzenia, które prześladowały ją w trakcie tego śledztwa.

– Nie mam wielkiego doświadczenia w sprawach sądowych – ciągnął spokojnie.
– Jednak wydaje mi się, że ten proces był zbyt pokazowy.

– To znaczy? – Postanowiła nie wyklócać się z nim o Małeckiego. Jego opinia na temat komisarza i tak nie miała większego znaczenia.

– Gdy odbywałem karę, siedziałem w jednej celi z wieloma skazanymi. – Zawiesił na chwilę głos, dając jej czas, żeby oswoiła się z tą informacją. – I wiesz, co twierdził każdy z nich?

– Że został niesłusznie skazany? – Roześmiała się, a on potwierdził skinieniem głowy.

– A wiesz, dlaczego tak twierdzili? – Poczekał chwilę, a gdy milczała, kontynuował. – Zeznania świadków zawsze różnią się od siebie. Nie ma siły, aby wszyscy zapamiętali przestępstwo w ten sam sposób. To mogą być drobne różnice. Dotyczą czasu zdarzenia, warunków atmosferycznych, ubrania sprawcy. Wszystko, co tylko można pomylić, pojawia się w zeznaniach jako niezgodność.

Miał rację. Nieraz przesłuchiwała świadków i wiedziała, że wielu z nich opowiadało szczerze, ale nieprawdziwie. To była kwestia działania ludzkiego mózgu, który zapamiętywał informacje wybiórczo.

– Wiesz, jakie odniosłem wrażenie po przeczytaniu zeznań w procesie Sromowca? Oni wszyscy klepali wyuczone wcześniej formułki. Wszystko się tam zgadzało. Nie było ani jednego świadka, który przedstawiłby zdarzenia w odmienny sposób.

– Co sugerujesz?

– Że niewłaściwy człowiek odpowiedział za te zabójstwa. – Słońce oświetliło mu twarz, a jego brązowe oczy przybrały bardziej miodowy kolor. – A jeżeli tak jest, zniknięcie Dobrochny nabiera sensu.

Anna wpatrywała się w niego z niedowierzaniem. Posiadał dostęp do szczątkowych informacji. Nie miał pojęcia o napisach wygrawerowanych na zapalniczkach, bo strzegli tej tajemnicy jak oka w głowie, a i tak udało mu się wysnuć całkiem poprawne wnioski. Znowu dostrzegła w nim tę iskrę, która sprawiała, że jego powieści czytało się z zapartym tchem.

– Dzwoniłem do zakładu karnego, w którym osadzono Sromowca. Załatwienie widzenia zajmie mi wieki, ale ty mogłabyś umówić wizytę od ręki.

Dawniej...

Sześć lat.

Właśnie tyle czasu Piotr Hilderbrandt strzegł kości przed innymi.

Bogdan Magiera, komisarz Małecki, Waldemar Kobuz, Marian Zachara, Tadeusz Chryc i Jan Zawada... To tym mężczyznom zależało, żeby przestał grzebać w przeszłości, a w nim narastała pewność, że ludzie, których znał i szanował od lat, popełnili czyny, które całkowicie zmieniłyby jego poglądy na temat sąsiadów.

Piotr wyszedł przed dom, żeby zapalić papierosa. Sierpniowe noce były chłodne, a od jeziora ciągnęła wilgoć, która potęgowała wrażenie nadciągającej jesieni. Od czasu ukończenia zapory i powodzi, która wypełniła zbiornik, jezioro zmieniało się z każdym rokiem. Na jego brzegu pojawiły się trzciny, które szumiały trącane przez wiatr. Jeziorne gatunki ryb wyparły te, które wcześniej licznie łowiono na tym odcinku Dunajca. Pojawiły się kaczki, kormorany i nury, których nie widziano tu nigdy wcześniej. Ale może tak miało być. Świat ewoluował, zostawiając za sobą dawny krajobraz.

Piotr wrócił myślami do przeszłości. Kiedy Magiera odkrył w końcu, że kości na wykopaliskach zostały podmienione, było już za późno. Piotr ukrył je na strychu jednego z domów w osadzie. Leżały spokojnie pod ich nosem, a oni nie mieli o tym pojęcia.

To było jego małe zwycięstwo. Coś, co pozwalało mu przetrwać, pomimo utraty pracy i nienawiści, którą zaczęli darzyć go ludzie. Nie dbał o to, chociaż było mu żal, że w spojrzeniu Marii nie odnajdywał już miłości, która połączyła ich wiele lat temu. Dobrochna również przestała przemierzać z nim szlaki, skupiając się na pomocy matce. Zastanawiał się, czy go nienawidziła? Miał świadomość, że decyzje, które podejmował, odbijały się na jej życiu. Zauważył, że stawała się coraz bardziej samotna.

Czasami chciał im wszystko wyjaśnić. Sprawić, żeby zrozumiały, dlaczego musiał postąpić tak, a nie inaczej. Ale kości nie milkły. Gdy zbliżał się do osady, wyczuwał

wibrowanie w powietrzu, jakby wołały go do siebie. Zaklinały, żeby rozwiązał zagadkę śmierci sprzed kilkunastu lat.

Zawiózł jedną z czaszek na wydział antropologii. Musiał być czujny, bo Bogdan Magiera pilnował go bez przerwy, ale udało mu się poprosić o przysługę kolegę z dawnych lat, który wykonał dla niego analizy, o nic nie pytając.

Przeprowadzone badania ujawniły, że mężczyzna zginął w ogniu. Piotr próbował znaleźć w starych rocznikach jakieś wzmianki o pożarze w dawnych Maniowach, jednak nie natrafił na nic pomocnego, mimo że przeszukał trzydzieści lat wstecz. Wydawało się, że wydarzenia, które doprowadziły do powstania grobu na obrzeżu Starych Maniów, to tylko sen. Ułuda, która teraz była jego odpowiedzialnością. Musiał sprawić, żeby kara została wymierzona.

Papieros rzucony w trawę tlił się jeszcze chwilę, dopóki Piotr nie przydeptał go butem. Skierował się do chaty, w której spędził ostatnie dwadzieścia lat życia.

Przeczuwał w kościach, że może już tutaj nie wrócić. To dlatego napisał list do Dobrochny. Do córki, którą kochał najbardziej na świecie. Która była towarzyszem jego wypraw w góry i pochłaniała książki z taką samą pasją jak on. Do najdzielniejszej dziewczynki, jaką znał.

Jeżeli coś mu się stanie, ona dokończy jego kwestię. Żałował, że tak musiało być, jednak nie miał wątpliwości, że Dobrochna poradzi sobie z każdą przeszkodą.

W domu schował kopertę z instrukcjami pod obłuzowaną klepkę w podłodze, pod którą córka chowała przed nimi swoje skarby. Nie zaglądała tutaj często, ale w końcu znajdzie to, co miał jej do przekazania.

A potem wyszedł z domu i skierował się do osady, gdzie czekała na niego Maria. Nie było już odwrotu. Oczekiwanie ofiar miało dobiec końca. Znalazł sposób, aby ujawnić zbrodnię, unikając przy okazji konfrontacji z komisarzem Małeckim...

P-O-K-U-T-A...

To było jedyne sensowne słowo, które udało im się ułożyć z już użytych liter i jeszcze trzech brakujących.

POKUTA...

Tę wiadomość od początku zamierzał przekazać im zabójca.

Za co odpokutować miały ofiary zabójcy? Prokurator Paluszkiewicz nie miał pojęcia, jednak jego myśli nieustannie wracały do odnalezionych w osadzie czaszek.

Obserwował starego policjanta, który znał tę okolicę jak własną kieszeń. Maurycy mógłby postawić swoją karierę na to, że komisarz wiedział, którzy z mieszkańców powinni odpokutować za swoje grzechy. Jednak śledztwo nie ruszało do przodu. Małecki mieszał kawę w szklance, objając łyżeczkę o ścianki naczynia, a na jego twarzy nie malowały się żadne uczucia.

– A jeżeli nasz tok rozumowania nie jest prawidłowy? – Prokurator Paluszkiewicz podwinął rękawy nienagannie wyprasowanej koszuli i założył ręce na piersi.

– To znaczy? – Małecki podniósł na chwilę wzrok, jednak zdawał się pogrążony we własnych myślach.

– Jeżeli ta cała Dobrochna nie jest kolejną ofiarą? – Zerknął na zdjęcie dziewczyny, które zostało wpięte do akt kuratora. – Rozmawiałem z kilkoma osobami, które twierdzą, że w sprawę śmierci jej rodziców był zamieszany ktoś z tych okolic. Może o to właśnie chodzi?

– Ta stara sprawa jest już dawno zamknięta. – Małecki uniósł szklankę do ust i głośno siorbnął. – Jeżeli mam być szczery, bardziej pasuje do profilu ofiary. Jest w podobnym wieku co pozostałe. Ładna blondynka. Do tego samotna, więc nikt nie będzie po niej zbytnio płakał.

– No właśnie... – upierał się Paluszkiewicz. – Jest samotna, więc nie ma nic do stracenia.

– Nieprawda. – Piotr Kurpiel, który do tej pory bez słowa przysłuchiwał się wymianie zdań między przełożonymi, w końcu postanowił się odezwać. – Opiekuje się bratem z niepełnosprawnością. Nie ryzykowałaby jego bezpieczeństwa.

– Przywieźcie tego chłopaka na komendę. Zobaczmy, czy będzie miał coś sensownego do powiedzenia.

Rozdział 30



Komórka zawibrowała w kieszeni Igora, więc sięgnął po nią odruchowo, mimo że jedyne, na czym mógł się skupić, to mury więzienia, przed którym Zdrojewska zaparkowała samochód. Sprawiały, że żołądek mu się zacisnął, a on przypomniał sobie tamten dzień, gdy konwój przejechał przez zardzewiałą bramę.

Na wyświetlaczu pojawiła się informacja o zastrzeżonym numerze.

– Tak? – W końcu odebrał, bo ktoś nie dawał za wygraną, mimo że odrzucił połączenie już kilka razy.

– Moje uszanowanie, Igorze. – Rozpoznał głos Podolskiego. – Czy miałeś okazję zapoznać się z materiałami, które ci podesłałem?

Schutt wzdrygnął się na wspomnienie e-maila, którego otrzymał od tego irytującego człowieka.

– Przepraszam bardzo. Niestety, nie mogę teraz rozmawiać. Załatwiam właśnie coś ważnego.

– Pomyślałem, że odwiedzę cię dzisiaj i omówimy twoją nową powieść...

Facet nie dawał za wygraną, mimo że Igor nawet nie zająknął się o tym, że planuje napisać coś nowego.

– Niestety, to nie będzie możliwe. Jestem w Krakowie. – Dopiero po chwili zorientował się, że niepotrzebnie zdradził mu, gdzie przebywał. Skupił wzrok na Zdrojewskiej, która czekała przy parkometrze, aż mężczyzna przed nią zapłaci za postój.

– Fantastycznie. Wpadłem na pomysł fabuły, który mógłby ci się spodobać. Trzeba pogrzebać trochę w przeszłości, ale jeżeli temat cię zainteresuje, pomogę ci z wielką przyjemnością.

Słowa Podolskiego sprawiły, że poczuł się nieswojo. Mężczyzna ponownie nawiązywał do tego, co działo się w życiu Igora.

– Gotowy? – Zdrojewska wróciła do miejsca, gdzie zaparkowali.

– Muszę kończyć. Porozmawiamy później. – Schował telefon do kieszeni. Musiał skupić się na Sromowcu. Tylko on mógł go teraz doprowadzić do sprawcy...

Zanim przekroczyli bramę, którą mijali zaledwie kilka tygodni wcześniej, telefon zawibrował jeszcze kilka razy, jednak postanowił go zignorować.

Więzienie miało swój charakterystyczny zapach. Uderzył go od razu, gdy znaleźli się w środku. Wślizgnął się pod skórę i ścisnął płuca.

Igor spuścił wzrok na brudne płytki, którymi wyłożono korytarz. Przechodził tędy tylko raz, a i tak zdołał zapamiętać, w których miejscach były popękane.

– Stęskniłeś się za nami, Schutt? – Młody klawisz spojrzał na niego złośliwie.

Igor ścisnął Annę za ramię i pokręcił głową, gdy zauważył, że zmarszczyła brwi i otworzyła usta, żeby odpowiedzieć funkcjonariuszowi.

Nie obchodził go ten mężczyzna. Różnica między nimi polegała na tym, że Igorowi udało się wyrwać z tego miejsca i nigdy nie zamierzał do niego wrócić, a ten chłopak będzie tu przychodził codziennie przez kolejne trzydzieści lat, aż jego wysportowane ciało rozlezie się w szwach i przestanie mieścić w służbowym mundurze. I podczas gdy on będzie mógł codziennie cieszyć się widokiem Tatr, które dostrzegał z okien swojego salonu, ten klawisz przez większość dnia będzie wpatrywał się w szare korytarze, kraty i monitory, na których obraz był nie tylko niewyraźny, ale również nieciekawym.

Czekał więc ze spokojem, aż mężczyzna odnajdzie ich na liście odwiedzających, a potem spíše ich dane do zeszytu.

– Telefony. – Mężczyzna wskazał na plastikową tackę, która leżała między nimi.

– Wolalabym nie rozstawać się ze swoim. – Anna próbowała negocjować, a Igor sięgnął do kieszeni bez protestów.

– Zna pani procedury, pani aspirant. – Facet obrzucił spojrzeniem jej mundur, jednak pozostał niewzruszony.

– To naprawdę ważne... Masz pewnie jakiegoś upierdliwego przełożonego? – Mężczyzna roześmiał się, a ona pochyliła się do niego zalotnie. – Jeżeli mój szef zadzwoni, a ja nie odbiorę...

Igor nie słuchał jej wyjaśnień, skupiony na wyświetlaczu własnego telefonu. Wiadomość przyszła z numeru z krakowskim prefiksem. Wybrał połączenie, jednak po pierwszym sygnale zostało odrzucone. Wiedział, że zastrzeżenie numeru nie działa w trakcie wysyłania wiadomości tekstowych, i zastanawiał się, czy Podolski również miał taką wiedzę. Nie miał pojęcia, czy to właśnie ten mężczyzna postanowił grać z nim w jakąś chorą grę, jednak odniósł wrażenie, że nadawca doskonale zdawał sobie sprawę, gdzie Igor przebywał w tym momencie.

„ZAPYTAJ GO O RODZINĘ...”

Wpatrywał się w krótkie polecenie, a złość wzbierała w nim coraz bardziej. Nie miał zamiaru być marionetką w rękach tego psychologa. Tym bardziej że po raz pierwszy mógł mu odpowiedzieć.

„NIE”.

Nie musiał czekać długo na odpowiedź, a zdjęcie posiniałej twarzy Dobrochny wytrąciło go z równowagi. Żyła, ale to była tylko kwestia czasu, kiedy oprawca wykona kolejny ruch.

„PRZEMYŚL TO JESZCZE RAZ...”

Zacisnął palce na komórce, która zatrzeszczała cicho, i zerknął na Zdrojewską. Niepotrzebnie tracąc czas, nadal próbowała przekonać funkcjonariusza, aby pozwolił jej wnieść telefon. Igor chwycił ją za ramię. Cokolwiek dostrzegła w jego oczach, postanowiła odpuścić i ruszyli szybko w kierunku sali widzeń. Powinien pokazać jej wiadomości, które otrzymał, ale to tylko przedłużyłoby wszystko. Zapewne zechciałaby skontaktować się w tej sprawie z Małeckim, który ponownie by się do niego doczepił. Musiał więc wierzyć, że to Sromowiec da im rozwiązanie, którego tak desperacko potrzebował.

– Poczekaj... – Zatrzymał się przy więziennym sklepie i przesunął wzrokiem po półkach.

Ile razy to samo robił Paweł, gdy go tutaj odwiedzał? Schutt nigdy nie zastanawiał się nad tym, co czuł wtedy jego przyjaciel. Skupiał się na swojej krzywdzie i przetrwaniu w tym miejscu, więc nigdy nie analizował, ile czasu musiał poświęcić Biernacki, żeby odwiedzać go tydzień w tydzień przez pięć lat... Może więc Paweł miał rację, gdy wytknął mu, że jest głównianym przyjacielem?

Zapłacił za dwie czekolady i paczkę papierosów, pamiętając, że właśnie to uratowało mu kilka razy skórę, i dziesięć minut później zajęli miejsce przy oknie.

– Wszystko w porządku? – Położyła dłoń na jego przedramieniu i dopiero wtedy zorientował się, że wybijał nerwowo rytm na odrapanym stoliku.

Tak, jasne. Po prostu nie sądziłem, że wrócę tu tak szybko...

Rozluźnił ramiona, skupiając wzrok na jej krótko obciętych paznokciach. Jej dłonie świadczyły o tym, że nie dbała o siebie przesadnie. A właściwie dbała, ale robiła to z wrodzoną naturalnością. Żadnych sztucznych, krzykliwych paznokci, jakie widywał u kobiet odwiedzających osadzonych. Zerknął na jej twarz, na której nie dostrzegł grama makijażu. Wyraźne cienie pod oczami świadczyły o jej zmęczeniu. Mimo to nie zakryła ich pudrem, jak zrobiłaby to większość kobiet.

Zanim zdążyła mu odpowiedzieć, na salę wprowadzono więźniów i wokół zapanował radosny chaos. Skierowali spojrzenia na kolejkę osadzonych czekających na pozwolenie podejścia do rodzin, próbując wyłuskać wśród nich mężczyznę, z którym mieli się spotkać.

Igor przesunął wzrokiem po znajomych twarzach. W ferworze powitań nikt nie zwrócił na niego uwagi, ale mimo to serce przyspieszyło mu, gdy uświadomił sobie, że być może będzie musiał wejść w interakcję z którymś z nich. Nie chciał tego. To była przeszłość. Coś, co zepchnął do miejsca w głowie, do którego nie zaglądał.

Skupił wzrok na więźniu stojącym na samym końcu, tuż przy drzwiach. Coś w jego postawie było znajome. Zmrużył oczy, żeby przyjrzeć mu się lepiej, i wrażenie się pogłębiło. Był pewien, że nigdy nie rozmawiał ze Sławomirem Sromowcem. Być może minęli się na korytarzu albo w pomieszczeniach wspólnych, ale gdy dowiedział się, że odbywali karę w tym samym zakładzie, jego nazwisko nic mu nie powiedziało. A teraz prześladowało go *déjà vu*.

Wzdrygnął się, a Zdrojewska tym razem odczytała jego reakcję prawidłowo i ponownie położyła dłoń na jego ręce w uspokajającym geście.



Bogdan Magiera zaciskał w dłoni siekiere, obserwując budynek, w którym leżała związana dziewczyna. Drobne drzazgi wbijały mu się pod skórę, jednak praktycznie tego nie odnotowywał.

Otarł pot z czoła, zastanawiając się, jak to możliwe, że jeszcze nikt nie odkrył, że tutaj była. Przez zaklejone usta nie mogła krzyknąć, ale gdyby chciała i tak narobiłaby hałasu.

Kępa drzew, w której się ukrył, zasłaniała go przed parą turystów, którzy przejechali szybko obok niego na swoich nowoczesnych rowerach. Nie obchodziła ich historia tego miejsca. Nie interesowali się miejscowymi. Ludzie właśnie tacy byli... Nie zaprzęтали sobie głowy cudzymi problemami i szybko zapominali to, co wydarzyło się w przeszłości. To dlatego tak długo udawało się utrzymywać wszystko w tajemnicy.

Zbrodnie, które popełnili...

Czaszki, które ukrył Piotr...

I tak się stanie również w przypadku Dobrochny. Za kilka lat ta dziewczyna będzie tylko wspomnieniem.

On jednak wszystko pamiętał i teraz przeszłość wracała do niego ze zdwojoną siłą.

Dawniej...

– Cześć, z tej strony Tadeusz. – Telefon komórkowy był dla Bogdana nowością. Nie potrafił przyzwyczać się do jego ciężaru w kieszeni koszuli, ale w sytuacjach takich jak ta, był niezbędny. Bogdan już dawno zdecydował, że nie może przegapić żadnych istotnych informacji, na które czekał. – Prosiłeś, żebym zadzwonił, jeżeli Piotr poprosi kogoś z naszych o przysługę...

– Przywiózł coś ze sobą? – Nie był zdziwiony informacjami. Kiedy okazało się, że czaszki wykopane na obrzeżach wsi zostały zabrane, od razu wiedział, że Piotr nie podda się tak łatwo. Działania, które Bogdan wymusił na uniwersytecie, szkalując Hilderbrandta, nie wystarczyły. Nawet kontrola opieki społecznej, którą nasłał na jego rodzinę Małecki, nie spowodowała, że porzucił pomysł grzebania się w przeszłości.

– Tak, czaszkę. – Mężczyzna zawahał się. – Jesteś pewien, że z jego głową coś się dzieje? Wyglądał zupełnie przytomnie, gdy tutaj był. Gdybyś mnie nie uprzedził, nie miałbym żadnych podejrzeń.

– Gdyby było inaczej, nadal kierowałby wykopaliskami, prawda?

– No tak...

– Ustaliliście coś?

– Marek się tym zajął. Udało mu się wstępnie ustalić podstawowe kwestie.

– To znaczy? – Bogdan odchrząknął, czując, że brakuje mu powietrza w płucach.

– Wiek mężczyzny, czas zgonu i jego przyczynę. Właściwie tylko o to prosił Piotr.

– Bogdan usłyszał szelest papieru, gdy jego rozmówca przerzucał kolejne kartki ekspertyzy. Denerwowało go, że musiał wyciągać z tamtego informacje.

– To znaczy?

– Chcesz, żebym ci to czytał? – Głos Tadeusza uniósł się w zdziwieniu. – Ale po co? Przecież mówiłeś, że i tak wszystko wiecie o tych kościach.

– Po prostu byłem ciekaw, to wszystko.

Po drugiej stronie zapadła cisza, jakby mężczyzna rozważał, o co chodziło w tej sprawie. Magiera musiał być ostrożny. Dobrze wiedział, że jeżeli będzie naciskał za bardzo, dawne tajemnice wymkną się spod kontroli. A on nie chciał, żeby cokolwiek się zmieniło. Mimo wszystko wzdrygnął się na wspomnienie płomieni liżących powałę starej chaty, w której zaryglowano drzwi. Krzyki ludzi, początkowo głośne i zdesperowane, powoli zmieniały się w zawodzenie, aby w końcu umilknąć. Pożar dogasał jeszcze wiele godzin, barwiąc na pomarańczowo twarze mężczyzn, którzy pilnowali, aby nikt nie dowiedział się o tożsamości ofiar. Zakończyli tamtej nocy zło, które rozprzestrzeniało się po ich wsi. Niektórzy nazwaliby to samosądem. On wolał jednak myśleć, że była to sprawiedliwość...

– Nieważne... Dzięki za informacje – mruknął i rozłączył się bez pożegnania.

Nie miał czasu na dalszą rozmowę. Musiał zebrać pozostałych, aby zdecydować, w jaki sposób uciszyć Hilderbrandta.

– Dzień dobry. – Anna uśmiechnęła się do chudego mężczyzny, który zajął miejsce po przeciwnej stronie stolika. – Dziękujemy, że zechciał się pan z nami spotkać.

Zawsze zaskakiwało ją jak normalnie wyglądali sprawcy najcięższych zbrodni. W takich chwilach jak ta uświadamiała sobie, dlaczego tak łatwo przychodziło im popełnianie przestępstw. Oni po prostu potrafili wtopić się w tło. Zwiesć innych swoją przeciętną aparycją i niebudzącym podejrzeń zachowaniem.

Na Sławomira Sromowca nie zwróciłyby uwagi, nawet gdyby był jej sąsiadem. Po chwili wpatrywania się w jego nijaką twarz uświadomiła sobie, że właśnie tak było. Ten człowiek wiele lat temu mieszkał w Czorsztynie. Miał rodzinę, sąsiadów i wiódł życie podobne do innych. Była wtedy dzieckiem i nie interesowały jej sprawy dorosłych, więc go zupełnie nie kojarzyła, ale tak... Ten człowiek żył kiedyś obok niej. Żałowała, że nie sprawdziła, kim był, zanim tutaj trafił, ale teraz było już za późno. Musiała polegać na swoim instynkcie.

– Czemu zawdzięczam tę wizytę? – Obrzucił nieufnym spojrzeniem jej mundur i przesunięte w jego stronę prezenty.

– Przyjechaliśmy tylko porozmawiać. – Igor przejął inicjatywę.

Anna dostrzegła zmianę w jego postawie po przekroczeniu murów więzienia. Był spięty, mimo że robił wszystko, aby tego nie okazywać.

– O czym?

– O pożarze...

– W takim razie nie mamy o czym rozmawiać. – Sromowiec podniósł się z miejsca i odwrócił do strażnika.

– Proszę...

– Nie. To, co jest przeszłością, powinno tam pozostać. – Spojrzał na nich z grymasem wykrzywającym mu rysy. – Radzę wam dobrze, nie grzebcie w tej sprawie...

– Tylko że to tak nie działa. – Schutt nie chciał odpuścić. Jego dłonie zacisnęły się na krawędzi stołu. – Ktoś zabija młode kobiety nad Zalewem Czorsztyńskim. Nie żyją już trzy, a sprawca być może porwał czwartą. Wydaje się nam, że jego działania mają związek z przeszłością.

Słowa Schutta przykuły uwagę mężczyzny. Anna nie była zadowolona, że Igor zdradził mu swoją teorię. Jeżeli była prawdziwa, ten człowiek mógł być zamieszany w zabójstwa. Zanotowała w pamięci, aby poprosić o listę odwiedzających go w ostatnich miesiącach osób.

– Dlaczego tak myślicie? – Sromowiec złożył dłonie w piramidę.

– Najpierw powiedz, co wydarzyło się tamtej nocy.

Sromowiec pokręcił głową, a na jego twarz wypłynął pierwszy uśmiech.

– Nie. Najpierw powiedzcie mi, skąd te podejrzenia, a potem będziemy gadać. – Wskazał brodą na stół. – Czekolada i fajki nie wystarczą, abym przerwał milczenie po tylu latach.

– Zachara, Chryc, Zawada...

Anna nie spuszczała wzroku ze Sromowca. Robiła wszystko, aby przebić się przez maskę, którą ponownie nałożył. Pewnie dlatego zauważyła, że drgnął mu mięsień na policzku. To był ułamek sekundy, jednak miała pewność, że nazwiska zrobiły na nim wrażenie.

– Co z nimi? – Sromowiec jeszcze nie chciał przyznać, że był skłonny im pomóc.

– To nazwiska ofiar. – Igor pochylił się do przodu i wstrzymał oddech, czekając na cokolwiek ze strony Sromowca. – Córki mężczyzn, którzy zeznawali przeciwko tobie w procesie, zginęły jedna po drugiej... No więc? Co się wtedy stało?

– Nic. A przynajmniej ja o niczym nie wiem. Zeznali jak było i tyle.

Igor zastanawiał się, jak go podejść. Musiał istnieć jakiś punkt zapalny, który wyzwoli prawdę. Musieli tylko zgadnąć, co było dla niego ważne. Przypomniał sobie wiadomość, którą otrzymał z nieznanego numeru. Nie chciał iść znowu podsuwanym mu tropem, jednak nic innego nie przychodziło mu do głowy.

– Twój syn nieźle radzi sobie na gospodarstwie. Rozmawiałem z nim kilka dni temu. Wszystko jest zadbane i...

– Wiem o tym. Nie myśl sobie, że zostałem zupełnie sam. Marcin odwiedza mnie tutaj regularnie.

Schutt zdał sobie sprawę, że jego strzał był chybiony. Na twarzy Sromowca nie pojawiły się żadne emocje. Przysunął do siebie czekoladę i rozerwał papier, a potem wsunął do ust jedną kostkę i od razu zamknął opakowanie. Igor pamiętał to uczucie. Dozowania sobie przyjemności, aby wystarczyła na jak najdłużej.

– Nadal można wymienić to na coś wartościowego? – Zerknął kontrolnie na klawisza, który stał najbliżej nich, i gdy upewnił się, że nie zwracał na nich uwagi, wskazał na czekoladę. – Kiedy ja tutaj siedziałem, czasami udawało mi się kupić dodatkowe pół godziny w bibliotece.

Mężczyzna obrzucił go oceniającym spojrzeniem.

– Pamiętam cię. Byłem ciekaw, czy poradzisz sobie na wolności. – Roześmiał się cicho pod nosem, bawiąc się paczką papierosów. – Ale co to za sztuka, gdy masz

wokół siebie życzliwych ludzi...

Igor poczuł, jak Zdrojewska zmienia pozycję na krześle. Jej udo otarło się o jego nogę. Była coraz bardziej zniecierpliwiona i jeżeli Sromowiec nie zdradzi swoich tajemnic, Igor nie zdoła przekonać jej, że ta wizyta miała jakikolwiek sens. Musiał zmienić taktykę.

– Podobało ci się, gdy krzyczeli i błagali o pomoc? Zostałeś tam, żeby zobaczyć ich śmierć, czy zostawiłeś ich samych sobie? Ich skóra pokryła się najpierw bąblami czy płomienie pochłonęły ich gwałtownie? Wyczuwasz czasami w powietrzu zapach ich palących się włosów? Myślisz, że zanim spłonęli, stracili świadomość z braku tlenu?

Usłyszał, jak Anna wciągnęła ze świstem powietrze. Nie spuszczał wzroku ze Sromowca, który pobladł, a jego usta otwierały się i zamykały bezgłośnie, jakby sam potrzebował teraz dopływu świeżego powietrza. Może więc Igor pomylił się co do niego. Być może w trakcie procesu nie padło ani jedno kłamstwo?

– Dosyć! – Sromowiec uderzył ręką w stół, a strażnik zareagował na to bez chwili zawahania. Igor wzdrygnął się, gdy mężczyzna poleciał do tyłu, szarpnięty za rękaw noszonej bluzy.

– Tęsknisz za izolatką, Sromowiec?

– Spokojnie. To moja wina, przepraszam... – Igor wytrzymał spojrzenie klawisza. Żałował swoich słów. Powinien lepiej wiedzieć, że Sławomir poniósł już konsekwencje swoich czynów i w przeciwieństwie do Igora, nie miał szans, aby kiedykolwiek uznano, że odpokutował już swoje winy.

Nie zauważył, że drzwi do sali widzeń otworzyły się i stanął w nich funkcjonariusz, który spisywał ich dane przy wejściu. Teraz podszedł do stolika i pochylił się w kierunku Zdrojewskiej. Cokolwiek przekazał jej przyciszonym głosem, spowodowało, że poderwała się z miejsca.

– Zaraz wrócę. Małecki podobno wydzwaniania do mnie od pół godziny. Jeżeli nie odbiorę...

Skinął jej głową i również się podniósł. Rozmowa ze Sromowcem nie miała sensu. Facet był winien, tak jak mówili mieszkańcy wsi. Spojrzał ostatni raz na przygarbionego mężczyznę, nie znajdując słów, które mogłyby jeszcze paść.

– Poczekaj! – Zdrojewska była już przy wyjściu, gdy Sromowiec go zatrzymał. – Ryszard Małecki nadal pracuje w policji?

– Tak. – Igor poczuł, że przyspieszyło mu serce. – Jest teraz prawdziwą szychą. Wszyscy trzęsą się na sam dźwięk jego nazwiska. Dlaczego cię to interesuje?

Sławomir oparł czoło na dłoniach, jakby zastanawiał się, czy może mu zaufać.

– Bo ten skurwiel powinien zapłacić za to, co zrobił. Pozwolił im na to wszystko...

Dawniej...

Sławomir zataczał się od jednego krawężnika do drugiego, a przecież dopiero zamierzał napić się tego wieczora. Nie był podłym człowiekiem. Zawsze miał wyrzuty sumienia, gdy zrobił coś złego, a to chyba dowodziło tego, że gniew nie przeżarł jeszcze ostatecznie jego ciała.

Uniósł w górę pięść i przyjrzał się knykciom palców, które popękały, gdy okładał swoją żonę i młodszego syna. Bóg mu świadkiem, że starał się powstrzymać, jednak czasami demony przejmowały nad nim władzę. Musiał upuścić wtedy choć odrobinę gniewu, który kumulował się w nim przez długi czas.

A Krystyna jęczała dzisiaj po raz kolejny, nie dając mu żyć.

– Twój ojciec potrafił uprawiać ziemię. Gdy on prowadził gospodarstwo, żyło nam się lepiej, a z ciebie zwykły nieudacznik.

Jej słowa nadal brzęczały mu w uszach. A czy to była jego wina, że przesiedlili ich na te jałowe tereny? Czy to on zawinił, że otaczali ich ludzie, którzy nie interesowali się losem Sromowców jak sąsiedzi w Starych Maniowach?

Nie mieli nic do powiedzenia, gdy wydzierano im ziemię, a pieniądze, które ojciec otrzymał za tamtą działkę, już dawno przejedli. A teraz ojciec nie żył, a na Sławomira spływały codziennie konsekwencje tamtych decyzji.

Dlatego uderzył ją pierwszy raz. Za to niesprawiedliwe gadanie. Za zwalenie całej winy na niego. Nie był złym mężem. Na pewno nie. Starał się. Nie pił. Nie obijał się. Spłodził dwóch synów...

Musiła więc zapłacić za ten brak wdzięczności. Za to lekceważenie go przy ludziach. Za łażenie po wsi i babskie lamenty.

Trudno było mu to przyznać, ale podobał mu się dźwięk, z jakim pięść pierwszy raz zderzyła się z jej twarzą. Oszłomił go widok strużki krwi, która pociekła z nosa, a potem jej źrenice rozszerzyły się, gdy zrozumiała, że skończyła mu się

cierpliwość. Ten widok wprawił go niemal w ekstazę. To dlatego uderzył po raz drugi... Przy czwartym ciosie przestał szukać powodów.

Gdyby nie ten mały gnojek, który stanął w jej obronie, nie miał pojęcia, jak daleko by się posunął... Gówniarzowi dostało się zasłużenie. Który syn podnosi rękę na ojca? Na żywiciela rodziny.

Napił się, chociaż nigdy tego nie robił i teraz ledwo trzymał się na nogach. Pewnie dlatego zatoczył się i ześlizgnął ze stromego brzegu. Gdy poczuł, że stopami dotknął zimnej toni jeziora, nieco oprzytomniał. Złapał się ostrych trzciny i podciągnął po rozmokłej ziemi. Wokół niego rechotały żaby, a gdzieś blisko brzegu rzuciła się duża ryba. Błoto przylgnęło do jego ubrania i po chwili zaczął się trząść, gdy chłód coraz bardziej obejmował mu ciało.

To wtedy ich zobaczył...

W bezchmurną, księżycową noc cała okolica była widoczna jak za dnia.

Szli, wypowiadając gniewnie i głośno słowa, których nie rozumiał. Jego dawni sąsiedzi. Mężczyźni, z którymi spędzał czas jeszcze w starej wsi. Zachara, Zawada, Chryc, Kobuz i Magiera... Zmierzali w kierunku czarnych budynków osady. Tych samych, które opuścił kilka minut wcześniej.

Dostrzegł siekiery i sznury w ich dłoniach. Od dużego baniaka, który niósł Magiera, odbijało się światło księżyca.

Podniósł się, gdy go minęli. Nagle zapragnął znowu dzielić z nimi życie. Pomyślał, że sprawdzi, co zamierzają. Chciał tylko, aby znowu go dostrzegli. Przyjęli do swojej grupy jak wtedy, gdy nie musiał bić żony ani syna.

Ich kroki ucichły zupełnie, gdy w końcu udało mu się stanąć pewnie na nogach. Wzrok miał teraz ostrzejszy, a świat wokół przestał wirować. Być może to nadzieja, która wlewała się do jego ciała, sprawiła, że poczuł się mocniejszy. Szedł równym krokiem, aby nie uznali, że był zdesperowany. Zobaczył ich dopiero, gdy minął zakręt. Wchodzili do restauracji „U Szperlinga”, mimo że była już zamknięta. Wiedział o tym, bo Piotr i Maria wygonili go w końcu, gdy zaczął przysypiać przy stoliku.

– A więc to tak... – Poczuł złość, że dla nich tego wieczora znalazł się jeszcze kufel piwa.

Pięści same zacisnęły się przy jego bokach. Nadzieja, którą odczuwał jeszcze przed chwilą, zamieniała się w nienawiść, gdy szedł między ciemnymi budynkami,

rzucającymi cienie na jezioro. Pamiętał miejsce, gdzie stał każdy z nich wcześniej. Pamiętał maszyny, za pomocą których rozebrano je deska po desce, a potem przewieziono tutaj. Pamiętał ludzi, którzy mieszkali w starych chatach.

Teraz były bezużyteczne. Duch tych chat został w starej wsi, a potem zalała go woda. Nie były już domami. Teraz to tylko zimne szkielety, od których emanowała zła energia...

Zajrzał przez okno do wnętrza restauracji i wstrzymał oddech. Nic nie było takie, jak zakładał. Dostrzegł wykrzywioną płaczem twarz Marii Hilderbrandt. Piotr szamotał się pomiędzy krępującymi go sznurem mężczyznami, jednak nie miał z nimi żadnych szans.

Sławomir nie rozumiał, co się działo. Nie miał pojęcia, dlaczego Bogdan Magiera rozlewał zawartość baniaka na podłogę, ale po chwili doszedł do niego ostry zapach benzyny.

Pracowali w ciszy i jedynym dźwiękiem, który przebijał się przez grubą szybę, były krzyki kobiety. Mieczysław pchnął okno, które ustąpiło pod jego naciskiem.

– Nie dałeś nam wyboru, Piotrze. – Chryc pokręcił głową, a w jego głosie dźwięczał smutek. – Mogłeś podjąć inną decyzję i wszystko pozostałoby jak dawniej...

– Tylko tak potraficie rozwiązywać swoje problemy? Spłonimy jak tamci, bo wy tak zadecydowaliście? – Piotr nie dowierzał jeszcze temu, co się działo. Mimo że leżał skrępowany na podłodze, a Magiera wymierzył mu kopniaka w brzuch, po którym z jego płuc wydobyło się głośnie sapnięcie.

– Gadasz i gadasz. Zawsze tylko to potrafieś. – Magiera pochylił się nad Hilderbrandtem, żeby sprawdzić, czy sznur trzymał się mocno na jego ciele. – Nie tobie oceniać nasze motywacje.

– Będziecie płonąć jak my. – Maria była już nieco spokojniejsza. Powoli godziła się ze swoim losem. – Ale ogień w piekle nie gaśnie. Przeklinam was! – Splunęła z nienawiścią obok nóg Zawady. Materiał sukienki podarł się, odsłaniając jej ramię. – Obyście nigdy nie zaznali spokoju...

W restauracji zapadła cisza, jakby każdy z mężczyzn rozważał jej słowa, aż w końcu Kobuz podszedł do niej powoli.

Sławomir pomyślał, że powinien coś zrobić. Wezwać pomoc, zanim będzie za późno. Dotknął kieszeni, w której trzymał telefon komórkowy. Śmiał się, gdy syn mu

go podarował za pierwsze zarobione pieniądze. Był z siebie taki dumny, ale Sławomir go wyśmiał, a potem sprął na kwaśne jabłko za wydawanie pieniędzy na głupoty... Do kogo niby miałby dzwonić?

A jednak teraz mógł uratować czyjeś życie.

Wybrał numer posterunku policji w Czorsztynie, a jego palec zawisł nad zieloną słuchawką.

– Wiesz, dlaczego tamci spłonęli? – Magiera szybkim ruchem wbił ostrze siekiery w pobliski stolik. – Sprowadzili się do Maniów, a my udzieliliśmy im gościny. Dobrze pamiętam ich zmarnowane twarze. Zapadnięte z głodu policzki. Brudne smugi na ich powycieranych ubraniach. Umieli sprawić, że było nam ich żal... – Roześmiał się ponuro na wspomnienie tamtego dnia. – Odłączyli się od taboru wiele tygodni wcześniej i błękali po okolicy, szukając schronienia. Przyjęliśmy wszystkich. Mężczyzn i kobiety. Starców i dzieci. Ponad dwadzieścia osób, które zamierzaliśmy wykarmić, mimo że tamto lato przyniosło ze sobą suszę i naszym krowom zapadały się boki.

Sławomir pamiętał tamte rromskie rodziny. Lubił przyglądać się ich kobietom. Tak bardzo różniły się od tych, które znał. Mimo biedy i zmartwień, ich twarze bezustannie rozświeślały uśmiechy.

– Początkowo wszystko układało się jak należy. Zbigniew dał pracę dwóm z nich. – Magiera wskazał na Chryca. – A mój brat zatrudnił tamte kobiety do pracy w kuchni. Przynosiliśmy im jedzenie. Dzieci dostały czyste ubrania, a największa stodoła była dla nich schronieniem przed deszczem.

W restauracji zapadła cisza, gdy mężczyźni wspominali minione czasy. Za plecami Sławomira jezioro grało własną melodię, niepomne na tragedię, która rozegrała się lata temu.

– Ale to im nie wystarczyło, a my byliśmy na tyle głupi, żeby nie pilnować ich dostatecznie. W tamtą noc świętojańską byliśmy zbyt zajęci puszczeniem wianków na Dunajcu i skokami przez ogień, żeby zauważyć, że Marylka i Jagna zniknęły ze wsi. Ich rodzice zakładali, że włóczyły się z młodymi w okolicach zamku, tymczasem gdy je znaleźliśmy, było już za późno...

– Wzięli je sobie siłą. – Gdy Magiera pochylił głowę i długo milczał, opowieść przejął Zawada. – Dwie młode dziewczyny, które niczemu nie były winne. Nie chciałybyś, aby coś takiego spotkało twoją Dobrochnę... Gdy je znaleźliśmy, były...

– Zamilkł, bo wspomnienie tamtej nocy przerosło go. – Co mieliśmy zatem zrobić według ciebie?

– Iść na policję!?! – Piotr szarpnął się ze złością, jednak sznury trzymały zbyt mocno. – Właśnie to należało zrobić!

Sławomir spojrział na telefon, na którym zaciskał palce. Alkohol już nie zaciemniał jego umysłu, a w głowie pojawiły się gorączkowe myśli. Rozważał słowa Piotra. O tym, że przemoc nie była rozwiązaniem. Że istniały inne sposoby, aby poradzić sobie z rzeczywistością. Czas mijał, a posiniaczona twarz jego żony coraz natarczywiej pojawiała się, gdy zamykał oczy. Mógł oszczędzić chociaż dziecko. Uniósł głowę i spojrział ponownie w okno. Czy mógł naprawić teraz swoje czyny? Przeszkodzić im i ocalić Hilderbrandtów? Nie pozwolił sobie na wątpliwości i nacisnął na zieloną słuchawkę, skupiając się na Magierze, który roześmiał się gorzko.

– I co? Myślisz, że ktoś potraktowałby nas poważnie? Bez świadków? Bez dowodów? Jedna z nich była jak twój Janek... Nie powiedziałaaby nawet słowa.

– Więc dokonaliście samosądu? – Głos Marii załamał się, a po jej twarzy potoczyły się łzy.

– Zrobiliśmy, co było konieczne. – Magiera wzruszył ramionami. – Tak jak teraz.

– W tym grobie były dzieci...

Sławomir wzdrygnął się, przypominając sobie pożar. Stara stodoła oddalona nieco od wsi płonęła długo i nikt nie kwapił się do jej gaszenia. Stali z ponurymi twarzami i patrzyli, jak ogień lizał ściany budynku, a on dopiero teraz zrozumiał, co się wtedy wydarzyło. Poczuł, jak żółć podeszła mu do gardła, gdy przypomniał sobie dziwny zapach, który unosił się wtedy w powietrzu. Dopiero teraz zrozumiał, że tamtej nocy poznał zapach palących się ciał.

– Nie mogliśmy ryzykować, że to się wyda. Musieliśmy zadbać o to, żeby nikt nie zdradził naszej tajemnicy...

Sromowiec nie potrafił oderwać wzroku od zapalki, którą Magiera uniósł w górę. Płomień zatańczył, gdy potarł ją o draskę pudełka. Sławomir cofnął się w mrok, nie mogąc uwierzyć, że nikt nie zrobił nic, gdy zapalka upadła tuż obok Hilderbrandtów, a podłoga zajęła się ogniem.

– Komisariat, słucham. – Zachrypnięty głos Małeckiego, który dopiero kilka dni wcześniej pochował żonę, rozbrzmiał mu w uchu.

– Musisz przyjechać do osady! Musisz ich ratować. – Potknął się o kamień i upadł, a hałas przyciągnął spojrzenia tamtych. – Oni ich spalą! Pospiesz się!

Ostatnie słowa były już właściwie krzykiem i nie miał pojęcia, czy Małecki zdołał cokolwiek zrozumieć, bo aparat potoczył się kilka kroków dalej.

Wiedział, że powinien uciekać, zanim będzie za późno. A jednak nawet nie drgnął, gdy go zobaczyli i ruszyli w jego stronę.

– Łapcie go! – Krzyk Zachary poniósł się po cichej okolicy, odbijając od tafli jeziora, a chwilę później spadło na niego pierwsze uderzenie.

Nie skupiał się na bólu. Kolejne ciosy dosięgały go, a w uszach szumiało. Musiał wytrzymać tylko trochę. Za chwilę miała pojawić się pomoc. Posterunek nie był daleko. Radiowóz powinien dojechać w ciągu kilku minut.

Otoczyli go ze wszystkich stron, rzucając cień na jego ciało. Nie dostrzegali nic poza ich wielkimi sylwetkami. Jednak przez słowa, które do niego wykrzykiwali, przebijał się trzask płomieni i nieludzkiego wycia, które miało mu towarzyszyć już do końca...

– Zostawcie go!

Ulga rozlała się po całym jego ciele, gdy głos Małeckiego powstrzymał ich wściekłość. W oddali rozbrzmiewały syreny straży pożarnej. Jeszcze wszystko można było uratować. Jeszcze była nadzieja dla Hilderbrandtów, chociaż ich krzyki ucichły jakiś czas temu. Ale on ich przechytrył. Syn miał rację. Jeden telefon może ocalić czyjeś życie...

– Bóg was zupełnie opuścił? Ogień namieszał znów w głowie? – Małecki nie hamował złości, gdy szarpnięciem poderwał go w górę. – Zabijecie go i to się nigdy nie skończy! Doprowadźcie go do porządku. Przyda nam się w inny sposób...

Rozdział 31



– Właśnie to się wtedy wydarzyło. – Sromowiec uniósł wzrok po raz pierwszy, od kiedy zaczął opowiadać swoją historię. – Małecki zdążył wymyślić cały plan, zanim przyjechali strażacy. Gdy pojawili się pierwsi ludzie, ja już stałem zakuty i nikt nie chciał słuchać prawdy...

Igor piekła skóra na plecach. Blizny dawały o sobie znać ze zdwojoną siłą. W końcu poznał historię starej karczmy i pożaru, który zmienił życie Dobrochny i Janka na zawsze.

– Musisz przyznać, że mamy ze sobą wiele wspólnego, prawda? – Sławomir wpatrywał się w Schutta w napięciu. – Ty też nie wyglądasz mi na kogoś, kto celowo zamknąłby swoją dziewczynę w płonącym budynku...

Igor poruszył się niespokojnie na krześle. Sromowiec przez cały czas wiedział, z kim rozmawiał, a to podawało w wątpliwość jego szczerość.

– Kłamiesz! Mamy uwierzyć, że to wszystko jest prawdą? Że tyle lat milczałeś, żeby teraz opowiedzieć nam wszystko ze szczegółami? – Igor nawet nie zauważył, że Anna zdążyła wrócić. Obrzucił spojrzeniem jej bladą twarz. Usta zacisnęła w wąską linię, a cała jej postawa świadczyła o tym, że nie zamierzała dawać wiary siedzącemu przed nią człowiekowi. – Znam tych ludzi. Komisarz Małecki to uczciwy policjant...

Schutt wyraźnie usłyszał, jak głos załamał się jej, gdy mówiła o Małeckim. Nie dopuszczała do siebie jeszcze, że ktoś, kogo uważała za autorytet, mógł skrywać drugą twarz.

Sromowiec roześmiał się gorzko i odwrócił wzrok.

– Co do jednego się nie mylili... policja słucha tych, którzy podają wygodniejszą wersję zdarzeń.

– To nieprawda! – Na jej twarzy pojawił się rumieniec, a strażnik zrobił krok w ich stronę, gdy uniosła głos. – Nie wierzę ci. Powiedziałabyś coś wtedy. Broniłabyś się, gdybyś nie był winny tych śmierci... Dlaczego teraz?

Igor rozważał jej słowa. Było coś w tym mężczyźnie, co od początku mu się nie podobało, ale jego opowieść była szczerą. Być może gdyby nie zdradził tyle na swój temat. Nie opowiedział o przemocy domowej, Schutt postrzegaby go inaczej, ale teraz mu wierzył.

– Jest czas, żeby milczeć, i czas, żeby wyrównać rachunki.

– Co to ma znaczyć? – W Annie zaszła teraz całkowita przemiana. Dostrzegł w niej to, co opisywał we własnych powieściach. Ten głód, który prowadził go przez historię, a ją przez śledztwo. Nie różnili się od siebie wiele. Oboje dążyli do odkrycia prawdy. – Masz coś wspólnego z zabójstwami tych dziewczyn?

– Skąd ten pomysł? – Oczy Sromowca zaszyły mgłą. – Ja już nic nie mogę. Odpokutowałem za swoje grzechy. Nie chcę mieć nic wspólnego z tamtymi sprawami. Ale zemsta dosięgnie ich wszystkich tak czy inaczej.

– Kłamiesz! – Wściekłość przelewała się przez nią falami.

Igor musnął jej dłoń, tak jak ona wcześniej, gdy próbowała dodać mu otuchy. Nie nabyła jeszcze doświadczenia, które pomogłoby jej zachować pokerową twarz. Powinna uczyć się od swojego szefa. Od człowieka, który manipulował wszystkimi od dawna, a na pewno udało mu się wywieźć ich w pole w trakcie tego śledztwa.

– Straciłem wszystko. Moim domem jest teraz więzienie. – Igor nie wierzył, że mężczyzna zaakceptował to miejsce. – Nie mam rodziny. Żona, syn, przyjaciele... wszyscy się ode mnie odwrócili. Krzywdziłem ich latami i zrozumiałem to w tamtej chwili, gdy patrzyłem na śmierć Piotra i Marii...

– Rozmawiałem z twoim synem. Nie wydaje się, żeby cię nienawidził. – Igor starał się nie pominąć nawet najdrobniejszej reakcji Sromowca. Działał zgodnie z poleceniem zabójcy, a odpowiedź, którą miał uzyskać, była kluczowa.

– To nie o Marcina chodzi... Gdyby to on był wtedy z Dobrochną, a nie Paweł, być może by mi wybaczyli.

Igora zalała fala gorąca. Coś mu umykało. Czegoś jeszcze nie dostrzegał, choć było na wyciągnięcie ręki. Spojrzał na Zdrojewską, która pobladła jeszcze bardziej i się wyprostowała.

– Paweł to twój drugi syn? – upewnił się. Miał ochotę chwycić materiał koszulki Sromowca i potrząsnąć nim porządnie.

– Kiedyś nim był. Teraz nie chce mnie znać. Zmienił nazwisko wiele lat temu, żeby ostatecznie odciąć się ode mnie.

W ustach mu zaschło. To było niemożliwe, trudne do zaakceptowania, a jednak wszystko wskazywało na to, że rzeczywiste. Nagle zrozumiał zostawiane mu tropy. Był tylko jeden człowiek, który mógł pokierować nim w ten sposób. Miał dostęp do egzemplarzy jego powieści, komputera i telefonu. Igor zmusił się, żeby zadać ostatnie pytanie, bo potrzebował jeszcze jednej informacji. Wszystko zaczynało nabierać sensu.

Jak się nazywa teraz twój syn?



– To Biernacki! Szukamy Pawła Biernackiego! – Krzyk Zdrojewskiej był tak głośny, że Piotr odsunął słuchawkę od ucha.

Odrzucał jej telefony bez końca, aż wreszcie Małecki wygonił go z pokoju przesłuchań.

– Posłuchaj mnie... Musisz znaleźć Biernackiego – powtórzyła już ciszej, chociaż jej głos wibrował od napięcia.

Nakreśliła mu, co udało im się ustalić podczas wizyty w krakowskim więzieniu, a Piotr z każdym kolejnym zdaniem zaczynał wierzyć, że nie pakowała go na minę. Ruszył wąskim korytarzem i zatrzymał się przed przeszkloną ścianą, przy której stał profiler przyglądający się przesłuchaniu Krupińskiej.

Piotr chwycił klamkę, żeby wywołać Małeckiego na korytarz. Jeżeli Zdrojewska miała rację, to Piotr chciał być tym, który przekaze wiadomości komisarzowi.

– Piotr... Nie możesz powiedzieć o tym staremu, rozumiesz? On jest w tym umoczony.

– Zwariowałaś? – zapytał z niedowierzaniem, jednak nadal nie pociągnął za klamkę.

– Za niecałą godzinę będę w Nowym Targu. Wtedy ci wszystko wyjaśnię. – Usłyszał, jak silnik wszedł na wyższe obroty, gdy prawdopodobnie wyjechała poza

granice miasta. – Obiecujesz mi, że poczekaś do mojego powrotu? Po prostu weź kilku chłopaków i go poszukajcie.

Rozłączyła się, zanim zdążył zapytać ją o cokolwiek.

– Wszystko w porządku? – Profiler zwrócił uwagę, że Piotr od kilku minut nie poruszył się, próbując wymyślić, co ma zrobić.

– Tak... Nie... Nie wiem...

Cholerna Zdrojewska zawsze musiała namieszać mu w głowie. Trzeba było przelecieć ją już lata temu, może wtedy czułby się przy niej pewniej. A tak...

Jeszcze raz podszedł do szyby. Może jednak wcześniejszy pomysł nie był taki głupi. Może mogli awansować bez tej wojny, którą prowadzili, żeby zadowolić Małeckiego? Może po prostu wystarczyło, że wykonają dobrze swoją robotę?

Nie miał nic do stracenia. Odwrócił się w stronę korytarza i ruszył przed siebie.



– Ma ich teraz oboje... kurwa! – Igor uderzył w deskę rozdzielczą, wpatrując się w drogę. – Wepchnąłem mu Janka, a przecież on wiedział, kto zabija. Ciągłe powtarzał słowo „tajemnica”. Myślałem, że ma jakiś sekret. Ale musiał coś zobaczyć. Musiał...

Przezesął włosy palcami, próbując ogarnąć myślami to, co zrobił człowiek, którego uważał za swojego przyjaciela. Powinien poświęcić mu więcej uwagi. Gdyby to zrobił, być może zdołałby przejrzeć go na wylot. A teraz Dobrochna i jej brat byli w niebezpieczeństwie, bo on znowu nawalił.

– Przestań... To nie ma sensu. – Anna skrzyła gwałtownie, wymijając rowerzystę, który nie trzymał się pobocza.

Nadal trawiła wszystkie informacje, które jej przekazał. O wskazówkach umieszczonych w egzemplarzu *Żaru*, o pliku w komputerze, do którego dopisano wyraźne polecenie skłaniające go do działania, o wiadomościach, które otrzymał, zanim spotkali się ze Sromowcem. Nie potrafiła znaleźć dziury w jego toku rozumowania. Paweł Biernacki miał powód, aby mścić się na tych rodzinach za to, że doprowadziły do rozpadu jego własnej.

Skupiła wzrok na drodze. Słońce zmieniło kolor, chyląc się ku zachodowi, i teraz było już bardziej pomarańczowe. Pokonali trasę z Krakowa w rekordowym tempie,

a Zdrojewska od kilku minut próbowała dodzwonić się do Kurpiela, jednak ten nie odbierał jej telefonów. Zastanawiała się, czy powinna zadzwonić do kogoś innego, jednak nie była już niczego pewna. Za każdym razem, gdy rozważała ten pomysł, nachodziła ją myśl, że Piotr doskonale wiedział, że Małecki nie był kryształowy jak się jej wydawało. Być może inni również mieli tego świadomość i tylko ona dała się oszukać?

– Skup się lepiej i pomyśl, gdzie go szukać...

Miała rację. Powinien skupić się na rozwiązaniu. Ale jak miał to zrobić? Paweł na pewno ukrył ich w miejscu, o którym wiedział tylko on. Schutt odetchnął głęboko, próbując myśleć jak sprawca. Gdy pisał, ta taktyka się sprawdzała. Teraz też musiał wejść w głowę Pawła, żeby zrozumieć wiadomość, którą tamten chciał im przekazać.

Po chwili uświadomił sobie, że zbyt mało wiedział o toczącym się śledztwie. O wskazówkach, które zapewne Paweł pozostawiał na miejscach zbrodni.

– Opowiedz mi o ofiarach.

Myślał o tym, że Biernacki lubował się w wielkich gestach. Pociągała go teatralność. Nie potrafił zrobić niczego na pół gwizdka. Nie będzie stosował półśrodków. Jeżeli Dobrochna i Janek byli jego ostatnimi ofiarami, Paweł planował zabić ich spektakularnie.

– Boże... To straszne, że historia zatoczyła koło... – Zdrojewska nie odrywała wzroku od drogi, więc nawet nie zauważyła, że właśnie podała mu rozwiązanie na tacy. Paweł zamierzał wrócić do miejsca, gdzie wszystko się zaczęło. Ich celem była osada...



Dobrochna poruszyła się na krześle, do którego przywiązał ją Paweł, żeby sprawdzić, co zrobił z Jankiem, ale ściana oddzielająca pomieszczenia zasłaniała jej widok. Ponownie spróbowała wykręcić dłonie, aby się wyswobodzić, jednak tym razem Paweł upewnił się, że sznury trzymały mocno.

– Obudziłaś się? – Ukucnął, żeby ich twarze znalazły się na tym samym poziomie.

Jego aparycja ponownie była nienaganna. Przesunęła wzrokiem po drogim materiale, z którego miał uszyty garnitur, i nie znalazła na nim ani jednej zmarszczki. Paznokcie miał przycięte i równo spiłowane. Błyszczały w półmroku, jakby wypolerował je w salonie kosmetycznym. I pewnie tak było... Gdyby udało jej się znaleźć rysę w tym idealnym wizerunku, być może potrafiłaby przemówić mu do rozsądku. Ale on nie zdejmował maski, którą nałożył po ucieczce do Krakowa.

– Pamiętasz tamtą noc, gdy spłonęli twoi rodzice? – Przeczesał jej długie włosy czułym gestem, od którego po plecach przebiegł jej nieprzyjemny dreszcz.

Nie mogła mu odpowiedzieć, nie ściągnął jej knebla. Był ostrożny. Gdy to robił, najpierw sprawdzał przez okno, czy nikt nie pojawił się w zasięgu jego wzroku. Chociaż z każdą godziną był coraz mniej uważny. Chyba doszedł do wniosku, że jej zniknięcie nikogo nie obeszło...

– Powiedziałem ci wtedy, że wszystkim się zajmę. Że odpowiedzialni za ich śmierć poniosą karę... Musisz przyznać, że dotrzymałem swojej obietnicy...

Tak. Pamiętała wszystko. Pamiętała ich splecione palce i że czerpała pociechę z jego dotyku. Wtedy zabrał część jej bólu, aby mogła poskładać się na nowo i żyć dla Janka. Pod okiem wykwitł mu brzydki krwiatek, a gdy się poruszał, robił to z trudem. Nie musiał jej mówić, bo zgadła już dawno temu, że jego ojciec nie był jak Piotr Hilderbrandt. Miał ciężką rękę i wystarczył mu niewielki pretekst, aby wyżyć się na synu. Może dlatego Paweł dalej stał i trzymał ją za rękę, gdy tamci okrążyli jego ojca, a potem policja wsadziła go do radiowozu. W tamtym momencie, gdy jego oczy spotkały się z oczami ojca, odczuwał ulgę...

– Długo myślałem, jaką karę powinni ponieść, wiesz? I wszystko wydawało się takie niewłaściwe... – Krążył wokół niej jak zamknięty w klatce drapieżnik, pograżając się w jednym z tych dziwnych stanów, gdy mieszały mu się zdarzenia i wątki. – Mogłem po prostu pozabijać ich po kolei. Wyobraź sobie te napuchnięte ciała pływające po jeziorze... Ale to byłoby takie proste. Zbyt szybkie i łaskawe.

Oczy Pawła błyszczały chorobliwym blaskiem.

– I wtedy przyszedł mi do głowy pomysł, że najsprawiedliwiej będzie zabrać im to, co oni zabrali nam...

Szarpnęła się gwałtownie, a z jej ust wydobył się zduszony krzyk. Zdarł taśmę ciekawą, co miała do powiedzenia, więc szybko wykorzystwała okazję, wiedząc, że

za chwilę go znudzi.

– I postanowiłeś zabić niewinne kobiety? To nie jest żadna sprawiedliwość.

Zacmokał, wyrażając swoje rozczarowanie.

Żałowała, że kiedyś tak wiele dla niej znaczył. Gdyby nie to, wtedy łatwiej byłoby jej go nienawidzić. Powinna czuć na jego widok obrzydzenie. Tymczasem do jej serca wkradała się litość. Żal nad chłopakiem, którym był dawno temu. Gdyby tylko istniała mieszanka ziół, która mogłaby go naprawić... Wiedziała, że to niemożliwe. Że był jak Janek, który skrywał jego tajemnice.

– One były tylko drogą do celu – mruknął, pocierając opuszką palca ciemne drewno, którym wyłożono ściany budynku. – Koniecznym poświęceniem, aby przywrócić równowagę.

Struchlała, gdy z drugiego pomieszczenia dobiegły odgłosy szamotaniny. Janek ocknął się z odrętwienia, w którym tkwił od długiego czasu, i postanowił przypomnieć o swoim istnieniu. Wiedziała, co się miało zaraz wydarzyć, i lęk sparaliżował jej mięśnie. Chciała coś jeszcze powiedzieć, ale nie potrafiła odnaleźć słów. Zresztą na niewiele by się to zdało, bo Paweł podniósł ubrudzoną od ziemi taśmę i ponownie zakleił jej usta. Walczyła chwilę z ziemistym smakiem, który przylgnął jej do języka, w końcu się poddała.

– Masz rację. – Mrugnął do niej, zanim wyszedł, jakby to wszystko było swego rodzaju inscenizacją lub grą towarzyską. – Sprawiedliwie będzie wtedy, gdy ty i Janek zapłacicie za to, że mój ojciec został ukarany za śmierć waszych rodziców... Może kiedy was już nie będzie, ojciec zrozumie, że źle mnie oceniał. Mogłem być jego ukochanym synem. Kimś, kto będzie stał z nim ramię w ramię przeciwko światu. Lecz on nie umiał tego docenić. Nie dostrzegał tego, co miał pod nosem...

Zbliżył się do okna, gdy po drodze przy domu przejechał samochód. Dobrochna wsłuchiwała się w warkot silnika, mając nadzieję, że zgaśnie, gdy pojazd zatrzyma się przed płotem.

– Już czas...

Rozdział 32



– Policja! Na ziemię!

Chudy mężczyzna uniósł drżące dłonie i uklęknął na podłodze. Jego wzrok powędrował w stronę pomieszczenia znajdującego się po prawej stronie. Piotr dał znak policjantom, którzy stali za jego plecami, aby sprawdzili tamten pokój.

– Gdzie on jest?! Gadaj, ale już! – Kurpiel zauważył, że lufa pistoletu, który trzymał wycelowany w Marcina Sromowca nieco drżała, więc poprawił postawę. To była porządna akcja operacyjna, nie chciał niczego spieprzyć.

– Kto? – Sromowiec skulił ramiona, gdy Piotr zrobił krok w jego kierunku.

Z pomieszczenia, do którego weszli pozostali, dochodziły odgłosy szamotaniny, ale w końcu wyprowadzili szarpiącego się nastolatka, który był młodszą kopią swojego ojca.

– Gdzie jest Paweł?

– Nie mam pojęcia. – Źrenice mężczyzny rozszerzyły się w strachu pomieszany ze zdziwieniem. Opuścił nieco ręce, ale gdy Piotr poruszył służbowym waltherem od razu uniósł je w górę. – Lata nie zaglądał do nas. Zerwał wszystkie kontakty. Przysięgam... My nic nie zrobiliśmy.

Strach Sromowca wydawał się autentyczny. Piotr wierzył w każde jego słowo. Jeżeli ktoś zmieniał nazwisko, to miał ku temu dobry powód.

– Przeszukajcie dom i zagrody. – Piotr wydał polecenie.

– Co on zrobił? – Strach Sromowca wydawał się autentyczny.

Nawet gdyby chciał, Piotr nie potrafił mu odpowiedzieć. Gdzieś w środku nadal tliła się w nim nadzieja, że Anna się myliła.

– Piotr. – Jeden z chłopaków zajrzał przez otwarte drzwi. – Musisz to zobaczyć...

Zaprowadzili go do starej szopy. Najprawdopodobniej gospodarze już jej nie używali, bo zaraz obok stała nowo wymurowana zagroda. Aby wejść do środka, musieli mocno szarpnąć za drzwi, które zacinały się przy otwieraniu.

Wspiął się po chybotałej drabinie na niewielki stryżek. Miejsca było tu tak niewiele, że ledwo mieścili się we dwóch. Zapach kurzu i słomy unosił się w powietrzu. Jego spojrzenie padło na dużą tablicę, podobną do tej, którą mieli w sali narad na komendzie.

– Leżała tam. – Policjant wskazał tył strychu. – Była wciśnięta za belę siana.

Przesuwał spojrzeniem po punktach zaznaczonych na mapie. Dostrzegł zdjęcia ruin zamku, najprawdopodobniej robione z perspektywy jeziora, jakby Paweł chciał się upewnić, że grotta, w której planował zabić Aleksandrę Zawadę, jest praktycznie niewidoczna. Fotografie osady stanowiły centralny punkt. Pod nimi Biernacki nabazgrał nazwiska swoich ofiar.

– Jezusie słodki – zawołał Marcin Sromowiec. Kurpiel dopiero teraz zdał sobie sprawę, że stał na drabinie za jego plecami. – Co on zrobił?

– Musimy sprawdzić każde z tych miejsc. Zaczniemy od tego. – Wskazał na punkt, w którym nie znaleziono jeszcze ofiary, a jeden z policjantów cisnących się na małej przestrzeni obok niego wyciągnął telefon i zrobił zdjęcie tablicy.



– Cholera! – Zdrojewska zabębniła palcami o kierownicę. – Zapomniałam, że dzisiaj jest redyk.

Samochód utknął pośród odświętnie ubranego tłumu tuż pod Kluszkowcami. Przed nimi rozciągały się stada owiec i podążający za nimi ludzie. Schutt zerknął za siebie. Nie mieli szans, aby wybrać inną drogę. Za nimi utworzył się korek, blokując im możliwość wycofania.

Szarpnął za klamkę i wyskoczył z samochodu.

– Ściągnij posiłki. Spotkamy się w osadzie.

– Poczekaj. – Anna wychyliła się w jego stronę. – To nie jest dobry pomysł.

– Znam go lepiej niż ktokolwiek. Zagadam go, a ty po prostu powiadom kogo trzeba.

Nie czekał, aż mu odpowie. Kłótnia z nią była bezcelowa.

– Hej! Co jest! Uważaj, gdzie leziesz! – Lawirowanie w tłumie spowalniało go. Głosy oburzonych ludzi mieszały się z dźwiękiem dzwonek zawieszonych na szyjach owiec i jękliwą melodią wygrywaną na skrzypcach.

W powietrzu unosił się zapach zwierząt i ludzkiego potu. Igor czuł, że jego plecy również były coraz bardziej mokre, gdy wyobraźnia podpowiadała mu, co Paweł planował dla Hilderbrandtów.

W końcu wydostał się z terenu, gdzie odbywał się redyk. Wokół niego rozciągały się łąki. Rzucił się na przełaj, w kierunku, w którym dostrzegł taflę jeziora. Musiał zaufać kompasowi w swojej głowie i wybrać jak najkrótszą trasę.

Zahaczył ramieniem o drut okalający rozległe pastwisko i poczuł, jak metal rozorał skórę. Nie miał czasu, żeby się tym przejmować.

Zwolnił dopiero, gdy ciemne budynki osady ukazały mu się w całej okazałości. Skupił spojrzenie na drodze w dole, gdzie zostawił Zdrojewską. Nie miał pewności, czy udało jej się ruszyć, więc nie mógł ryzykować. Miał nadzieję, że ktoś zaraz dojedzie na miejsce. Paweł znał ten teren lepiej niż on. Nie mógł popełnić najmniejszego błędu, jeżeli chciał, żeby ta historia skończyła się dobrze.

Przesunął spojrzenie po budynku, w którym znajdował się hotel, jednak nie dostrzegł nikogo na balkonach. O tej porze turyści korzystali z uroków okolicy albo przyglądali się obrzędom związanym z redykiem.

Ostatnie metry pokonał, ślizgając się na pagórku porośniętym trawą. W jakiś sposób udało mu się odwrócić sytuację sprzed kilku tygodni. Wtedy przyciągnęła go tutaj ciekawość, a teraz strach o ludzi, na których mu zależało. Wtedy miał nadzieję, że zostawił przeszłość za sobą, a teraz jawiła się przed nim w całej okazałości. Tamtego dnia nie widział wyjścia z sytuacji, w którą został wplątany, jednak w tej chwili doskonale wiedział, co musiał zrobić.

– Paweł! – Pchnął drzwi do restauracji „U Szperlinga” i przekroczył próg, skanując wzrokiem wnętrze.

Zatrzymał się kilka kroków od wejścia i nasłuchiwał odgłosów dochodzących z głębi budynku. Zapach spalenizny był jeszcze bardziej intensywny niż wtedy, gdy był tu za pierwszym razem. Zawahał się. Paweł wiedział, że szedł po niego, i przygotował scenerię na jego powitanie. W ustach mu zaschło, a plecy zapiekły jak tamtego wieczora w Krakowie. Nabrał wątpliwości.

– Rozszyfrowałem wszystkie twoje wskazówki! – Zrobił kilka kroków, trzymając się prawej ściany. – Porozmawiajmy!

Chrzęst szkła pod podeszwami butów nie zagłuszył stukania i jednostajnego syczenia, które stało się dla Schutta przewodnikiem. Poruszał się ostrożnie, omijając największe przeszkody, a im bliżej źródła dźwięku się znajdował, tym bardziej napięte były jego mięśnie.

– Nie musisz robić już nic więcej. Ukaralesz tych, którzy zasługiwali na pokutę.

Ponownie odpowiedziało mu jednostajne syczenie i po chwili wyczuł nikłą woń gazu mieszającą się z zapachem benzyny. Mógł już prawie wyczuć ciepło płomieni, które najprawdopodobniej zaczynały rozprzestrzeniać się w miejscu, w którym Biernacki ukrył rodzeństwo Hilderbrandtów.

Zatrzymał się odruchowo, przypominając sobie duszący dym wciskający mu się do nosa, płuc, oczu. Ta sama panika zaczęła przejmować nad nim kontrolę. Paweł go sprawdzał. Prowokował do zmierzenia się z największym lękiem.

Zacisnął pięści, myśląc o białych włosach Dobrochny, które tak łatwo zajęłyby się ogniem. O jej delikatnej skórze, która miała pokryć się bliznami jak te, które nosił na plecach.

– Dobrochna! – krzyknął z nadzieją, że da mu jakiś znak, jednak doszedł do niego jedynie cichy śmiech Biernackiego.

Odnalazł w sobie nowe odczucie, które rosło z każdą sekundą. Z każdym krokiem, który stawiał. Biernacki się mylił... To nie ogień był tym, co przerażało Igora najbardziej. Tym czymś była wizja utraty kolejnej osoby.

Odsunął się odruchowo, gdy poczuł na skórze żar ognia. Wysokie płomienie zajęły jedną ze ścian. Drewno jęczało, wyginając się pod wpływem wysokiej temperatury, a przez ścianę żywiołu ledwo dostrzegał sylwetkę Pawła.

Syknął, gdy odruchowo złapał za drewno, a na skórze dłoni od razu pojawiły się bąble. Pamiętał ten ostry ból, który zdawał się promieniować aż do kości.

Wziął głęboki wdech i wdarł się do środka. Poleciał na przeciwległą ścianę, która na razie zaledwie się żarzyła. Skulił odruchowo ramiona, gdy nad jego głową rozległ się niepokojący trzask. Paweł przygotował to miejsce na ostateczną zagładę. Wszystko było mokre od benzyny, która ułatwiała rozprzestrzenianie się płomieni. Budynek spalał się kolejny raz i tym razem miał nie przetrwać trawiącego go żywiołu. Rozejrzał się za Pawłem, ale ten musiał wymknąć się drugim przejściem.

– Dobrochna!

Wspomnienia krakowskiej nocy znowu chwyciły go za gardło. Wtedy też próbował odnaleźć Kamilę. Wyciągał ręce po omacku, kręcąc się po ograniczonej przestrzeni klatki schodowej, a jednak nigdzie nie natrafił na jej drobne ciało. Wtedy dezorientowało go narkotykowe odurzenie. Jego własne krzyki mieszały się z jękami wydobywającymi się z jej gardła. Ale teraz nie był odurzony. Mógł uratować dwa życia.

Nabrał powietrza, żeby znowu zawołać, ale dym od razu wdarł mu się do płuc, powodując napad kaszlu i mdłości. Schował usta w zgięcie łokcia i zawrócił na korytarz. Miał przeczucie, że Dobrochna i Janek są uwięzieni w miejscu, w którym znalazł zwłoki Magdaleny Zachary.

Wdarł się tam, ignorując kulę ognia, która wybuchła zaledwie metr od niego, i zamknął drzwi, żeby odgrodzić się od pożerającego budynek pożaru.

– Dobrochna! – Pamiętał, że pomieszczenie było przedzielone na pół niewielką ścianą. Ruszył w jej kierunku, kątem oka wyłapując ruch po prawej stronie. Obrócił się, gotowy na konfrontację, ale zanim zdążył zareagować, pierwszy cios spadł na jego plecy.



Policyjny radiowóz kierował się do zapory w Niedzicy, gdy funkcjonariusz siedzący w fotelu pasażera wskazał na miejsce, z którego unosił się dym.

– Co się dzisiaj wyprawia. Zobaczcie tam!

Wycie syren potwierdzało złe przeczucia, które zrodziły się w głowie Piotra.

– To obrzeża wsi, pewnie zapalił się las. – Drugi z towarzyszących mu funkcjonariuszy wzruszył ramionami.

Piotr zmarszczył brwi, zastanawiając się intensywnie.

– Pokaż to zdjęcie, które zrobiłeś... – Jeden rzut oka wystarczył mu, żeby podjąć decyzję. Skręcił gwałtownie w kierunku pożaru.



Schutt zakrztusił się pod wpływem mocnego ciosu i zanim zdążył zareagować, metalowy pręt wylądował na jego plecach kolejny raz. Osunął się na kolana, próbując złapać oddech.

– Gdzie oni są? – warknął i wypluł ślinę, która zbierała mu się w ustach. Musiał podjąć szybką decyzję, bo dach zaraz zawali się na ich głowy.

– Zawsze taki szlachetny. – Paweł zacmokał i wymierzył kolejny cios, od którego Schuttowi zabrakło powietrza. – Wszystko mi zepsułeś, wiesz? Lepiej by było, żebyś nadal gnił w pierdłu.

– To po cholere mnie tutaj ściągnąłeś? – Odwrócił głowę w prawo, skanując pomieszczenie, jednak nigdzie nie dostrzegł śladów rodzeństwa. – To był twój pomysł, żeby osiedlił się nad zalewem.

– Byłeś doskonałą wymówką. – Paweł wzruszył ramionami. – Od lat nie pokazywałem się w Czorsztynie, a budowa twojego domu dała mi pretekst, aby wszystko przygotować... A potem urządziłem tę imprezę, z której nie tylko tobie udało się wymknąć. Nie uwierzyłybyś, gdybym powiedział ci, jaka chętna była Zawada, żeby poznać znanego pisarza...

Igor roześmiał się gorzko i nabrał w pięści piachu zmieszanego z popiołem. Adrenalina i dym mieszały mu w głowie. Skronie pulsowały, a w ustach czuł metaliczny smak krwi. Wiedział, że jego ciało znowu było poparzone. Że tym razem mógł tego nie przeżyć. Ale nie miał zamiaru dać Pawłowi wyjść z tego cało...

– Jesteś nienormalny. Zabiłeś te wszystkie kobiety i to ty niebawem dołączysz do ojca.

Tym razem kopniak ledwie musnął żebra, co dało mu możliwość odwrócenia się do Pawła. Piach sypnięty w twarz wytrącił go z równowagi, a pręt wypadł mu z dłoni. Igor instynktownie rzucił się na Biernackiego, podcinając mu nogi. Po chwili przygwoździł go do ziemi.

– Myślisz, że wygrałeś? – Paweł wycharczał przez zaciśnięte zęby. – Nie uratujesz ich. Już za późno. Nabrałem cię jak zwykle. Oni płoną teraz w zupełnie innym miejscu... Tak samo jak ty, wtedy gdy zaryglowałem wejście do tamtej kamienicy.

Słowa Pawła pochłonął kolejny wybuch ognia, a chwilę potem na Igora spadła płonąca belka. Rozpadła się przy zderzeniu z jego ciałem, jednak poczuł, jak ogień

zajął ubranie. Instynktownie przeturlał się na plecy, uwalniając Biernackiego. Coraz trudniej było mu się skupić. Wiedział, że zaraz straci przytomność. Gdzie, do cholery, była Zdrojewska?

– Ona miała być moja, ale ty musiałeś wszystko zepsuć. Musiała zakochać się właśnie w tobie. – Pięść Pawła trafiła go w policzek.

Igor potoczył wokół spojrzeniem. Ogień był już praktycznie wszędzie. Uświadomienie sobie tego spowodowało, że adrenalina ponownie wystrzeliła w jego żyłach. Nie panował nad swoim ciałem. Serce tłukło się w klatce piersiowej przyduszonej ciężarem Biernackiego, który zdawał się nie zwracać uwagi na otoczenie. Mięśnie odmawiały posłuszeństwa. Strach zaczynał brać nad nim górę. Wyrzucał z głowy myśli, które mogły zmobilizować go do działania.

– Sam się podłożyłeś, rozpalając tamtą stertę śmieci. Jakbyś wiedział, że nauczono mnie, że ogień rozwiązuje wszystkie problemy...

Kolejny cios spadł na jego wargę. Słowa Pawła sprawiły, że szumiało mu w uszach. Prawda cały czas była na wyciągnięcie ręki. Przez ostatnie pięć lat wydawało mu się, że to przez niego Kamila nie żyje. Że doprowadził do śmierci ukochanej osoby...

Opanował falę mdłości, zbierając resztki sił.

– Zabiję cię! – warknął i w tym samym momencie dostrzegł, że Biernacki jakimś cudem zdołał sięgnąć po pręt, który wcześniej upuścił na ziemię.

– Albo ja w końcu zabiję ciebie...

Rozgrzany metal oparł się o jego szyję. Schutt czuł, że coraz bardziej miażdżył mu grdykę, odcinając dopływ powietrza. Twarz Pawła była teraz zaledwie bladą plamą zawieszoną w ciemności. Nie wiedział, czy charczenie dobywało się z jego ust, czy z Biernackiego, który z wysiłkiem próbował dokończyć to, co rozpoczął ponad pięć lat temu.

Palce mu drętwiały. Z coraz większym trudem wczepiały się w rękawy koszuli Biernackiego. Ostatnie, co odnotował, zanim stracił przytomność, to huk wystrzału.

Rozdział 33



Igor coraz bardziej żałował, że odmówił, aby karetka przewiozła go natychmiast do szpitala. Oparzenia były bardziej dotkliwe, niż mu się początkowo wydawało, a ataki kaszlu, z którymi walczył, mieszały mu w głowie.

Jednak kiedy odzyskał przytomność, musiał zostać i zobaczyć na własne oczy, jak strażacy wynosili z płonącego budynku zwłoki Biernackiego.

Strzał Zdrojewskiej był precyzyjny, mimo szalejącego wokół żywiołu. W jednej chwili palce Pawła zaciskały się na metalowym pręcie, a w drugiej zwiotczały, gdy Biernacki przechylił się na bok i runął na ziemię.

Niebieskie światła policyjnych radiowozów kładły się na czarnym worku, w który zapakowano ciało Pawła, dokładnie w taki sam sposób jak wtedy, gdy policja zabierała stąd Magdalenę Zacharę.

Igor skupił się na Annie, która rozmawiała przez telefon kilka metrów dalej.

– Przeżyją? – Odsunął dłoń ratowniczkę, która próbowała nałożyć mu na twarz maskę tlenową. Jego spojrzenie skrzyżowało się ze wzrokiem policjantki. Słuchała przez chwilę, a potem skinęła mu krótko głową.

Zamknął z ulgą oczy. Teraz mógł pozwolić, aby lekarze zajęli się jego oparzeniami. Wyczuł, że Anna się do niego zbliżyła, ale nie poruszył się, dając sobie czas na zebranie myśli.

– To cud, że nie zostaliście pogrzebani pod zgliszczami. – Zawiesiła głos, a on skupił się na szumie wody, którą dogaszano pożar. – Być może Paweł nie rozlał benzyny w tej części restauracji, w której na ciebie czekał, z nadzieją, że uda mu się uciec...

Wzruszył ramionami. To już nie było ważne.

– Wyciągnęli ich w ostatniej chwili – wyjaśniła mu, co wydarzyło się w chacie Hilderbrandtów. – Biernacki liczył chyba, że uduszą się dymem, bo nie podłożył ognia tak jak tutaj. Ale ich dom i tak nie nadaje się już do niczego...

– Dziękuję.

– Nie ma za co. Wykonywałam tylko swoje obowiązki.

– Uwierzyłaś mi. – Tym razem na nią spojrział. – Dałaś wiarę historii, którą ci opowiedziałem. To wiele dla mnie znaczy.

– To akurat żadna nowość. – Przeczesała dłońmi włosy. Dopiero teraz dostrzegł, że były lekko nadpalone. – Lubię twoje historie.

Roześmiali się, mimo że okoliczności wydawały się niewłaściwe, jednak po chwili Anna spięła się, dostrzegając kogoś za nim. Odwrócił głowę akurat, gdy komisarz Małecki podszedł do nich w asyście drugiego policjanta.

– Dobra robota, Zdrojewska. – Poklepał ją po plecach i chyba nikomu nie umknął fakt, że się wzdrygnęła. – Nie mam pojęcia, jak wpadłaś na to, że Biernacki jest naszym seryjnym, ale należy ci się awans.

– Chociaż nie musiałaś go od razu zabijać – mruknął młodszy policjant. – Zepsułaś całą zabawę.

– Na litość boską, Kurpiel! Idź sprawdź, czy nie ma cię gdzie indziej.

– Wolałbym zaczekać, panie komisarzu – odpowiedział uprzejmym tonem.

– Niby na co? Ty nie masz takich spektakularnych osiągnięć jak Zdrojewska.

– Zaraz się przekonamy. – Wyraz twarzy policjanta był prawie pogodny, co najwyraźniej doprowadzało Małeckiego do wściekłości. – O! Już są.

Wskazał głową na zmierzającego w ich kierunku młodego mężczyznę, któremu towarzyszyło kilku mundurowych. Szli wprost do nich, nie poświęcając uwagi dramatowi, który rozegrał się w osadzie zaledwie godzinę wcześniej.

– Panie prokuratorze. – Małecki wyciągnął przed siebie dłoń. – Właśnie mówiłem, że Zdrojewskiej należy się awans.

– Ryszardzie Małecki... – Maurycy Paluszkiewicz zignorował gest komisarza. – Jesteś zatrzymany w związku z podejrzeniem popełnienia przestępstwa z artykułu sto czterdziestego ósmego paragraf dwa punkt jeden Kodeksu karnego.

– Co? – Komisarz skupił wzrok na Kurpielu. – Ty... Coś ty zrobił?

– Sromowiec w końcu zaczął gadać, panie komisarzu – Anna odezwała się cicho, nadal żałując tego, że jej szef miał coś wspólnego z wydarzeniami z przeszłości. Straciła dzisiaj kogoś, kto był dla niej autorytetem. Nie była pewna, jak będzie czuła się następnego dnia na komendzie.

Chciała dodać, że było jej przykro, jednak się powstrzymała. Dość kłamstw opowiedziano już w związku z tą sprawą. Teraz pozostała im już tylko prawda...

Kilka tygodni później...

Igor rozłożył na stole „Tygodnik Podhalański”, w którym zamieszczono artykuł o aresztowaniach w Czorsztyńcu w ostatnich dniach. Sprawa pożaru, który pochłonął życia dwóch rodzin w Starych Maniowach, uległa przedawnieniu, jednak zabójstwo małżeństwa Hilderbrandtów nadal można było osądzić.

Sześciu mężczyzn aresztowano i przewieziono do aresztu śledczego w Krakowie. Proces miał się rozpocząć za kilka tygodni, a okolica zdawała się trząść od plotek.

Mówiono wiele o powrocie na gospodarstwo Sławomira Sromowca.

O nowym naczelniku, który miał przejąć posadę po Małeckim w wydziale do walki z przestępczością przeciwko życiu i zdrowiu.

O tym, że osadę na półwyspie Stylchyn ponownie miał pobłogosławić proboszcz z Kluszkowców.

Igor był świadkiem aresztowania Waldemara Kobuza.

Tego dnia jezioro było niespokojne. Powierzchnia wody marszczyła się pod wpływem ciepłego wiatru, który dął od rana. Górale mawiali, że halny niósł ze sobą szepty zmarłych. Był ich sposobem na skontaktowanie się z tymi, którzy opłakiwali ich po śmierci. To miejsce pełne było duchów. Dryfowały nad wzburzonymi wodami, zapewne skupiając się w miejscu, w którym budynki w Starych Maniowach porastały glonami na dnie jeziora. Unosiły się nad osadą, szukając spopielonych ciał. Gnały na tarasy czorsztyńskiego zamku, aby hulać z wiatrem po opuszczonych komnatach...

Igor przystanął przy płocie okalającym podwórko sąsiadów, które zmieniło się przez ostatnie dni nie do poznania. Wszechobecne niegdyś drewniane bele ułożono w schludnym stosie na tyłach domu. Po ostatnich deszczach trawnik się zazielenił,

jakby z nadzieją na lepsze jutro. Jadwiga, niepomna na toczące się wokół niej zdarzenia, obsadziła rabaty przy płocie kolorowymi kwiatami. Tylko stary pies nadal ujadał na łańcuchu jak dawniej.

Gdy Zdrojewska z Kurpielem wyprowadzali Waldemara z podwórka, sąsiad nie stawiał oporu, a kiedy mijał Igora, na jego ustach majaczył uśmiech. Schutt odniósł wrażenie, że była w nim jakaś ulga. Jakby skrywane przez lata tajemnice w końcu przestały być dla niego ciężarem. Wszystko, co zrobił w przeszłości, każda samowolnie wymierzona kara, miało zostać odpokutowane.

– Zostaw to. Czas przestać zajmować się przeszłością... – Dobrochna postawiła przed nim talerz z jajecznicą, odkładając gazetę na bok.

Jej białe włosy były przycięte tuż przy skórze. Wyglądała teraz jak zwykła dziewczyna, jakich mnóstwo można spotkać na ulicach dużego miasta.

Zaskoczyła go, gdy zgodziła się z nim zamieszkać i razem z Jankiem przenieśli się do niego od razu po opuszczeniu szpitala. Ją także zmieniły doświadczenia ostatnich tygodni. Gdy obserwował Dobrochnę czasami, kiedy siedziała na brzegu jeziora i wpatrywała się w ciemne budynki osady, emanowała z niej determinacja, aby zacząć żyć pełną piersią. Zbliżyć się do ludzi. Uwierzyć, że może ją spotkać jeszcze coś dobrego.

Podniósł widelec i włożył do ust pierwszy kęs. Jedzenie smakowało domem. Skupił wzrok na ciemnych budynkach po drugiej stronie jeziora. W głowie zaczynała kiełkować mu nowa historia...

KONIEC

Podziękowania

Dziękuję wszystkim, którzy zechcieli pochylić się nad *Osadą*. Mam nadzieję, że się nie zawiedliście i ta historia dostarczyła wam wielu emocji.

Dziękuję mojemu Wydawcy za obdarzenie mnie zaufaniem. Szczególne podziękowania należą się redaktor Blance Wośkowiak, która cierpliwie czyta różne wersje moich powieści, i Łukaszowi Wolakowi, który poklepuje mnie po plecach, gdy najbardziej tego potrzebuję.

Ta książka nie powstałaby, gdyby nie zaangażowanie rodziny i przyjaciół.

Asiu – wiem, że czytanie dziesiąty raz tej samej sceny w ulepszonej wersji wymaga dużo samozaparcia. Tym bardziej dzięki, że za każdym razem mogę na ciebie liczyć.

Tomku – wielkie dzięki za podrzucanie zabawnych tekstów.

Zuzo – Twoje uwagi sprawiły, że ta powieść jest lepsza w warstwie kryminalnej.

A na końcu dziękuję Rodzicom, Adamowi, Antkowi, Jędrkowi i Zosi, a także mojemu bratu za to, że nieustannie trzymają za mnie kciuki. Kocham Was „na Księżyc i z powrotem”.

Przypisy

[1] F. Dostojewski, *Zbrodnia i kara*.

[2] W. Szekspir, *Makbet*.